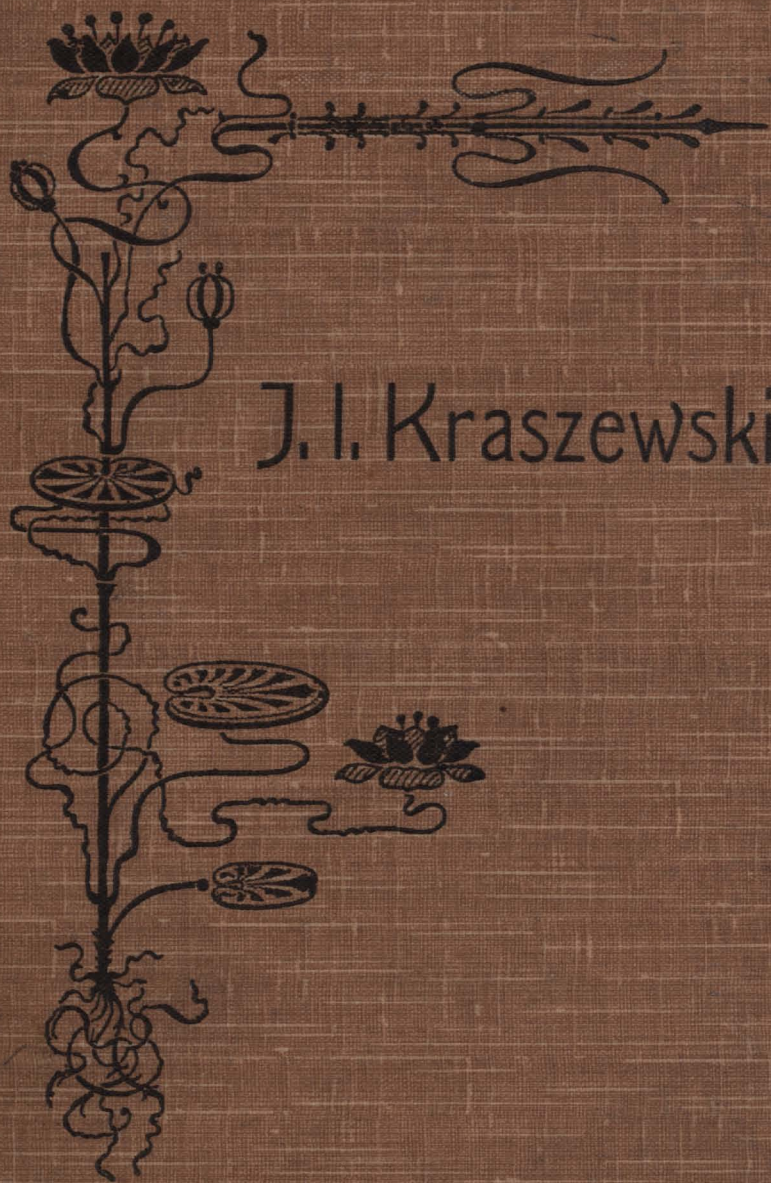




J. I. Kraszewski

śli, że dla niego padłeś ofiarą. My cię już nie puścim, gotówbyś się wygadać i popsuć nam, a pomieszać szyki.

Tak więc Boksickiego na wpół siłą przytrzymali, nie dając mu już powracać, a Samuel dni kilka na niego próżno czekając, wpadł na tę myśl, że mu go pewnie zabito, aby prawej ręki pozbawić.

Zmęczonego i już znudzonego tem przeciągnięciem sprawy, którą chciał jak najprędzej doprowadzić do końca, p. Samuel się rozbudził i odżywił tą nową przeciwnością.

— Nie jeden Boksicki w świecie jest — rzekł w duchu — wezmę na jego miejsce Borowskiego.

Borowskiego tego, wielce sprawnego, zwłaszcza do myślistwa z sokołami, które Samuel lubił bardzo, kochał, można powiedzieć, Zborowski, pieścił go, wychwalał, ale ten jak był doskonały do noszenia ptaków i do układania psów, tak się więcej do niczego nie zdał, a Zborowskiemu zdało się, że kto do tego ma talenta, musi mieć do wszystkiego.

Borowski był miękki a potakujący. Samuel go inaczej nie zwał, jak.

— Borosio mój; a sługa pana nazywał: król mój i pan mój!

Rozumie się, że i w tej sprawie dla niego tajemnic nie miał Zborowski. Gdy Boksickiego nie stało, otworzył mu się nagle.

— Ty mi go zastąpisz... Borusiu; rzuć do kaduka szkoły, a pilnuj ludzi i radźmy; trzeba śpieszyć, aby drogę zapobiedz kanclerzowi, inaczej się nam wymknie, a raz w Krakowie, nie dostąpimy już do niego.

— Żeby my jego nie dogonili! — zawołał Borowski z wielką gorącością i gotowością biorąc się do dzieła. — Rozkazujcie... Ludzie zaraz na koń, noc czy dzień, wszystko jedno... Padnie szkapa na drodze... bierz ją lichu. My go wyprzedzimy i gdzie rozkażecie, tam zaskoczmy.

— Ale na gwałt języka! języka! — wołał Zborow-

ski. — Zostaliśmy bez wieści... na plotkach. Nie wiemy na pewno, czy w Szydłowie jest, czy w Wiślicy, gdzie noclegi... czy wprost ztamtąd do Proszowic.

— Szlij po języka!

— Kogo?

Nastąpiła narada. Ochotników nie brakło. Borowski rozpoczął swą czynność z nadzwyczajną gorliwością, ale z lekkomyślnością jej równą. Samuel szczęśliwym był, że zdał troskę na niego, a z siebie ją zrzucił.

Temperamentem nie rozumowaniem fatalista, spuszczał się zawsze na jakiś pomyślny skład okoliczności, który go uwalniał od wczesnych zabiegów i starań, i choć w życiu nieszczęśliwie mu się wiodło, trzymał się mimo woli swego obyczaju. Z pomocą więc Borosia wszystko pójść musiało pomyślnie. Jak? Da się to widzieć — mówił sobie Samuel — po co sobie zawczasu głowę nad tem łamać.

Szło zatem dalej tym samym porządkiem, co wprzód. Zborowski jadł, pił i spoczywał w Zborowie, oczekując pewnych wiadomości o kanclerzu; rozmawiał ze swoim Olesiem, którego rozumem i statkiem bardzo się cieszył i był dumny. Strzelał do celu, chodził do swoich sokołów, wzywał Borosia na porady, które się kończyły śmiechami i był pewien, że kanclerz mu sam w ręce wpadnie.

Wyprawieni za językiem przez Borowskiego najsprawniejsi ze szlachty dworskiej, przynieśli wiadomość, że Zamojski się znajdował w Wiślicy i że ztamtąd bez pośpiechu podążał prawdopodobnie do Proszowic. A zatem Zborowski miał ciągnąć za nim i tu gdzieś jakoś drogę mu zaskoczyć tak, aby przodem wysłany z głównym oddziałem Luzicki z jednej strony, a p. Samuel z drugiej na dwór lub gospodę, w której go miano napaść, rzucili się jednocześnie. Zdawało się to tak prostem i łatwym, jak przełknięcie haustu dobrego wina.

Co do orszaku i siły, jaką miał przy sobie kanclerz,

pozostawały wątpliwości, ale te Samuel na korzyść własną z góry rozstrzygał. Posłańcy donosili, że mniej więcej mogło być z Zamojskim około stu koni, niektórzy nawet utrzymywali więcej, natomiast jeden, pochlebca, mówił, że się i sześćdziesiąt nie doliczył. Samuel mu to pochwalał i z nim trzymał, dowodząc, że hetman nigdy zbyt wielkiej kupy z sobą nie prowadził.

Dawało tylko do myślenia, iż na czele tych ludzi byli tacy drapieżnicy znani, iż Urowiecki, Mroczek i Sereny, a oprócz tego młody pokrewny kanclerza Stanisław Żółkiewski, nie licząc pomniejszych rotmistrzów i różnych stopni wojskowych z nim się znajdowało.

Zborowski się tem łudził, że ich wszystkich miał wziąć niespodzianie, i że jego pochód nieporządny, błędny, nie dozwalał się domyślać, dokąd zmierzał, a szpiegi, co go otaczały i donosiły o nim, odgadnąć nie mogły, co zamierzał.

Słowem szczęśliwy zawsze i z siebie rad Samuel, nie widział dotąd nic chybnem i końca się spodziewał pomyślnego.

Co chwila niemal przynoszono mu języka, który potwierdzał to, że kanclerz zwolna, bezpiecznie posuwał się ku Proszowicom. Rozmyślano tylko, czy tu można było go zaskoczyć, lub między Proszowicami a Krakowem.

Borosio godził się na wszystko, co Samuel obmyślał, a ten nie stanowił nic jeszcze pewnego, wyczekując, jak się dalej składać będzie.

Nieopatrzność Zborowskiego równała się jego męztwu; do porady nie miał nikogo, można więc już było przewidzieć, że dopuściwszy Zamojskiego do Proszowic, da mu dojechać i do Krakowa.

Jeszcze się wybierano dopiero w dalszy pochód ku Stogniewicom, zkąd we czterdzieści koni projektował ostatecznie rzucić się na Proszowice Zborowski, gdy nad-

biegł najpewniejszy język, człowiek, na którego i Borosio i pan liczyli najwięcej.

Był to stary, osiwiasty na posługach rodziny szlacheckiej Drużyna, milczący zwykle i smutny zawsze, rozważny, ale z natury pesymista, który skłonny był widzieć wszystko raczej czarno, niż jasno. Na niego więc można się było spuścić.

Drużyna, który orszak kanclerza na swe oczy widział i liczył po drodze z Wiślicy do Proszowic, zaręczał, że było więcej niż sto koni, i że za tym oddziałem miał postępować drugi mniejszy, w tylnej straży. Jednym z nich dowodził Stanisław Żółkiewski, drugim Urowiecki, a oprócz nich najdzielniejszych było kilku rotmistrzów i uzbrojenie jakby na wyprawę przeciwko Moskwie.

Drużyna nie radził Samuelowi, chociażby nawet udało się niespodzianie zaskoczyć, rzucić się na siłę większą, czujną i mającą kilku dowódców dzielnych. Miejscowości też, według niego, nie nadawały się do napaści, a sprzyjały obronie, tak, że nawet z orszakiem mniejszym oprzeć się było można, a zdobyć gospodę czy dwór trudno.

Stary sługa wzdychając, powiadał, że daleko dogodniej było wprzód na drodze najść na Zamojskiego, gdy przy nim Urowieckiego jeszcze nie było.

Zamyślił się Zborowski, przykro mu było, aby wszystko spełzło na niczem jego winą, choć się do winy nie przyznawał nawet przed samym sobą.

— Co to zawczasu przesądzać — odparł markotnie Drużynie — idźmy szybkim krokiem wprost do Piekara, aby wyprzedzić kanclerza, a tam znajdziemy środki, dostaniemy języka... Stadnicki ma tam czekać... Z Piekara pewnie nocą będziemy mogli się rzucić. Ja mam najlepszą nadzieję!

Co ty mi mówisz o stu ludziach! Naprzód ja w nich nie wierzę, tobie staremu się w oczach dwoi... powtóre, co mnie i moim znaczy stu ludzi. My na Niz, przypomnijno sobie, we dwudziestu czy trzydziestu szliśmy

na Turków tysiące i wyszli ręką obronną, a pogan natłuki. Moich ichmość panów trzydzieści ja nie oddałbym za jego półtora.

Uśmiechnął się i wąsa pokręcił, poklepał po ramieniu Drużynę.

— Jakoś to będzie! — rzekł — tylko teraz żywo, konie siodłać i w drogę najprostszymi ścieżkami, co Prędej do Piekar! do Piekar...

Odprawiony stary sługa siwego wąsa pogładził odchodząc.

— A co? — zapytał go w sieni Borowski, który przy naradzie nie był przytomny — a co?

— Nic — rzekł Drużyna — idziemy śpieszno do Piekar... do pani Włodkowej (usta mu się skrzywiły smutnym uśmiechem), a tam pan nasz postanowi, co dalej.

Spojrzeni sobie w oczy.

— Jak ci się zda? — spytał Borowski, który w duchu był przeciwnym całej tej imprezie — jak ci się zda? co będzie?

Drużyna milczała.

— A co ma być — szepnął po długim milczeniu. — W Piekarach pani Włodkowa, piwnica dobra, kuchnia też... dziewczęta wesołe... naszemu panu jak u Boga za piecem, to i na cóż więcej... A kanclerz sobie niechaj z Bogiem na roczki do Krakowa pośpiesza!

Śmiejąc się, ruszyli ramionami.

— Tylko to bieda — dodał smutniejąc Drużyna — jeśli my jego nie weźmiemy, on nas może pochwyć, a naszemu panu... pod banicją... Potrząsnął głową i nie dokończył.

Głos Borowskiego już się rozlegał.

— Żywo, na koń! do Piekar! żywo... żywo!

II.

Gdy Zborowski błakał się tak odkazując i spuszczaając na jakieś szczęście, którego nigdy nie miał, kanclerz tymczasem jechał zupełnie bezpieczny o siebie, nie zbaczając wcale z raz postanowionej drogi. Orszak przy sobie z p. Stanisławem Żółkiewskim miał bardzo dostateczny, i takich ludzi, jak energiczny Urowiecki, śmiały i wytrawny Mroczek, doświadczony Serny.

Wszystko co bracia pomiędzy sobą postanowili w Złoczowie, co marszałek potem z Samuelem radził w Sandomierzu, dzięki gadatliwości Samuela i jego ludzi a zdradzie Boksickiego było wiadomem kanclerzowi. Śledzono każdy krok Zborowskiego, bynajmniej się go nie lękając, ale Zamojski był do najwyższego stopnia zniecierpliwiony i oburzony.

Na drodze przyłączył się do niego Drohojowski starosta przemyski, należący do przyjaciół kanclerza. Znalazł go wprawdzie o siebie spokojnym, ale zuchwałstwem banity do najwyższego stopnia poruszonym.

O spisku na życie swe, o zamiarze napaści na drodze, środkach, jakie ku temu obmyślano, Zamojski jak najdokładniej był oświadczony. Oburzało go i to, że rodzeni bracia sami stojąc zdaleka, popychali lekkomyślnego Samuela na zgubę, na ważenie gardła, zabezpieczwszy się, aby o współnictwo z nim posądzeni nie byli.

O wszystkim tem wysłał był Zamojski listy do króla, pytając woli Stefana, jak miał postąpić, czy puścić płazem ten zamach, który musiał spełznąć na niczem, czy banitę pochwyć, ku czemu pod Krakowem, w jurydyce kanclerza nadawała się zręczność. Ale raz pochwywszy skazanego na banicją, potrzeba było, wedle rygoru prawa, karać śmiercią.

Rozdrażnienie w kraju przeciwko królowi i Zamojskiemu, z powodu surowości ich w sprawie Ościka i w innych wielu pomniejszych wypadkach, było wielkie. Pomnażali je i wyzyskiwali stronnicy pozostali cesarza, malkontentów mnożąc. Rakuzkie talary płynęły potroszę ze Szlązka, w którym było gniazdo intryg, przeciwko Batoremu wymierzonych. Nie zdawało się więc Zamojskiemu politycznem sprawą Zborowskiego rozdmuchiwać ognia i przyczyniać sobie trudności.

W tym sensie kanclerz pisał do króla i dopraszał się jego rozkazów, których co chwila oczekiwał. Sam on był zatem, aby dać tylko poznać Zborowskim, iż ich na wskroś znano i wszystkie zamiary nie były tajemnicą, a sprawę zdrady ich wnieść na sejm konwokacyjny, dozwalając ujść Samuelowi, który w istocie mógł jechać do Włoch i nie śmiałby już powrócić.

Bracia zaś jego bez tej szalonej ręki, głowami przebiegłymi nie nie mogli uczynić. Marszałekby się nie wazył, a Krzychnik musiałby z obawy o gardło uchodzić także pod opiekę cesarza Rudolfa.

Wszystko się więc mogło skończyć, wręczając grozę, a nie wymagając srogości, której oprócz tego potrzebowano zażywać ciągle, a kraj do niej nie był nawykły. Za Zygmunta Augusta nie znano jej wcale, mniej jeszcze obawiano się za Henryka, teraz więc nagła surowość i nieubłagane wykonanie prawa, musiało do najwyższego stopnia przeciwko królowi i hetmanowi zniechęcać.

Wiele przypisywano Węgrowi i Wilczym zębom jego, ale też Zamojski, prawa ręka, ulubieniec, kierownik, obwinionym był, że on podsycił tę surowość, nakłaniał do niej i był duszą wszystkiego. Szło więc Zamojskiemu o to, aby sprawa Zborowskich cała na niego nie spadała.

Na wyjeździe z Wiślicy kanclerz otrzymał odpowiedź króla. Batory o knowaniach Zborowskich, o tajnych znoszeniach się Czarnkowskiego z cesarzem, o wszy-

stkiem co się przeciwko niemu w Polsce poruszało, był jak najdokładniej zawiadomiony. Miare tego stanu umysłów nieprzyjacielskiego obozu dawały wszelkie sejmy i zjazdy, na których przeciwko królowi z zuchwalstwem dla Batorego niesłychanem i niezdolnem wykrzykiwano, nie szczędząc mu najprzykrzejszych, najboleśniejszych wyrzutów.

Był więc król w ciągłym rozdrażnieniu i gniewie na to stronnictwo, które ogień podkładało i utrzymywało, a dawne znaczenie rodziny Zborowskich stawiało ją w oczach jego na czele malkontentów.

Śmiała na Niż wyprawa do kozaków, którą uważał jako wymierzoną przeciwko sobie, nie była zapomniana Samuelowi; listy przez Wojtaszka przyniesione czyniły go jakby ogniskiem i głową spisku. Wiadomość więc z listu kanclerza o zamierzonym napadzie na niego, do najwyższego stopnia króla rozgniewała i rozjątrzyła przeciwko wszystkim Zborowskim.

Łagodniejszy sposób pozbycia się ich, wniesiony przez Zamojskiego, nie tylko że nie zdał się królowi właściwym, ale szkodliwym i mogącym ściągnąć na niego podejrzenie o słabość i obawę.

Dwojga tego nie mógł nawet cienia na sobie znieść Batory. Wolał stokroć uchodzić za okrutnika, niż za tchórza.

Odpowiedź więc na list hetmana brzmiała nieubłaganą surowością. Król życzył i rozkazywał pochwycić banitę i nie przepuścić mu, Powinien był dać głowę, i na tem musiało się raz skończyć wszystko. Batory, nie znając dobrze charakteru narodu, nad którym panował, surowość tę uważał za jedyny środek skuteczny, który miał się przyczynić do zaprowadzenia ładu i porządku.

— «Niechaj bronią swobód swych, których ja ukrócać ani gwałcić nie myślę, ale ja muszę mieć władzę, jaka mi należy... Jeśli się lękać nie będą, siebie zgubią i mnie razem, a ja winien będę, zem pobłazał. Nie mo-

gę mieć litości nad warchołami i zdrajcami jawnymi, O spisku Zborowskich własnoręczne ich listy potwierdzają, wina ich dotykalna, dowodzenia nie potrzebuje. Sam kasztelan gnieźnieński uznał, że pismo było własnoręczne jego brata. Potrzebaż więcej nad to, co stało czarno na białem: «Ów pies siła nam Zborowskim winien, ale trafim wróbla w łeb, trafię kanclerza między oczy, jedno wolę owego psa węgierskiego, króla, acz ci myślę z lasu zasadziwszy się, ale nie może być tak las gęsty, aby nieprzyjaciel nie zobaczył, a zaś po lesie trudno uciekać; najlepiej się w drodze w karczmie zasadzić... Jedno zaś uciekać nie wiem gdzie... do Turek źle, do Moskwy nie dobrze, do Węgier djabła się godzi, najlepiej do Morawy» i t. d.

«Czytaj w. mość wszystkie ich listy — pisał król dalej — winni są, ani się oczyścić mogą. Pan Bóg nam jednego z nich w ręce daje, powinnością waszą postąpić z nim wedle prawa, nie folgując... Powtarzam, com raz rzekł: *mortuus canis non morderet*. Nie pytajcie więc mnie, gdyż innej odpowiedzi dać nie mogę, nad odwołanie się do prawa. Padnie-li głowa winowajcy, ocali może wielu, bo baczyć będą, że nie przebaczymy nikomu.

Wiem o tem, że Zborowscy są możni i znaczą, a raczej znaczyli coś w kraju, że wrzawa będzie wielka, że przeciwko mnie i wam chwilowo burza się podniesie, lecz znasz w. mość polskie piwo... nie długo to potrwa».

Pismo króla całe było w tym sensie, ażeby Samuelowi jego zuchwałego wtargnięcia w jurysdykcję starosty krakowskiego nie przebaczyć, tembardziej, iż go Zamojski ostrzegał wielekroć, aby jej unikał, a nie zmuszał do surowości.

Przypominał teraz sam kanclerz, iż gdy po wyprawie na Wielkie Łuki, król go mianował krakowskim starostą, on wiedząc, że za jego poprzedników Samuel wywołany z Korony i Litwy, bawił bezkarnie i przemieszkował w Krakowie, zaraz z tem głośno się dał słyszeć, że on

wszelkiego prawa pilno strzedz i wykonywać je będzie, a w swej jurysdykcji banity nie ścierpi na żaden sposób. Zaczem przez marszałka koronnego i poprzyjaźnionego z kasztelanem gnieźnieńskim Janem Zborowskim przestrzegał i upominał Samuela, ażeby, dopóki banicya z niego nie będzie zdjęta, nie pokazywał się ani w Krakowie, ani w jego jurysdykcji, gdyż prawu uczyni zadość i po-błażać nie będzie.

Na to kasztelan gnieźnieński miał odpowiedzieć, że o tem słyszeć nie chce, oburzył się i dodał:

— W mocy go swej nie ma, po co te groźby próżnel

Nastąpiła wyprawa pskowska, a starostę pod ten czas zastępował z ramienia kanclerzaznaczony Płaza starosta lubaczewski, jako *surrogator* (zastępca). Z tego korzystał Samuel i na nic nie zważając mieszkał w Krakowie, bywał nawet na zamku, czynił co mu się spodobalo tak dalece zuchwale, że i on i ludzie jego po ulicach strzelali. Dochodziło to do Zamojskiego, ale zdala będąc nie mógł nic począć.

Gdy potem po sejmie razem z królem przyjechał do Krakowa kanclerz, nie miał też czasu zająć się tą sprawą, bo właśnie turek i tatarzy zagrażali i podawszy warunki, których przyjąć nie było można, obiecywali się wtargnąć. Zaczem Zamojski na gwałt ludzi musiał zbierać i na granicę biec, aby nie dopuścić najścia. Ta czujność jego zachowała kraj od wojny.

Tymczasem, korzystając z wyjazdu Zamojskiego na granicę, p. Samuel natychmiast do Krakowa powrócił, o czem hetmanowi znać dano w drodze, ale ścierpieć to musiał, choć i dla króla rosło ztąd niebezpieczeństwo, bo pamiętano, że się z p. Ciołkiem zmawiał w mieście do niego strzelacz.

Pan marszałek Andrzej Zborowski przeczuwając, iż brat był w niebezpieczeństwie, zapragnął mu zapobiedz i posłał z Lublina do kanclerza z prośbą, aby na

niego w Rzeszowie czekał dla widzenia się i rozmowy. Zamojski nie mając czasu ruszył jednak do Łańcuta, i tu go p. Andrzej napędził. Poczęli mówić o sprawach famili i o p. Samuelu. Prosił za nim marszałek, okazał się łagodnym kanclerz. — Szeroka Polska — rzekł — niech w moją jurydykę nie wjeżdża, ja go gdzieindziej szukać nie będę. — Napomniął o to marszałka, aby brata przestrzegł surowo, i wzbronił mu pokazywać się w Krakowie.

Marszałek przy tej zręczności prosił kanclerza o *bona officia*, aby u Tęczyńskich i u pani Wapowskiej i u króla wyjednał zdjęcie banicyi z jego brata. Obiecał Zamojski mówić o tem z Tęczyńskimi.

Później nieco, gdy kanclerz do Lwowa przybył, dowiedział się, że p. Samuel z Krakowa także tu przyjechał i stanął na przedmieściu. Nie chcąc się ściierać z nim, posłał Zamojski z przestroga, aby wyjeżdżał, bo go tu ścierpieć obok siebie nie może.

Nim się to stało, p. Samuel już przewidując, że Zamojski będzie mu czynił trudności, posłał od siebie po Kazimirskiego szlachcica, starszego sługę kanclerza, który wprzód służywał u marszałka Zborowskiego i powie-dział mu.

— Proś w. mość kanclerza, aby mi za złe nie miał tego, iż mnie tu noc zaskoczyła i spędzić ją muszę we Lwowie, a jutro o świtanu jadę ztąd precz.

Zamojski, do którego i Andrzej przyszedł się wsta-wiać, ofiarując nawet z Samuelem przeciwko tatarom, od-parł, że przez noc jedną cierpieć go będzie, ale nazajutrz jechać musiał... Co się tyczy tatarów — rzekł dwuzna-cznie. — «Przyjdzie-li do potrzeby, będę wiedział, jak go mam użyć i jak obrócić, zachowując się *more majorum*».

I to pamiętnem było, że czasu wesela swego Zamojski z pp. Tęczyńskimi mówił w sprawie Samuela i starał się ich do zgody nakłonić. Tymczasem przyszły listy

Wojtaszkowe, a za niemi gniew królewski, którego już nie przebłagać nie mogło.

Od króla odebrawszy wyrok ten kanclerz, chociaż był na co innego przygotowany, zafrasował się wielce. Pokazał go Drohojowskiemu i mówił z nim o tem.

Nie pozostawało już nic nad to, że musiał wolę królewską spełnić i gdyby Zborowski się podsunął bliżej, wiadomo w jakich zamiarach, bo Boksicki o wszystkim informował jak najdokładniej, ująć go potrzeba było. Za-tem szło następstwo nieuchronne, wyrok się sam pisał na banitę — czekała go śmierć.

— Że Samuel na nią zasłużył — mówił kanclerz — to nie ulega żadnej wątpliwości. Pominawszy Wapowskiego, którego w pasy ubił, co jeszcze zmniejsza winę, zabójstw, gwałtów, najazdów, rabunków, przemocy nad duchownymi, więzienia ludzi niewinnych, nie policzyć. Świat cały wie o tem i dziwi się, że uszło mu wszystko bezkarnie, ale, mimo to, śmierć Samuela na króla i na mnie też będzie zemsty i nienawiści wyrokiem. Nieprzy-jaciele nasi ją wyzyszczą.

Drohojowski niespełna wiedział, jak w tej sprawie sądzić, ale mu się zdało z królem głosować, że tu już do-broć tylko uzuchwalała, i że na nią dalej nic uczynić nie było można. Dla dobra więc rzeczypospolitej trzeba było Zborowskich poświęcić.

Zamojski potem przywołać kazał do siebie Urowieckiego i Mrocza, z których ostatni o wszystkich obro-tach Samuela był najlepiej uwiadomionym i aż drżał aby go ująć.

Ukazał im obu kanclerz list króla, uzalając się na los swój, iż mu tak ciężki do spełnienia przypadał obo-wiązek.

— Miłościwy panie — przerwał Mroczek — nie ma co i namyslać się. Jedno z dwojga, albo my się na to na-razimy, że oni na nas napadną, i choć się obronimy, to pewna, ale godność wasza narażoną będzie w takiej wal-

ce z ladajakim wywołańcem, albo my musimy go uprzedzić, co najłatwiejsza.

— Jakże najłatwiejsza? — zapytał hetman. — Gdzie on jest?

— Do Piekar ciągnie, w tej myśli, że nas w Proszowicach ze dwu stron najdzie, bo oddziałów dwa ma, które na to są nasadzone. Zdaje mu się, że o jego obrotach nikt nie wie i pochlebia sobie, że nas w pierwospy naszedłszy, w łożu może miłość waszą rozsiekać każe. Czekać więc na to aż się porwie, nie dobra rzecz. Jest nas tu dosyć, aby i przy miłości waszej dostateczna straż pozostała, i my z panem Stanisławem Żółkiewskim i panem Urowieckim na dwór w Piekarach poszli, gdzie go pewniej w łożu u przyjaciółki i siostrzenicy Włodkowej najdziemy, niż on nas spodziewał się w Proszowicach.

Nie podobało się to zrazu kanclerzowi i rzekł.

— Na dwór szlachecki, a do tego kobiety, wdowy, nocą nachodzić, nie nasza rzecz. Wziąć go gdziekolwiek bądź, ale mi się nie zdaje w Piekarach.

Mroczek stał przy swoim.

— Gdzieindziej nie może być — rzekł — wymknąćby się nam mógł i wyrąbać, bo to mu przyznać muszę, iż mężny jest i gdy raz do boju przyjdzie, nie łatwo go imać. Żywotów ludzkich może to kosztować, a tych szkoda. W Piekarach zaś, jak ptaka w gnieździe, gołą ręką go weźmiemy.

Urowiecki natychmiast też jął za Mroczkiem mówić.

— Rotmistrz to najlepiej rozważył i obmyślił — rzekł — niech miłość wasza zda na niego wszystko. Ja się też ofiaruję z pomocą.

Wtem z drugiej izby, do której drzwi stały na wpół otwarte, wyszedł młodzieniec, pokrewny kanclerza, pan Stanisław Żółkiewski, i przystąpił z poszanowaniem całując go w ramię.

— Ja się też dopraszam tego, abym ichmościom

towarzyszył — odezwał się. — Idzie tu o zdrowie i żywot wasz, który nam wszystkim i królowi jest najdroższy, ani się godzi go na wagę kłaść pospołu z życiem banity takiego, o którego postępkach słuchając uszy wiedną, a obcy ludzie zdumiewają się im pytając, jaka to jest ta rzeczpospolita nasza, w której zbrodzień podobny bezkarnie chodzić może długie lata, z wyrokiem nad głową, którego nikt nie śmie spełnić ino dlatego, że do rodziny możnej i znacznej należy.

— Wszystko to prawda — odezwał się kanclerz — wszystko to ja sobie mówię i wiem, a niemniej, gdy przychodzi krew ludzką przelać, nie na wojnie, ale wśród pokoju... wzdyga się dusza.

— Zaprawdę — odparł Żółkiewski — ani starosta, ani sędzia więc miłości waszej być nie przystało, bo lekając się krwi przelewu, dozwolicie, aby bezkarnie tacy ludzie jak Samuel przelewali krew niewinną.

— Nie czyńże mi z tego zarzutu — rzekł Zamojski — już mi nie o Samuela idzie, ale o *modus*, jakim go ująć należy. Wstrętny mi jest wszelki nawet pozór gwałtu, a tego nie unikniemy, biorąc go w Piekarach.

Wtem Urowiecki, bardzo śmiały człek, dodał.

— Wasza miłość więc chyba go zachęcić pragniecie, aby ośmielony Kraków nawiedził, co on niechybnie dokona.

— Tam go nie ścierpię! — odparł Zamojski.

— A no Piekary są tak dobrze waszą juryzdykcyą, jak i Kraków; więc gdy wiemy tam o nim — rzekł Żółkiewski — imać go obowiązek.

— A jeżeli napadu dokonawszy — odezwał się Zamojski — co łatwo stać się może, przy porze nocnej i nieznajomości miejsca, winowajcę nie weźmiecie, jeżeli on się wam wyśliznie, napróżno tylko kobiety i dzieci jak zbójcy nastraszyć. Pójdą wówczas skargi, iż go tam jako żywo nie było, a my popełniliśmy bezprawie, spo-

kojny dwór wdowi po nocy najeżdżamy. Choćby i starości krakowskiemu, sprośna to rzecz.

— Ja zaś głową bodaj ręczyć mogę — wtracił Mroczek — że go tam weźmiemy. Naprzód co do samego dworu, ja go z czasów pana Włodka znam dobrze, a nie zmienił się wcale. Co się tyczy obrotów Samuelowych, wiem też najpewniej, że uradzono pośpiesznie nam zabiegając drogę, biec do Piekar, i tam na noc będą pewnie. Czy na dzisiejszą zaraz noc uchwalono najście na Proszowice i na nas, tego ja nie wiem i twierdzić nie będę. Owszem, znając Samuela sądziłbym, że przybywszy do Włodkowej, wczasu zażyje i dopiero może nazajutrz o nas pomyśli. Zatem noc tę mamy, aby zamiary jego niegodziwe zniweczyć.

Zadumał się kanclerz i siadłszy jął się list króla na nowo odczytywać, jakby się pragnął przez to w swem postanowieniu utwierdzić.

Wszyscy, nie wyjmując Stanisława Żółkiewskiego, czekali. Urowiecki tylko i Mroczek, korzystając z chwili, młodego pana starali się namówić, aby przy kanclerzu pozostał i niepotrzebnie się z nimi na tę wyprawę nie narażał.

— Dajcie mi ichmość, proszę, pokój — rzekł Żółkiewski. — Rad będę szablą moją służyć kanclerzowi i nie odstępuję od tego, że mi z sobą iść dopuścicie. Mała to rzecz jeden człowiek, ale pod czas i ten przydać się może.

Powstał tedy Zamojski z siedzenia wzdychając, a pomrukując: — *Dura lex! Dura lex!*

Widać było, że tylko zmuszony listem króla, Zamojski na tak stanowczy krok się ważył, chociażby był chętnie raz jeszcze folgował. Ta też okoliczność się przyczyniała do decyzji, że Mroczek i Urowiecki zapewniali, jeśliby hetman ująć nie kazał Zborowskiego, on niechybnie napaść swą na niego dokona.

Wcale się jej nie lękając, Zamojski godność swą musiał mieć na względzie. Nie miłem mu było narazić

się na starcie z takim Samuelem i na wszystkie ustępstwa, a tłumaczenia, jakie ztąd wyniknąć musiały.

Nie mógł się więc już wahać dłużej, *Dura lex* nakazywała ująć zuchwałego człowieka, który jawnie na niego godził. Wiedziano bowiem bardzo dobrze, iż gdy hetman był w Szydłowie, Zborowski umyślnie się zbliżył do niego do Stobnicy biegnąc, a potem do Stogniewic. Gdy zaś wszędzie się przypóźnił, zostały mu Piekary, z których na Proszowice miał się rzucić, nie obrachowawszy z czasem.

Ponieważ wedle doniesień Boksickiego, w Złoczowie najmocniej uchwalono i niemal poprzysiężono, kanclerza w jakikolwiek sposób zgładzić, gdyby się teraz nawet nie powiodło, rzecz nie była skończoną, ale gdziekolwiekby, przy pierwszej podanej zręczności odnowić się mogła.

Raz więc temu koniec położyć było potrzeba.

Zamojski, który, jeśli nie całą może doniosłość kroku, jaki miał uczynić, obrachował, znał jednak ważność jego, w chwili gdy już miał wydać rozkazy zawahał się, dał znak Mroczkowi, aby czekał, a sam wszedł do przyległej sypialni.

Tu przy skromnem, obozowem łódeczku jego, na klęczniku, stał na złotej blasze malowany, starodawny obraz Matki Boskiej (druga strona wyobrażała Chrystusa na krzyżu). Hetman zwykł się być przed tym obrazem modlić, gdy miał stoczyć bitwę. I teraz czuł dobrze, że walkę rozpoczynał nie tylko z rodziną jedną mnogimi węzłami związaną z wielu innemi po całym kraju rozszanianymi, ale ze stronnictwem choć słabem, za to ruchawem, krzykliwem, popieranem z zagranicy, wyzyskiwanem przez wszystkich nieprzyjaciół Batorego i jego.

Było to rzucenie mu rękawicy, wypowiedzenie wojny, która i długą i ciężką być mogła, a przypadała na ten czas właśnie, gdy zewnątrz jeszcze z w. kniazem moskiewskim końca i rozejmu nie było, a turek groził i ce-

sarz intrygował. Gdyby osobiście mógł się być widzieć i rozmówić z Batorem, możeby go ubłagał i walkę tę przynajmniej odroczył.

Tak sobie wystawiał Zamojski, choć wistocie żadna siła nie potrafiłaby była żelaznego a mściwego i rozdrażnionego szlachecką butą powstrzymać króla.

Pod wrażeniem chwili tej stanowczej, która mu na długo spokój zatruci miała i przymnożyć nieubłaganych wrogów, Zamojski ukląkł przed obrazem, złożył ręce i głowę pochylił. Modlił się tak gorąco, ale nie długo, męztwo i otucha wstąpiły w serce. Spełniał rozkaz królewski, czuł się w sumieniu wolnym, prosił tylko Boga, aby go oświecił i dał siły.

Gdy wstał potem, miał na obliczu swe hetmańskie męztwo, które w przededniu najzaciętszych walk okazywał, powagę sędziego, majestat królewskiego zastępcy. Wyszedł napowrót do izby pierwszej, a Urowiecki, Mroczek i młody Żółkiewski zdziwili się zmianie, jaka w nim zaszła. Odszedł jakby pod naciskiem bólu jakiegoś, powracał chłodny i wypogodzony.

Zwrócił się zaraz do Urowieckiego i Żółkiewskiego, ale pan Stanisław, nim mówić począł, odezwał się.

— Proszę dowództwo zdać na tych ichmość, którzy znają miejsce, ludzi i okoliczności, ja tylko rękę chętną ofiaruję.

— Wielu on tam ludzi z sobą mieć może w Piekarach?—zapytał hetman.

— Trzydziestu może—rzekł Urowiecki—bo połowa ich jest z Łuzickim. Ludzie odważni ale nie będzie komu pokierować nimi, wątpię, ażeby nawet skupili się i bronili.

— A ze swego dworu kogo ma przy sobie? — mówił dalej Zamojski.

Mroczek i Urowiecki spojrzeli po sobie i liczyli.

Byli z nim Borowski, ów sokolniczy a teraz dowódzca, Chełmski Morawa, Bałaban, Skorowski, Rychłow-

ski, syn Oleś i siostrzan Stadnicki, gromadka dosyć znaczna.

— Trzeba na to liczyć — rzekł Mroczek — że my, unikając samego niepotrzebnego krwi przelewu, poczekamy aż się do snu udadzą, więc pobudzeni nie bardzo się bronić będą mogli. Samuel choć szablę i sahajdak ma zawsze nad łóżkiem, ale śpi twardo i gdy się obudzi, nie zaraz oprzytomnia.

— Szczędźcież, proszę, innych — odezwał się hetman—a niepotrzebnych ran i zabójstw unikajcie. Byleście jego, a z nim papiery, które w szkatułce z sobą wozi, jak Boksicki, dostali, reszty zaniechajcie. Syna nie tykać. Wszyscy to chłopię bardzo chwala, niech się w nim dawna pocziwość Zborowskich odrodzi.

Westchnął hetman, mówiąc to—i pytał dalej.

— Wielu z sobą myślicie wziąć na tę wyprawę.

Urowiecki głosował za tem, aby dobór uczynić, a liczbę brać nie tak znaczną i po drodze oczów na siebie nie zwracać, Mroczek choćby o kilku więcej się zebrało nie widział w tem złego, bo mogli drudzy Samuelowi, z Łuzickim stojący nieopodal, nadbiedz i o odbicie się kusić.

W istocie zmuszało to liczbę powiększyć. Urowiecki z Mroczkiem mieli kierować najściem na dwór, Żółkiewski też ofiarował się, choćby osobiście na Samuela. Była to młodociana gorliwość żołnierza, który szuka zręczności do walki, choćby nawet z takim nieprzyjacielem, jakim był Zborowski.

— Gdy go Pan Bóg da ująć? — zapytał Urowiecki—mamyż go tu przyprowadzić, czy...

— Do Krakowa na Zamek — odparł hetman. — Wprawdzie żaden tu sąd i zwłoka niepotrzebna, bo banita wpadłszy w ręce, już jest zabity, ale wolę go posadzić, poczekać. Może król zmieni postanowienie... a ma-li być śmiercią karan—cicho dodał Zamojski—niech pani Wa-

powska też instyguje przeciwko niemu. Zmniejszy to srogość króla i moją, gdyż na niego, a szczególnie na mnie, rzuca winę tej śmierci, choć, Bóg świadek, kielich ten odwracałem odemnie, pókim tylko zdołał. Ale są przeznaczone człowiekowi rzeczy, których on uniknąć nie może. Bądź więc wola Twoja!

I pomruczawszy coś cicho, dodał kanclerz.

— Prowadźcie go wprost na zamek i osadźcie w wieży, a straż niechaj będzie pilna. Nie szkodziłoby może, aby który ze starszych w izbie przy nim siedział. Ludzi do niego obcych dopuszczać się nie godzi.

Zresztą ja sam albo was napędzę, lub rychło tam będę.

Urowiecki z Mrocziem jeszcze w obecności hetmana poczęli rozprawiać o liczbie i wyborze ludzi i broni, jaką z sobą brać mieli... ale w tem byli wszysey z sobą zgodni.

— Patrzajcie tylko — dodał Zamojski — gdy się krok czyni, rozumnego człowieka dziełem jest tak go obmyśleć, aby się powiódł i nie chybił. Gdybyście mieli wpaść, a nie wziąć go i dać mu się wymknąć, natenczas królowi, mnie i wszystkim więcej zła uczynicie, niż do brego, gdy go weźmiecie. Zważcież pewnie, aby nie uszedł.

— Że w Piekarach będzie, to nie ulega wątpliwości — zawołał Mroczek — a że my go ułapim, to także pewna, boć dwór ostawimy, mysz z niego nie wyjdzie. Jeżeli oręza dostanie i bronić się będzie, a w tej walce legnie...

— Nie będzie ani waszą winą, ani wam za to włos spadnie z głowy — rzekł hetman. — Nie ledwiebym to wołał, niż długą z nim procedurę, a i onby rycersko skończył, nie z katowskiej ręki.

Westchnął hetman.

Szli więc Urowiecki i Mroczek naradzając się, ale tak, ażeby przygotowanie do wyprawy wieczornej

wcale nie było widoczne i nikt się go nie domyślał, każdy z nich pojedynczo ludzi swych na godzinę zmówioną cicho przysposobił, tak, że jedni o drugich nie wiedzieli. Oni sami wieczorem na włos nie zmienili codziennych zajęć, tak że każdy do snu poszedł i światła pogaszono, strażę zaciągnięto, wedle obyczaju.

Urowiecki, Mroczek i Stanisław Żółkiewski po-ubierali się i uzbroili zawczasu, a gdy godzina wyjazdu nadeszła, cicho w dziedzińcu tylnym zgromadziwszy się, na koń siedli i tylnymi wrotami tak wyciągnęli w pole, że nikt, oprócz straży, o nich nie wiedział.

Hetman kazał sobie, o którejkolwiek godzinie Żółkiewski powróci, natychmiast dać znać co się stało i obudzić.

Noc była wiosenna, cicha, ciepła... chmurna, a ptaszki na zabój śpiewały, o życiu, gdy tu śmierć się gotowała i tragedia okrutna, której skutki długo potem w kraju odrzmiewać miały.

Na dworze w Proszowicach tylko lampeczka nocna przed obrazem w sypialni hetmana blade płonęła.

BANITA.

III.

Wierny swemu obyczajowi, którego odmienić nie mógł, Samuel, choć mu się we wszystkim nie powiodło, a ludzie najgorzej służyli, jechał dalej, już na Piekary tylko rachując. Z Piekar wszystko się miało dokonać.

Tymczasem zabawiał się. Miał przy sobie dobrych towarzyszy kilku, rozumie się ulubionego Borosia i sokoły, Stefana Stadnickiego i sług trochę ze psami.

Około Podolan miejsce się okazało sposobne, więc ptaki puszczano, w czym Borosio okazał się dziwnie zręcznym, że dla niego dosyć pochwał nie miał Samuel, a tak był wesół, jak nigdy.

W Podolanach zachciało mu się donieść o wszystkim Andrzejowi, który niespokojnie oczekiwał, co się stanie, a że go już szpiegami wystraszone, list napisał umyślnie taki, aby w ręce kanclerza wpadłszy, w błąd wprowadził.

Stało w tym liście.

«Pan kanclerz już ku Krakowu jedzie, jest w przód. Ja sam z Borosiem zabawiam się z sokoły koło Podolan, którymi po staremu kugluję. U pani Włodkowej w Piekarach spać będę; nie frasuj się w. mość o mnie, boć sam żadnego niebezpieczeństwa nie widzę, ja też nikomu nie takowego nie myślę tylko *la pace, la pace, Senior*. Widziałem ci to na oko, że mnie kanclerz szpiegował, ale podobno nie żebym co takowego myślił, tylko się bardziej na mnie ogląda, jako bym ja, zem jest banit, nie miał być Zborowskim! Toć już w Krakowie nie będę, chociaż Czecha posłał do Luzickiego już przed sobą; kilku do pana Żupnika wyprawie, kiedy się będziemy mieli ruszać».

Tak igrając i kuglując z sokoły, żartując z Borosiem, rozprawiając o tem, jako się na jutro gotować potrzeba, dojechali ichmość zdrowo do Piekar, gdzie na nich Włodkowa w zamku już, a z wieczerzą na stole oczekiwała.

Zawsze tu z jego przybycia radość bywała wielka, ale teraz podwójna, bo czuli wszyscy, że się coś wielkiego przysposabiało i było za pasem. Włodkowa znając męztwo wuja i jego rzutkość, bynajmniej nie wątpiła, iż co on przedsięweźmie i obmyśli, to musi się szczęśliwie obrócić.

Przy stole była ochota wielka, ale na długo się nie zaciągnęło, bo wszyscy czuli się zmęczeni, a siły były potrzebne na jutro.

Słano zaraz wszystkim łoża, gdzie i jak było można. Dla pana Samuela w izbie wielkiej, przy którym miał być Borowski i Bałaban, dla Chełmskiego Morawca w bocznej izbie obok, na górze w komnacie mieścili się syn Oleś i pan Jędrzej Stadnicki.

Pożegnawszy Włodkową, która dopilnowała, aby każdy przy łóżku miał kubek i napój dla snu potrzebny, wedle obyczaju, szli strudzeni spać tak, że przed północą cały dwór w Piekarach w najgłębszym śnie był pogrążony.

Samuel szczególnie, że konną jazdą znużony był, bo miał pod sobą dnia tego konia, który nogi, prawda, miał doskonałe, ale nosił tak, że mało kto na nim wytrwał, usnął bardzo mocno.

Borowski zawsze czujny, spał ino jednym okiem, gdyż i myśleć było o czem.

Wtem, mało co po północy, w dziedzińcu rozeznał zdala naprzód koni stąpanie, potem bieganie ludzi i chrzęst broni, którego uniknąć niepodobna, z rusznicami zwłaszczą.

Zaledwie to uszu jego doszło, ducha stracił; wiedział już co to było. Przepowiedziano mu, że hetman na swą jurydykę ich nie puści. Nim zobaczył i wyj-

rzął przez okno Borowski boso, opończył tylko narzuciwszy, zerwał się. Otworzył szybę, aż pod ścianami ludzi pełno. Stracił głowę i co miał Samuela zbudzić, a o ratunku dla niego myśleć, z izby do komory pocichu sobie drzwi otworzył... ztąd na podwórko.

Tu jeszcze jakoś nikogo nie było, i Borowski śmignął wprost do stajen.

Mówił potem, jakoby Samuela budził, ale go się dobudzić nie mógł; zresztą sam potem wytłómaczyć nie umiał co zrobił, płakał tylko.

Obudził się na hałas Bałaban potem i biegł do okna a ujrawszy w dziedzińcu ludzi pełno, pośpieszył do Samuela. Tego na łóżku już nie znalazł, tylko pościel pomiętą. Widać było, że broni swej szukał Zborowski, ale jej nie mógł znaleźć. Murzynków dwóch, którzy mu posługiwali, schowali ją pod kobierczyk i tam pozostała.

Później już dojść nie było można prawdy, a i sam Samuel nie pamiętał dobrze, co czynił, gdy się obudził. Murzynkowie mówili, że broń, wedle zwyczaju, złożyli w łożu u głowy; Borowski powiadał, że to on uczynił. Sahajdak wisiał ze strzałami nad łóżkiem, ale tego nie pochwycił Samuel.

Bałaban drzwi znalazłszy otwarte, któremi przez komorę uciekł Borowski, sam też za nim podążył.

Wszystko to działo się wśród ciemności, bo noc była chmurna, a światła nigdzie po izbach.

Oblegający dom, czy dla postrachu, lub mając kogo na celu, poczęli dawać ognia, tumult się już wzięł wielki.

Włódkowa, która spała na górze, narzuciwszy le dwie chustę na siebie, zbiegła po swych sług na dół, gdzie wszystek jej fraucymer się znajdował i tu znalazła Stadnickiego, który za piec się wcisnął. Ten opowiadał jej, że skoczył był zaraz do izby, w której Samuel spał i szukał go wszędzie, ale już nie znalazł.

— Uszedł, da-li Bóg! za co jemu chwala — dodał Stadnicki.

Założyła ręce Włódkowa, modląc się.

— Boże miłosierny! co się to dzieje!

Zmiarkowała dobrze, co to znaczyło, ale pewni byli, że umknął.

W tym momencie Żółkiewski tylnymi drzwiami, które wyrąbać kazał, skoczył ze swoimi ludźmi i wpadł między wystraszone białogłowy i małe dziewczęta.

Zarazem drugimi drzwiami, także wyrąbanymi, wtargnął Urowiecki, a za nim Mroczek z wraskiem i strzelaniem a hukiem. Oprócz oddziału, który prowadził Urowiecki, Mroczek i przy którym był Żółkiewski, już na drodze na ochotnika, gwałtem prawie przyłączył się do nich Drohojowski z kupą przemysłań. Ci teraz z Sernym, pozostawszy w podwórzu, dla postrachu do dworu ustawicznie strzelali,

Stał się więc sądny dzień prawdziwy: lament kobiet, wołanie żołnierzy, strzały, hukanie, groźby, łomot. W jednych izbach ciemność, w drugich pozapalane światła.

Z wielkiej gorliwości, aby im ofiara nie uszła, bo jej jeszcze nie mieli, Urowiecki i Mroczek niemal poszaleli. Pamiętali co im hetman mówił, ujdzie-li, jakie z tego następstwa będą, więc na gwałt rzucili się na tych, których znaleźli i pochwytali, na Stadnickiego i na Chełmskiego.

— Gdzie Samuel, dawajcie go. — Urowiecki bił nawet i groził śmiercią, tak, że Chełmski i Stadnicki od zniechęcenia i razów się obronić nie mogli.

A ciągle się rozlegało: — Gdzie Samuel.

Z siepaczów zaś ich, którzy się po domu rozproszyli, jedni szafy rozbijali, drudzy po kątach plądrowali. Włódkowa, choć kobieta, nie straciła odwagi i krzyczała jak na zbójów.

— Jak śmiecie dom mój najeżdzać, toć rozbój jest, toć gwałt, to o pomstę do Boga woła, żeście mi dom

okrwawili. Jestem-li co winna, opowiem, ale gwałtu zaprzestańcie.

Ale do Urowieckiego i Mrocza mówić było jak do ściany, bo oni z tego strachu, żeby im się nie wymknął Samuel, głowy potracili.

Chcąc Stadnickiego zmusić, aby go wydał, poczęli strzelać do niego i naraz z kilkunastu rusznic dali ognia, ale chybili wszyscy, chociaż Stadnicki ogłuszony padł na ziemię.

Szaleli tak, bo Samuela dotychczas śladu ani słyhu nie mieli, a znali go, że mając czasu dosyć, pewnie im mógł ujsć: gdy oni głowami ręczyli za to, że go wezmą.

Niektórzy więc puścili się na górę, gdzie syn Oleś spał, a był przy nim sługa wierny Skorowski, który go chciał bronić i całą krwią obłany szedł, bo go porąbano.

Oleś obryzany także, przelekły, wpadł do izby białychgłów, ojca szukając.

Zobaczywszy go okrwawionego, poczęły kobiety krzyczeć.

— Zabili Stadnickiego... Oleś ino żyw! Zabili Olesia.

Trzeba było znać Samuela, aby zrozumieć to, że imię syna posłyszawszy i słowo to: zabity, o własnem bezpieczeństwie zapomniał.

Gdy się obudził, a już naówczas ani Borowskiego, ani Bałabana nie było, rzucił się bezbronny, nie dobrze jeszcze oprzytomniawszy, do sionki małej, do której dotąd nikt nie zaglądał, ale z niej wyjścia nie było. Prędzej później ujęliby go w niej, jak w saku.

A miał bezpieczną ocalenia drogę tę, którą uszli Borowski i Bałaban, bo z tamtej strony nikt ani zajrzał, aż do samego końca drzwi były pootwierane, droga wolna do stajen. W stajni konie i pole tuż a las.

Ale komu Bóg zginąć przeznaczył!

Posłyszawszy: Oleś zabity! wyskoczył Samuel

wprost na ten głos, w jednej koszuli, jak się z łóżka zerwał, stanął przed nimi.

Pierwszy Urowiecki go zobaczył.

— Czego chcecie?—zapytał Samuel dosyć spokojnie, chociaż wiedział już, co to znaczyło.

— Ciebie chcemy mieć — zawołał Urowiecki — pójdz z nami do pana naszego kanclerza, a teraz z nikim nie waz mówić, bo będziesz zabity.

Zapalili zaraz świecę i ucichło, tylko płacz już kobiet słyhać było.

Samuel syna zobaczywszy że żyw był, pomyślałszy mało, krew swoją zimną, którą tylko w złych razach podczas miewał, gdyż już sprawa była zrozpaczona, odzyskał. Bo jak gwałtowny i impetyczny się okazywał, póki miał nadzieję, że się wyrąbie i obroni, tak w ostatniej toni lekko sobie wszystko ważył.

Radość tedy ichmościów, co tego bohaterstwa dokazali, była wielka, bo o mały włos, a łacnoby im uszedł.

Nim się tedy odział, a nim oni z końmi, ludźmi i bronią do ładu przyszli, upłynęło dosyć czasu wśród płaczu i lamentów Włodkowej, syna i Stadnickich. Tym wszystkim już nie czynili nic, obstawiając tylko Samuela swoimi, aby z nikim mówić nie mógł.

Ludzie pana Samuela i wozy jego stały noclegiem w Stogniewiczach, dokąd zaraz nadeszła wiadomość, że pana Samuela ujęto, i że jeszcze byli z nim w Piekarach, wybierając się do Krakowa.

Rychłowski, który przy wozach był, nadbiegł z ludźmi, ale nie miał już tu co czynić.

Gdy już rankiem do izby, w której go trzymano wpadł Rychłowski, Samuel go zobaczywszy zdala, odezwał się mimo zakazu.

— Daj już pokój, Rychłowski nieboże, nie masz tu co czynić. Jedźcie do syna, służcie jemu, a szkatułę tam moją miejcie w dobrem opatrzaniu.

Na biedę szkatułę tę wspomniął, gdyż potem Uro-

wiecki o niej zaraz kanclerzowi doniósł i posłano po nią, aby wydano, a słudzy ze strachu i nieopatrzności oddali ją jak była.

Uciekło wtedy w Piekarach, chociaż załobą ją obiekto to nieszczęście, a Włodkowa, Stadnicki i syn w pierwszym momencie głowy potracili, lecz załedwie Urowiecki Samuela z sobą wioząc do Krakowa ruszył, i w Piekarach myśleć poczęto o ratunku.

Zdawało się, że jeszcze drogi pozostawały i środki, aby odwrócić od Samuela karę główną, jaka mu z powodu banicyi zagrażała. Stadnicki choć zbity i na poły żywy, natychmiast siadł na koń i do Sandomierza do marszałka Andrzeja popędził. Przybył tu może w godzinę potem, gdy list ów z Podolan pisany przyszedł. W progu zobaczywszy bladego siostrzeńca prawie odgadł marszałek nieszczęście.

— Jędrusiu! — zawołał — co się stało?

— Gwałt wielki; na dwór w Piekarach nasłał kanclerz, ze strzelaniem i przemocą siepaczy, ledwie ja żyw uszedł, a Aleksander okrwawiony. Samuela słudzy odbiegli, głowę stracił, sam się im w ręce dał, wzięli go i do Krakowa na zamek powieźli, ani się z tem tają, że go główna kara czeka.

Kanclerz z Proszowic sam ludzi wyprawiał. Wiedzieli o każdym kroku.

Marszałek z załamanemi rękami słuchał.

— Przeczuciem miał — rzekł. — Co tu czynić?

Zrazu w istocie nie wiedział nawet marszałek co miał przedsiębrać, ale najpierwszą było rzeczą kasztelanowi dać znać, aby bronił, a Krzysztofowi, aby o sobie myślał, bo i temu z listów i papierów sąd mógł zagrażać.

Tegoż dnia biegli posłańcy do Lublina do panów w Trybunale zasiadających, którzy wymiar sprawiedliwości mieli powierzony, aby oni się ujęli za zdradliwie pochwyconym banitą, który, jak dowodził marszałek, dlatego dekret sobie mało ważył, iż go ani król, ani kanclerz

nigdy nie przypominał i dawali mu w wojsku i w kraju swobodnie przebywać.

Jana listy do pokrewnych szły, do Stadnickich, do pana z Górki, do Tarnowskich, do Stypkowej, ażeby wszelkich wpływów swych zażyli dla ocalenia chociażby żywota Samuelowi.

Obawiano się, aby kanclerz zabiegając wpływem właśnie, nie przyspieszył wykonania dekretu, ale mylili się w tem, gdyż Zamojskiemu tak on był bolesną koniecznością, iżby go rad był jak najdalej odroczyć.

Spodziewał się może, przy osobistem widzeniu się z Batorym skłonić go do łaskawości.

Jeszcze Zborowskiego nie doprowadzono do Krakowa, gdy już wieść z Piekar i Stogniewic, z Proszowic, z szybkością błyskawicy rozbiegła się dokoła, iż Zamojski pochwyć kazał Samuela i wprowadzić na zamek do Krakowa. Ta nagła surowość względem człowieka, który przez czas tak długi swobodnie się wszędzie ukazywał publicznie, a nawet bywał w stolicy, tłumaczyła się wprawdzie dla wtajemniczonych historią Wojtaszka i pochwyconych korespondencyj, które spisku na życie króla i kanclerza dowodziły, ale dla innych był to krok tylko obrażający, aby kraj i niechętną szlachtę przejąć trwogą i okazać jej, że król nikomu pobbłażać nie myśli, ani rodzinom znacznym, ani tym nawet, co mu do zdobycia korony dopomagali, bo do tych się liczyli Zborowscy.

Już wprzód na niepomierłą surowość Batorego, na tyranią jego podnosiły się głosy, teraz zerwała się burza, uderzono na gwałt, nieprzyjaciele nawet Zborowskich widzieli w tem porwanie się na swobody i przywileje szlachty, coż dopiero rodzina, spokrewnieni, przyjaźni i ci, którzy stojąc po stronie cesarza, wyzyskiwali co mogli przeciw królowi. To co przewidywał Zamojski, ziściło się z nawiązką; w jednej chwili umysły były zaognione, krzyki i wyrzuty najgwałtowniejsze się wzniosły. Dotykały one króla, który był odpowiedzialnym za Zamojskie-

go, ale w daleko większym stopniu spadły na kanclerza. W nim widziano instygatora, sprawcę, winowajcę. Nieprzyjaźń ze Zborowskimi, odgródki Samuela dawno były znane powszechnie; uwięzienie uważano jako pomstę osobistą. Sprawa stała się walka Zamojskiego ze Zborowskimi.

Od zabójstwa Wapowskiego, przez szalone wybryki Samuela, postępowanie nieczyste i niejasne jego braci, przerzucenie się ich do cesarskiego obozu, Zborowscy znacznie na swym wpływie i poszanowaniu u ludzi stracili, ale zawsze, choć nadrujnowany marszałek, choć zubożały podczaszy, mieli jeszcze i majątności rozległe, i stosunki ogromne, i związki, i klientów, a szlachtę drobną, która ślepo szła z nimi.

Uwięzienie Samuela przychodziło też w samą porę dla tych, co przeciwko królowi knowali i gotowali zażartą opozycję na sejmie. Ze wszech stron zabierano się je zużytkować, dowodząc samowoli, gwałtu, nieposzanowania praw stanu uprzywilejowanego.

Przez tyle więc lat wolno było banicie ukazywać się wszędzie, nikt mu nie mówił słowa, dano się ubezpieczyć, a potem schwyceno go jak w pułapkę!

Poruszenie umysłów, wywołane wiadomością o napadzie na Piekary, z każdą chwilą przybierało rozmiary groźniejsze; dodawano do tego opisu nocnego najścia na dom kobiety, wdowy bezbronnej, okrucieństwo, z jakim Urowiecki i Mroczek postąpili sobie względem niej, małoletniego syna Samuelowego, młodego Stadnickiego i służby. Strzelanie do domu, plądrowanie, wyrąbywanie drzwi, wrzaski, odgródki i t. p.

W listach i opisach tej nocy powiadano:

«Toć się stało tego dnia w Piekarach, w dworze uprzywilejowanym pani Włodkowej, z piątku na sobotę w nocy, dwunastego dnia Maja, gdy miesiąc w ogniu był smokowym, w kilka dni po zaćmieniu słońca w tym roku».

Dla szlachty było to w istocie nowe słońca zaćmienie, bo ukrócenie swobód jej... targnięcie się na jej prawa.

Miał za sobą Zamojski banicyę, która nigdy przestarzeć się nie może, ale dla czegoż jej przez lat tyle nie zużytkował?

Przybycie kanclerza do Krakowa nie uprzedziło niezmiernego niepokoju, jaki uwięzienie Samuela sprawiło. Zastał tu już wszystkich swych przyjaciół zaalarmowanych, przestraszonych. Zaledwie zażegnane niechęci miały się więc rozognić znowu! Wszyscy prawie potępiali tę surowość.

Poważny, zimny, spokojny kanclerz na pytania, na ubolewania nawet nie odpowiadał, zbywał je majestatycznym, bardzo znaczącym milczeniem. Na króla odpowiedzialności składać nie mógł... sam bronić się nie myślał, a na wszystkich twarzach czytał pytanie niespokojne:—Cóż dalej?

Tegoż dnia nad wieczorem nadbiegł ks. biskup Myszkowski na zamek, po którego obliczu zmienionem, bładości i poruszeniu kanclerz poznał, że i jego ta sprawa Zborowskich obchodziła mocno i trwożyła.

Nie zagadnął o niej w chwili pierwszej, pytając o podróż, o zdrowie, o króla, lecz łatwo było poznać, że to wszystko było tylko wstępem do najważniejszej rzeczy, do zapytania o Samuela, do interwencji za łagodnością i miłosierdziem.

Kanclerz nie śmieli długo dotknąć tej struny drażliwej, naostatek Myszkowski już się powstrzymać nie mogąc, ręce złożył i zawołał.

— Kanclerzu mój, poznajesz po mnie łatwo, że ja tu nie z samem pozdrowieniem pośpieszałem. Co za straszliwe wieści! Jakże się stało, że Zborowskiego Samuela ujęto?

Chłodno odparł kanclerz.

— Z mojego rozkazu! Napominałem go, aby się w mojej jurydyce nie śmiał ukazywać. Na przekorę

i szyderstwo przybył do Piekar, gdy o mnie wiedział w Proszowicach. Gotowano zamach na mnie, musiałem go uprzędzić.

Biskupowi łzy się toczyły po twarzy.

— Al! następstwa tego kroku są nieobliczone—zawołał—król i wy ucierpicie... poruszyliście gniazdo osie.

— Wiem o tem—rzekł Zamojski—ale osy te nam w oczy lały i kasały, raz z niemi skończyć potrzeba.

— Skończyć!—przerwał biskup—to dopiero początek, a koniec, koniec... nie daje się przewidzieć, ani obrachować. Surowością u nas, obcemu jak Batory, nie począć nie można, łagodnością wszystko łatwo.

— Pobłażaniem doszliśmy do bezprawioń—zawołał Zamojski—trzeba granicę położyć temu, czas był, musiałem. Nie cofnę się.

Biskup nie śmiejąc pytał już, milcząc ręce załamał; domyślał się reszty. Głowa mu opadła na piersi, zdawał się modlić w duchu, aby Bóg zmiękczył serca.

Rozmowa przerwana chwilę, podjęta została z krwią zimną przez Zamojskiego, który z wyraźnym rozmysłem omijał króla, usuwał wszelki wpływ jego, tłumaczył sobie tylko i wszystko brał na swe barki. Biskup znał już nadto o bu, aby się tem dał złudzić, wiedział, co miał trzymać.

Spodziewał się, że kanclerza nieco łagodniej usposobić potrafi, ale wkrótce przekonać się musiał, że bez namiętności, bez gniewu, chłodno Zamojski stał przy swoim, jako przy następstwie koniecznym prawa, które poszanowane i spełnione być musiało, aby wrazić narodowi znaczenie praw w ogóle, z których nikt wyłamywać się nie mógł.

Gdy po długich dość odwiedzinach powstał Myszkowski, aby pożegnać kanclerza, smutkiem oblekła mu się twarz poważna, bo wiedział już, że Zamojski nie ustąpi, że postanowienie jego jest niezłomne. Mała nadzieja

pozostawała na królu... lecz Batory mniej jeszcze do łagodności i ustępstw był skłonnym.

Zamojski przybywając do Krakowa wiedział co go tu czekało i na co się miał gotować. Drzwi się też nie zamykały. Jedni z aplauzem przychodzili, chcąc mu się przypochlebić, co on surowo i zmarszczony przyjmował, drudzy—a tych było daleko więcej—biegli z błaganiem, ze strachem i argumentami przekonywającymi, że łagodność była konieczną.

Nie odpowiadał, ani się tłumaczył Zamojski.

Dla zmniejszenia nieco wrzawy przeciwko królowi i sobie, jeden tylko środek obmyślił, aby skłonić wdowę Wapowską do instygowania przeciwko zabójcy męża.

Pamiętnem było dobrze, z jaką wytrwałością, nie pozwalając pogrzebać zwłok męzowskich, Wapowska je uparcie na zamek woziła, domagając się pomsty... Od tego czasu nie zrzucając żałoby, święta matrona cała oddana dzieciom i pobożności, na nabożeństwach, postach, dobrych uczynkach, spędzała żywot sierocy, któremu pamięć męża przyświecała.

Zdawać się więc mogło kanclerzowi, że teraz, korzystając ze zrzeczności, przysłuży się i Wapowska do potępienia gwałtownika.

Ale była to prawdziwie święta niewiasta. Wielka jej boleść upłynęła ze łzami, miała czas ofiarować Bogu swe wdowieństwo, a teraz gdy nieprzyjaciół leżał zwyciężony i pobity, nie chciała bezbronnemu zadawać ostatniego ciosu.

Przebaczła mu po chrześcijańsku.

Odpowiedź jej na wezwanie Zamojskiego brzmiała, iż teraz już ona krzywdy swej dochodzić nie będzie i pomszczenie jej Bogu oddaje.

Wszystko więc, całym brzemieniem spaść miało na Zamojskiego, króla nie było w Krakowie. Hetman postanowił pod jakimkolwiek bądź pozorem przeciwnie wykonać, aby raz jeszcze odwołać się do Batorego

i skłonić go może do łagodności. Listy pobiegły na Litwę.

Obłany krwią rannego sługi młody Aleksander z Piekar udał się do marszałka, który miał być jego opiekunem. Tu zastał już Annę, która z ochmistrzynią swą przybiegła rzucić mu się do nóg, błagając, aby nie opuszczał ojca.

Anusia była od pierwszej chwili, gdy otrzymała wiadomość, w nieustającej gorączce. Chodziła jak nieprzytomna, powtarzając po cichu: Wojtaszek! Zamojski! Z namiętnością niewieścią, z gwałtownością tej krwi właściwą, która w jej żyłach płynęła, zaciskała usta, gryzła wargi, łzy się jej puszczały z oczów i wołała po cichu: Zemsty! zemsty!

Marszałek nie mógł uspokoić dziewczęcia. Sam przerażony, ale zimny, myślał tylko, jak obrócić na korzyść rodziny nieszczęście, które ją spotykało.

Pytał sam siebie, czy być to mogło, aby potomek onych Zborowskich sławnych padł z ręki kata... Przychodziło mu na myśl, niestety, że ojciec ich rodziny zabił banitę Sanguszkę...

Los zdawał się na drugim pokoleniu chcieć pomścić męża Halszki z Ostroga...

Jeżeli kniaź ze sławnego rodu mógł paść ofiarą tego prawa, na obcej ziemi, gdzie ono już wagi nie miało — dla czegożby oszczędzać miano Samnela, który wziętym został tam, gdzie się znajdować nie miał swobody, zwłaszcza, gdy na niem nie tylko winy jego, ale całej rodziny spisków i zamachów mścić się było można. Listy Krzysztofa świadczyły przeciwko nim wszystkim.

Mógłże Jan kasztelan gnieźnieński zaważyć swą wiernością i cnotą za trzech winowajców?

Marszałek st rął się upewnić Anusię, że niebo i ziemię poruszą oni, aby Samuela ocalić.

— Lecz, dziecko moje — rzekł — mamy nieprzyjaciół strasznych. Król sam stoi na ich czele, a za nim

jest mściwy Zamojski, a za nimi cały tłum dworaków, zasuszników, pochlebców. Zawiechrzym kraj, podburzym szlachtę, wywołamy zjazdy, podniosą się krzyki; ale czy to pomoże, czy pogorszy, nastraszy, czy rozjątrzy? któż to wie?

Anusia — dziecko, kobieta, nie rozumiała nawet, iżby nie zrobić nie można. Cała szlachta nie tylko na Rusi, ale w rzeczypospolitej podnieść się była powinna. Na Litwie mieli Chodkiewiczów, w Wielkiej Polsce Górków, w Krakowskim Spytków!

Palila się jej głowa.

— Zemsty! zemsty! — powtarzała sama do siebie.

Z Sandomierza, padłszy naostatek do nóg marszałkowi, Anusia kazała wieść do Piekar, do Włodkowej. Zdało się jej, że ta siostra, ta ulubiona ojcu kobieta, lepiej ją zrozumie, goręcej pomódz jej potrafi, niż marszałek. Dowiedziała się razem, że kasztelana nie było, że na niego długo jeszcze czekać musieli, a podczaszy uciekł już zagranicę, z obawy, aby na nim nie poszukiwano wyrazów listu, w którym królowi uznania jego tytułu odmawiał. (*Rex, si hoc nomine dignus*).

Ta ucieczka, gdy ojca jej bronić było potrzeba, oburzała ją.

Wszyscy więc opuszczali nieszczęśliwego? — mówiła sobie — a więc ona jedna, słaba, biedna niewiasta, dziecko, mężnie stanie w jego obronie.. Pojedzie na koniec świata, zburzy co żyje, a naostatek pomści się za ojca.

Imię zbrodniarza, Wojtaszka, nie schodziło z jej ust.

Na dworze królewskim jest! ale ja i tam się dostać potrafię, i tam go wysłędzę... zapłacę ludzi, znajdę zbójów... życie mu odjąć każę... Zginać musi...

Napróżno stara ochmistrzyni, niewiasta, co się jeszcze z domu Spytków tu dostała i umiała modlić, chciała ją skłonić do modlitwy, do zwrócenia się ku Bogu, Anu-

sia inaczej wychowana przy ojcu, rachowała na siebie tylko.

Z tą gorączką przybyła do Piekara i łkając a krzycząc, rzuciła się na szyję wychodzącej naprzeciw niej Włodkowej.

Były to dwa zbliżone do siebie temperamenta. Wdowa także gorączkowała się, szalała, ale zarazem wśród nieustannego zajęcia sprawą wuja Samuela, już była nią obytą, już niemal zdała się być zobojętniałą... Codzień tylekroć powtarzała opowiadanie, iż jej spowszedniało; codzień tyle razy tu rozprawiano o grożącej Samuelowi śmierci, że i ta już była dla niej przewidzianą... a że Włodkowa przytem czynną być mogła, poruszała się, jeździła, pisała, krzyczała—prawie jej z tem było do brze... Żyła w swoim żywiole...

Anusię to oburzyło niemal; ona nie mówić, ale czynną być chciała... Włodkowa nie widziała sposobu uczynienia najmniejszego kroku. Jej rzeczą było pobudzać i nie dać usnąć obrońcom. Ale z tego, co dochodziło z Krakowa, już nie miała nadziei ocalenia.

Przy pierwszym spotkaniu, Anna posłyszawszy to wszystko, prawie do rozpaczki została przywiedziona; chciała jechać do Krakowa, domagać się widzenia z ojcem; dowiedziała się, że nikogo nie depuszczano do niego, nikomu z nim mówić, dostąpić nie dawano.

Wszystko, co uczyniono dotąd, Annie wydawało się niedostatecznem... oskarżała stryjów, gniewała się na rodzinę.

Chciała jechać od dworu do dworu po krewnych i zmuszać ich do wystąpienia.

Prawo! Anusia nie wiedziała o żadnem prawie na świecie, któreby ojcu jej życie odjąć dozwalało! Słowem jednym szał to był dziecka, ale tak gwałtowny, że go nie pohamować nie mogło.

Nazajutrz Włodkowa, zaledwie powstawszy, pobięła do Anusi.

W łóżku już jej nie było, nie było we dworze; każała powiedzieć, że do kanclerza jedzie.

— Oczy mu wydrę! — wołała, siadając do kolebki z ochmistrzynią.

Włodkowa chciała się naprzód puścić w pogoń za nią, ale goście ją najechali, a wreszcie Anusi powstrzymać żadna ludzka siła już nie zdołała...

Późno wieczorem zatoczyła się powracająca z Krakowa kolebka. Anna wysiadła z niej blada i zapłakana.

Kanclerz przyjąć jej nie chciał, odprawiono od progu! Do królowej dostąpić nie mogła.

Podli ludzie uciekali od niej i nikt a nikt nie chciał być pomocą. Zabijałaby, gdyby mogła. Łzy toczyły się po twarzyczce... nie wiedziała już, co miała począć.

W Krakowie na chwilę stanąwszy u wrót pustego domu na Franciszkańskiej ulicy, dowiedziała się tu tylko że w niem nikogo nie było, nie spodziewano się nikogo. Kasztelan nierychło mógł przybyć.

Tu ją spotkało to, co biedną dziewczę dobiło.

Stała przed wrotami, głośnie lamentując i krzycząc na służbę, która stała obojętną i zimną, gdy ujrzała ulicą zbliżającego się ku sobie mnicha, w habicie białym, w czarnym płaszczu.

Z twarzy żółtej i czarnych oczów poznała w nim O. Czesława.

Dominikanin stanął zblizka i przysłuchując się wyrzekaniom Anny, głową potrząsał a usta drgały mu uśmiechem nielitościwie szyderskim. Zwróciła się ku niemu dziewczyna, mierząc go oczyma rozplamienionemi.

O. Czesław nie ustępował.

— A co?—zawołał na głos, jakby stał na kazalnicy.—Przyszła na was, na ród bezbożny pomsty Bożej godzina... Bolejcie i jęczycie... ale to mało za zbrodnie wasze. Ród wasz przepaść, imię zginać, gniazda wasze zniszczone być powinny. Nie zostanie z was śladu, a z domów waszych kamienia na kamieniu... Poleje się

kwę za kwę, ły za ły... bo sprawiedliwym jest Bóg, a wszechmocna jest ręka jego, i upokorzy on mocnych i potężnych, a podniesie pokornych a uciśnionych...

To mówiąc mnich rzucił ręką, jakby pochodnię anatemy ciskał z kazalnicy, i nie słuchając krzyku omdlałej Anusi, poszedł dalej obojętny.

IV.

Chociaż z zamku języka dostać było trudno, bo tam się nie mógł nikt przecisnąć, a straż była bardzo pilna, wiadano jednak na mieście, że Samuel Zborowski miał za nieodstępnych towarzyszy i stróżów, dwóch najwierniejszych sług hetmana: rotmistrza Mrocza, który go pojął, i Sernego, który w Piekarach do dworu strzelał dla uczynienia popłochu. Siedzieli oni z nim razem na burgrabstwie zamkowym u Przyłęckiego, a Samuela rzadko z bocznej komory, w której był zamknięty, wypuszczano nawet do średniej izby, przestronniejszej nieco.

Dokoła burgrabstwa, ponieważ się wszystkiego obawiać mógł Zamojski, nawet gwałtownego jakiegoś najścia na zamek, nie mniej nad kilkuset liczono szarpaczów z rusznicami i ręczną bronią.

Mroczek i Serny, żołnierze, ludzie mężni, nie gorsi od drugich, ale małego i biednego stanu, jak wszyscy im podobni, nie mogli się temu oprzeć, aby poniżonego możnego pana, którego w rękach mieli, z którym się im jak chcieli wolno było obchodzić, nie upokarzali i nie znęcali się nad nim. Rzadka to rzecz, aby mały człowiek po-

szanował w upadku niegdyś potężniejszego od siebie. Jest coś niepokraczowego w naturze ludzkiej, że taki biedny człek niemal się czuje zwycięzcą, gdy los mu da w ręce takiego, który nad nim górował.

Mroczek też i Serny obchodzili się z tym potomkiem senatorów i wojewodów, z tym Zborowskim, którego rodzina liczyła się do najstarszych i najpotężniejszych niegdyś w Rzeczypospolitej, jak z pospolitym jakimś włóczęgą lub zbrodniarzem.

Każde ich słowo było urągówiskiem... Dawali mu czuć swą siłę z tą butą gminu, z tem grubiaństwem żołnierskim, które dumnego i gwałtownego Samuela musiało do rozpacz przyprzewodzić.

Ale wprędce Zborowski pojął, że dając im poznać obrazę i cierpienie, uczyniłby rozkosz... Męczyć go właśnie chcieli, on stał się zimnym i obojętnym naумыślnie. Kosztowało go to, lecz winien był godności własnej, aby nie uczuć razów jakie mu zadawano.

Znosił je z obojętnością kamienną, gdy dwaj rotmistrze умыślnie przy nim rozpoczynali rozmowy, które go mogły drażnić, patrzył gdzieindziej i zdawał się głuchy.

Nie rozbrajało to gburów. Oprócz groźby końca który Samuel przewidywać musiał, wiedząc co go czeka, a nie spodziewając się litości, tymczasem prawdziwe ponosił męczeństwo.

Gdzie naówczas myśli jego błądziły... co doświadczał? tego nawet ci oprawcy odgadnąć nie potrafili. Siedział na łożu lichu wysłanem całemi godzinami, sparty na rękę i zadumany. Wyzywany умыślnie do rozmowy, bo Mroczek rad był coś z niego wyciągnąć, aby zanieść hetmanowi, Zborowski albo dumnie i krótko, lub wcale nie odpowiadał. Pana w nim czuć musieli, choć zszedł na najnędnieszego z więźniów.

Rzadko o co prosił. Nawykły w potrzebie żyć kawałkiem suchego chleba i wodą, nie dopominał się niczego.

Z rozmów ich dowiadywał się czasem rzeczy, które go obchodziły — zawsze najgorszych i najprzykrzejszych ale nie dawał znaku, aby je wielce ważył. Pytać nie chciał, bo wiedział, że alboby go zbyt szyderstwem lub odpowiedziano pogroźką. Widzieć się nie mógł z nikim. Co się działo z Olesiem, co z Anusią? Wiedział o przywiązaniu córki do siebie, znał jej nieunoszoną gwałtowność, był pewnym, że się narażała dla niego, ale co ona biedna poradzić mogła?

Marszałek miał się dziećmi zaopiekować, o tem nie wątpił Samuel, ale nim? tego nie był pewnym. Wreszcie on może krok jakiby uczynił, ale Krzychnik? ten musiał ująć, domyślał się słusznie; ten aniby chciał, ani zresztą potrafił nie zrobić.

Kto wie jeszcze, co z nim być miało, jeśli nie zbiegł pod opiekę cesarza?

Dzień i noc myśli, z przeszłości wysnute, wiły mu się po głowie.

Tak więc kończyło się to bujne, rozhukane życie, pełne blasków i ciemności... legł w walce z kanclerzem... Wszystkie krwawe czyny, wszystkie gwałty, jakie popełnił, co tylko sobie miał do wyrzucenia, stawało przed nim... Jak widma przychodzili doń Wapowski, Trepka... cały szereg trupów, a za nimi cała ciżba sierot i wdów. Słyszał powtarzające się krzyki dawno zapomniane... ostatni jęk przebitego oszczepem na polowaniu Trepki, płacz Wapowskiej, śpiew zdrajcy Wojtaszka, nawoływanie i świst Borowskiego na sokoły!

Nie, nie już powrócić nie miało... Miecz katowski czuł na szyi, zimne dotknięcie jego, a potem?

Ze starej wiary ojców pozostały w nim ledwie szczątki... do kościoła nie należał... zaciągnął się do nowych szeregów... a teraz nie wiedział ani jak, ani do kogo się modlić? Po za tem życiem, u którego stał skraj, była jakaś przepaść ciemna, i nie w niej dojrzeć nie mógł. Próżnia, mroki, milczenie, nicość...

Odwracał się od tego obrazu. Wracały ziemskie przypomnienia, troska o los dzieci... a ta biedna Włodkowa, której dom zakrwawiono?

Czasem przychodziła na myśl potęga domów, z któremi Zborowscy byli połączeni. Przecież szlachta i panowie, nawet pod panowaniem Wilczych zębów coś znaczyli; przecież Samuel banita, nie przestał być Zborowskim? Wszystkie ziemie powstać były powinny... cała szlachta upomnieć się o niego, zastawić się, nie dopuścić!

— Nie — myślał czasem — on się nie waży podnieść miecza na mnie; wie, że światby oburzył na siebie. Znają nas na dworze cesarskim... imię nasze głośne, mamy komu przekazać zemstę! Nie, nie! nie waży się... Pusić musi.

Niekiedy marzyło mu się znowu, iż jego przyjaciele gwałtem go odbić mogli i byli powinni.

Na zamku nie trzymano przecież tak wielkiej załogi, dosyć było śmiątków gromadki, napadu niespodzianego... Miał dawniej przyjaciół tylu, a teraz jego sprawa była razem całej szlachty sprawą? Na króla cała Rzeczpospolita narzekała. Zamojski dokuczył, to mogła być ostatnia kropla pułahu przepełnionego.

Trzymali go długo, dzień za dniem uchodził, mogli go stracić zaraz po ujęciu, więc to znak, iż może sprawę Zborowskich na sejm podać miano. Naówczas był pewien ocalenia!

Tem się pocieszał; ale nie jeden on zwłokę za znak wahania się pomyślny dla Samuela się być sądził. Tego zdania było wielu innych. Rozumowano, że banita mógł być natychmiast po uchwyceniu karany śmiercią, jeżeli tego nie spełniono, śnać łaskawszym chciał być kanclerz, bo się obawiał.

Lecz, wszystkie te wnioski były fałszywe. Śmierć została postanowioną, ale Zamojski sam wahał się jeszcze. Radby był przebaczyć i folgować... chciał się jeszcze do króla odwołać...

BANITA

(Czasy Batorego)

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Tom III.

Kraszewski



WARSZAWA.

Nakładem Michała Glücksberga.

—
1898.

Pisać? nie starczyło — jechać? nie mógł, bo i sądy i rządy na nim tu spoczywały — cóż uczynić miał? Najrozumniejszy z jego domowników, sekretarz Heidenstein, wyprawiony został potajemnie, kazano mu co najspieszniej powracać. Heidenstein kanclerza myśli znał najlepiej, był doń przywiązany, rozumiał go, a teraz... odczuwał i przeczuwał wszystko, co za sobą sprawa Zborowskich ciągnęła. Wartoż było nią nowe sobie trudności tworzyć na przyszłość, gdy i tak liczba ich przechodziła miarę.

Heidenstein miał w Grodnie, lub gdziekolwiekby króla mógł pochwycić, skłonić do łagodności, prosić o pozwolenie, żądać ułaskawienia. Nie wiele się spodziewał po tym kroku Zamojski, ale dla uspokojenia sumienia uczynić czuł się obowiązany. Heidenstein dniem i nocą pobiegł ku Litwie.

W Grodnie na starym zamku, w izbie, którejby la-da rada miejska nie chciała na posiedzenia, na ławie ledwie pokrytej, otoczonego psami, wśród liczego swego węgierskiego dworu zastał Heidenstein pana, z chmurnym czołem.

Witał go już tak, że się nie dobrego spodziewać nie było można.

— A co? — spytał król po łacinie — dał głowę?

— Kto? — zapytał posłaniec zmieszany.

— Zdrajca, co czyhał na moje życie — odpowiedział król — Zborowski.

Zawahał się nieco Heidenstein.

— N. Panie — rzekł po namyśle — właśnie ja przybywam do was w tej sprawie.

— Ale ona jest skończona! Kanclerz wie wolę moją — odpowiedział król — tu już do omówienia nic nie ma. Ja nie zmienię postanowienia.

— Kanclerz kazał mi jednak przedstawić jeszcze ustnie W. Kr. Mości — rzekł poseł.

— Co? że się obawia Zborowskich? wrzawy? krzy-

ku? pomawiania o okrucieństwo! Wszystko to są marne wymówki: ten człowiek musi głową nałożyć... dowody zdrady są jawne.

Heidenstein skłonił głowę.

— Kanclerz mi polecił — odezwał się spokojnie — przedstawić W. Kr. Mości, że tu idzie o Samuela Zborowskiego; malkontenci, których partya cesarska płaci, radzi będą skorzystać z wypadku, wyzyskają, kanclerza i W. Kr. Mość uczynią tyranami, podburzą kraj, sejm przyszły uczynią nadzwyczaj niespokojnym, słowem, łaskawość tu byłaby rachubą... kanclerz za nią przemawia.

Batory, który siedział — bardzo chmurnem obliczem, namarszczył się bardziej jeszcze, wargą mu dolna zaczynała drzeć, co było znakiem gniewu i niecierpliwości.

— Zamojski żąda odemnie rzeczy nie możliwych — zawołał. — Ja, com raz powiedział, nie zmieniam. Słowo królewskie, powinno być jedno: tak lub nie. Raz wyrzeczone, jak fatum zostaje nieubłaganem. Ten człowiek powinien zginać. Prawo tego chce. Ja i kanclerz jesteśmy stróżami prawa.

Na chwilę król mówić przestał, umoczył usta w kubku jakiegoś napoju, który stał przed nim.

— Czytałeś ich listy? — począł, zwracając się do Heidensteina. — Znasz ich sprawę. Oni mnie struć, hetmana zabić chcieli, zasadzali się na mnie z Ciołkiem w Krakowie, szukali trucizny. Zobacz, jakim imieniem mnie zowią. Dla nich ja nawet królem nie jestem.

Nie! nie! to wszystko przebaczyć, byłoby niedarowaną słabością. Niepodobieństwem jest. Nie mogę! nie chcę. Ukarać śmiercią! ukarać! Prawo każe banitę śmiercią, nie my. To buntownik jeździł na Niż kozaków przeciwko mnie ściagać, buntował Wołoszę... brat na dworze cesarza. Otaczają mnie szpiegami. Kto wie, czy w tej chwili przekupiony sługa nie gotuje dla mnie trucizny, a ty cheesz, ażebym ja im przebaczył. Nigdy!

Poruszony, król zaczął się przechadzać żywo, a oddech jego ciężki słychać było tylko.

Heidenstein stał smutny.

— Wszystko to prawda, N. Panie—odezwał się—ale każda rzecz ma dwie strony. Kto wie, czy wspaniałomyślne przebaczenie winy, a przynajmniej złagodzenie kary, nie byłoby na dobie. Można go w wieży osadzić do sejmu, a sejm...

— Sejm, jeśli będzie sądził, to Krzysztofa, a nie jego—przerwał król—ten osadzony jest. Ściąć go, tego zbójcę, nie więcej, inaczej u was w tej Polsce nigdy nie będzie karności, ładu i siły. Imponuje wam imię sławne, krol... ale prawo zna tylko człowieka i winowajcę.

Coraz pośpieszniej ciągnął król dalej.

— Niech mówią co chcą na mnie, żem wilk krwi chciwy i okrutny, żem tyran (ruszył ramionami), że nie mam litości... ale niech się boją i słuchają. Inaczej mi nie pozostało nic, tylko zrzucić tę koronę precz, a samemu powracać do Siedmiogrodu.

— Lecz, miłościwy królu — rzekł Heidenstein—czyż taka jest waga tego człowieka i wypadku, aby na nim koniecznie przykład dawać? Hetman się wzdryga szczególnie dla tego, iż musiał go sam pochwycić; wszystko więc spadnie na niego, na osobistą niechęć i zemstę.

— I Zamojski, on, boi się gawiedzi, która będzie nań ciskała kamieniami i błotem? — zawołał król. — On gardzić nią powinien, jak ja.

Nie! Heidenstein, dodał Batory, zwracając się bliżej ku niemu — napróżno, nie usiłuj mnie przekonać. Wiem, że argumentów znajdziesz siłę za *clementią*, ale to cnota, której ja tu praktykować nie mogę. Żelaznej ręki potrzeba.

Heidensteinowi trudno się odezwać nawet było. Zaledwie usta otwierał, król mu przerywał.

— Ściąć go, dać go ściąć — powtórzył—a co prędzej, to lepiej. Zamojski niepotrzebnie przeciwnął, nie-

potrzebnie mnie pytał. Tymczasem umysł się niepokoją, wzmagają się w kraju niechęć; wyobrażają sobie może, iż coś uczynić potrafią... to ich uzuchwala... a pofolgujemy ten raz, wszystko przepadło. Nie my tu panami, tylko oni.

Westchnął poseł.

— Nie dosyć na tem — dodał król—ja podczaszemu Krzysztofowi nie daruję. On stanie przed sądem sejmowym. Mam listy, jest królobójcą, a jeśli nie spełnił zamiaru, nie zbywało mu na chęci.

I z goryczą, z gniewem powtórzył Batory.

— Ha... *Rex, si hoc nomine dignus!* Byłbym w istocie niegodnym imienia króla, gdybym na krok im ustąpił. Krzysztof da głowę!

— Niema go w kraju, N. Panie — odezwał się poseł—jest na Morawie w państwie cesarza i mieni się jego poddanym.

— Ale był moim — przerwał król — i odpowie za to, co popełnił. Nie będziemy go mieli, skazemy na banicję, jak brata, a ukaże się li w krajach naszych, spotka go los Samuelowy.

Przeciwko Janowi nie mam nic — dodał—oni jego oszukiwali, on o niczem nie wiedział, ale marszałek należał do trójcy i jeśli ujdzie, niech się ma na baczności. Uchwyć-li go na uczynku, nie daruję, jak tamtym dwom.

— Niestety—odezwał się Zamojskiego posłaniec—wszyscy oni trzej należą do rodziny, połączonej z wielkimi domami znacznymi w Koronie i na Litwie, zjedna to nam nieprzyjaciół.

— Jawnych!—odparł Batory — tem lepiej, dotąd nimi byli skrycie. Owszem, niech powstaną, stawię im czoło. Kanclerz, stając u mego boku, wiedział, co go czekało i że u mnie przebaczenia nie ma. Ani tchórzem, ani słabym nie chcę być, tak! wolę być okrutnym... a nawet w tym razie nie mam litości! nie mam... budziłibyscie ją napróżno, gniew tylko się wzmoże.

Po krótkim milczeniu zafrasowany Heidenstein rzekł cicho:

— Wrócę więc z niczem?

— Z rozkazem, aby Zamojski nie zwlekał—odparł Batory. — Kocha on ten swój kraj, niechże się nie waha wypiec zjadliwej rany... inaczej on nigdy zdrowym nie będzie i zginie rozerwany i bezsilny.

To mówiąc, drżał król z gniewu, który go do szpiku kości przejmował. Chciał Heidensteinowi wskazać, aby zaprzestał nalegań w sprawie Zborowskich i nagle zwrócił rozmowę i pytanie na wojskowe zaciągi. Wspomniał o poselstwie tatarskiem z pogardą, zapytał o nowiny z Rzymu.

Na wszystko to nikt lepiej nie mógł odpowiedzieć nad Heidensteina, który wszystkie papiery kanclerskie miał w rękę i listy czytał, bo na nie w imieniu Zamojskiego odpowiadał. Czasem tylko dawny uczeń Padewskiej *almae matris* łacinę jego nieznacznie poprawił.

Naostatek król zapytał, czy długo zabawić tu myśli.

— Miłościwy panie, jak najkrócej pozostanę, a z próżnemi rękami, choć lekko na pozór mi powracać będzie, niestety! nie zaspokoję kanclerza.

— Nie mogę uledez! — odparł Batory. — Ci ludzie nie wari są litości. Sam kanclerz pisał wczora, że Samuel do niezmiernej liczby zabójstw i zbrodni się przysznaje. Zasłużył na śmierć... nie ma dla niego litości.

— Kanclerz się jej domaga dla siebie!—rzekł Heidenstein.

— Żal mi, że nie upadlając się, nie mogę go zaspokoić—przerwał Batory, suknię na sobie targając niecierpliwie.—Jestem królem, jestem sędzią, wyobrażam sprawiedliwość na ziemi, a nie miłosierdzie. Powiedz mu, niech go da ściąć, nie chce-li mnie obrazić i rozgniewać. Jest tego potrzeba, konieczność. Niech zginie! Mówiłem i powtarzam to, tylko zdechły pies nie kasa! Niech zdycha!

Słuchał już Heidenstein niemal przerażony tym gwałtownym wybuchem, nie śmiał się odezwać, widział, że usiłowania jego zomiasz ułagodzić, rozjątrzyły tylko króla. Spodziewać się w nim zmiany usposobienia, było to nie znać go, rachować na czyjkolwiek wpływ, złudzeniemby było. Nie widział zresztą nikogo, oprócz kilku duchownych, którymby mógł się zwierzyć, a tych król zażywał do swych celów i spraw politycznych, ale się przez nich kierować nie dawał.

Jezuici, o których wpływie mówiono naówczas wiele, byli też w tej silnej dłoni tylko narzędziem. Używał ich w sprawie z Moskwą, osadzał ich kolegia, dawał przywilej na akademię, ale nie widział w tem więcej nic nad pomnożenie oświaty, której potrzebę widział wielką; oni mu ją przynosili, nie pytał więcej. Sprawy wiary zostawiał sumieniu pojedynczych ludzi i kierunkowi Kościoła.

Obejrzawszy się po drodze króla i urzędnikach; jacy tu przy nim byli, Heidenstein zwątpił, aby co więcej mógł przedsięwziąć jeszcze. Chciał jednak, żegnając Batorego, uczynić jeszcze próbę i do niej się przygotował.

Król naznaczył mu dla odebrania listów do kanclerza poobiednią godzinę.

Gdy przybył, znalazł już listy gotowe, a Batorego uspokojonego już znacznie. Wręczył mu je król i kazał pozdrowić Zamojskiego.

— Powiedz mu—odezwał się—że ja tu się najlepiej zabawiam na Litwie. Zwierza jest poddostatkiem, psiarnię moją książę Lignicki zasilł nowemi ogarami, ptaki mi przysłano z Moskwy, myślistwo, dzięki moim ludziom, doskonałe... mogę tu na chwilę o tych troskach zapomnieć, które mnie w Krakowie jedzą!

— Miłościwy panie, dzięki za to Bogu—rzekł Heidenstein. — Hetman cieszyć się będzie, ale uczynicie też cokolwiek dla niego. On dźwiga wszystkie brzemie na ramionach, a sprawa ta nieszczęsna przymnoży mu trosk i nieprzyjaciół.

— Wiem o tem—odparł Batory — ale ich i mnie przyczyni. Nie mogę nie... nie przebaczyć! Psów tych, co na mnie czekały lat tyle, raz trzeba zuchwałstwo ukrócić.

Powiedz hetmanowi, przebaczenia dla nich nie ma i nie będzie.

Z takim poselstwem i podobnie brzmiącemi listy wrócił Heidenstein, gdy tymczasem w Krakowie, z dnia na dzień, badano powoli Samuela i ściągano wykonanie dekretu, do którego był już przygotowanym.

Mroczek, Serny, Urowiecki nieustannie mu to przypominali, że zginąć musi i zginie.

Zamojski z wielkim niepokojem oczekiwał odpowiedzi króla. Przybył w końcu z niezmiernym pośpiechem, podróż odbywszy Heidenstein, a wniósł do niego i mileżące listów oddawanie mówiło już, co przywoził. Pytał nawet nie potrzebował hetman.

— Król więc — zapytał, nie łamiąc pieczęci kanclerz—król więc się ubłagać nie dał. Widzę to po was! Zmleżał Heidenstein.

— Małom się spodziewałem—rzekł—tak, kielich potrzeba dopić aż do dna. Jest moim dobroczyńcą, słuszną więc, abym za niego dziś i w przyszłości cierpiał. Obwinia o to okrucieństwo nie króla, ale mnie, to pewna. Ja bym był postąpił może inaczej. Batory ma słuszość z pewnych względów, iż się ubłagać nie daje, lecz przypomina sobie nienawiści i walkę zajątrza! Wola Boża!

Tak więc Samuel z mojej ręki zginąć musi!

Westchnął i wziął się czytać listy.

Zwlekać teraz i przeciągać było napróżno męczarnię skazanego i własną przedłużać, ale Samuela usposobienie zmieniło się było w ostatnich dniach. Stracił nadzieję, upadł na duchu; przychodziły godziny cynicznych dziwnych zeznań, w których się przed tymi, których za siepaczy uważał, zwierzał ze swej przeszłości, opowiadał o szaleństwach. Wiele z tych powieści rzucało światło

na wypadki, dawało poznać braci i ich usposobienia; nie można więc było przyspieszyć spełnienia kary, bo Mroczek wielu się jeszcze rzeczy dowiedzieć obiecywał.

Wyciągano go na słowo różnemi sposobami, czasami niedowierzaniem, niekiedy szyderstwem, to znowu łagodnością. Samuel, jak gdyby już nie do stracenia nie miał, nie tał się z niczem,

Dziwna obojętność nim owładła czasami, drętwiał godzinami i zdawał się na wszystko nieczułym.

W mieście tymczasem nie mówiąc już o tem; co się po kraju działo, panował niepokój i zdania były podzielone. Utrzymywali jedni, że nie mogą Zborowskiego ściąć i muszą mu folgować; drudzy co godzina oczekiwali wiadomości, iż wyrok został spełniony. W domu na Franciszkańskiej ulicy, tak w pierwszych dniach spokojnym, teraz pełno było i tłumnie.

Nie wahał się przybyć marszałek, który na sobie nie czuł żadnej jawnej winy, za którąby go pociągnąć było można. Siedziała Anna ze swą ochmistrzą, przyjeżdżała Włodkowa, gromadziły się tłumy szlachty i dawnych sług Zborowskich, którym się zdawało, że przytomnością swą na coś się przydać mogli.

Wprawdzie ruch ten i zajęcie zwracały uwagę na zamku, lecz obawiać się nie miano powodu. Kanclerz miał przemagającą siłę zbrojną i czuwał, a Zborowscy, mimo wszelkich usiłowań i całej swej zręczności, nawet o tem, co się w izbie Samuela działo, mało co wiedzieć mogli.

Marszałkowi donoszono, co po części prawdą było, iż na duchu upadł bardzo. Anusia całymi dniami u wrót zamkowych czasem czatowała, udawało się jej nawet za kobietami dworu królowej wcisnąć czasem na zamek i błądzić po podwórcach, ale tu ani przemówić, ani się dowiedzieć o niczem nie mogła, a u drzwi burgrabstwa stali z halabardami żołnierze, którzy nikomu nawet bliżej przystąpić nie dawali. Okna tych izb, w których Sa-

muel siadywał, wychodziły ku wałom, były umieszczone wysoko, a jemu się do nich zbliżyć czuwający stróżowie nie dawali.

Anusia więc, rzuciwszy kilka pytań, czasem popartych datkiem, jeżeli się co dowiedziała, było to tak nieznaczącem, iż wnosić nic nie dozwalało. Wiedziała tylko napewno, że żył jeszcze.

Obok jej troskliwości o ojca, dziewczę miało drugą dojmującą mu troskę. Poprzysięgło zemstę Wojtaszkowi, dojść, gdzie się on znajdował, obmyśleć środki pomśzczenia się, było dla niej obowiązkiem.

— Ojciec zginie przez niego — mówiła rozogniona — ten zdrajca podły musi życiem przypłacić! Nie zwierzała się z tem nikomu, ale stara ochmistrzyni, strzegąca tylko bezpieczeństwa jej, nie widziała, jak uparcie szła ciągle do celu.

Rozpatrywania się jej szły na karb sprawy ojca, chociaż badała dworaków o Wojtaszka... i pytania jej natrętne nie pozostały bez skutku. Wiedziała już, iż Wojtaszek był przy dworskiej muzyce zawsze i nigdy się prawie z zamku nie oddalał, że mieszkał też i noc spędzał na zamku z innymi, a na lutni mało kiedy się popisywał, bo nie było go tu słuchać komu.

Parę razy niepoznana widziała go przemykającego się przez podwórza. Jeden ze sług, przed którym bardzo śpiew Wojtaszkowy chwaliła, powiedział jej, że onby mógł z nim chodzić na miasto, ale od czasu, jak go raz słudzy pana Stadnickiego pochwycili, obawiał się wyjść za bramę.

— Teraz się już przecież nie ma czego obawiać — odpowiedziała słudze — nauczcie go, aby korzystał z tego, a gdy go zażądają na miasto, nie wahał się iść. Kto dziś nie myślał o nim?

Słowa te nie były stracone. Wojtaszek też sam miarkował, że był bezpieczniejszym. Lepsze czasy dla niego nastać miały, bo, byle się dał słyszeć i poznać,

mieszczanie i goszcząca w mieście szlachta chętnieby go sobie sprowadzała.

Wzięcie Samuela i gotujące się stracenie jego, na Wojtaszku nie czyniło wrażenia innego, oprócz dawno upragnionej, a nareszcie doczekanej zemsty. — Przyszła na niego zła godzina! — mówił — teraz ja wolniej odetchnę! Czekał też lutnista wiadomości, że już się wszystko skończyło z niecierpliwością złośliwą.

Wielka boleść nie przeszkadzała Anusi gotować tej zemsty, która na chwilę jej z myśli nie schodziła.

Zwierzała się z tego Włódkowej. Z suchemi oczyma szeptała jej niemal za każdym widzeniem się.

— Ojca ja nie ocale, nie. Ludzie są podli, opuścili go wszyscy. Stryjowie też krzyczą, ale nic nie robią i o sobie myślą. Marszałek powiada: — Samuela już nie ma na świecie, trzeba myśleć o Zborowskich!

Tak, ja też biedna z Olesiem nie zdołam nic. Słudzy jego płaczą jak ja... Kanclerz ma kilkuset ludzi z półkami na straży.

Ojca ja nie ocale, ale pomszczę... a! pomszczę.

— Ty? na kim? — pytała przestraszona Włódkowa.

— Na zdrajcy, na tym psie Wojtaszku, na tym Judaszu, który nas sprzedał kanclerzowi — mówiła Anusia. — Posprzedawałam moje kanaki, pierścionki, spinki, oddam do ostatniej koszuli, ale krew za krew.

Włódkowa patrzyła na nią naprzemiany to ze strachem, to z politowaniem, to z niewiarą.

— Co ty pleciesz, Anusiu!

— Nie plotę... wiem co mówię — przerywało dziewczę. — On zginąć musi.

Nie brała tego bardzo za prawdę siostra, ścisnęła ją i uspokoić się starała, ale Anusi od myśli tej nic odwieść nie mogło, a była rodzoną córką swego ojca.

Gdy wzięła co do serca, upajała się tem do szału. Miłość ku ojcu, utrzymywała ją ciągle i stale w tej myśli. Cały plan swój miała osnuty. Starzy słudzy w domu na

Franciszkańskiej ulicy, opłacani przez nią, ofiarowali się z pomocą chętną. Wszyscy oni nienawidzili zdawna pochlebcy i faworyta Wojtaszka.

Ściągnąć go tylko było potrzeba na miasto, do jakiegoś ustronnego domu, a kilku pachotków starczyło, aby go zamordować.

Anusia mówiła o tem tak zimno, tak spokojnie, jakby szło o dopełnienie najprostszej w świecie rzeczy i dla niej zemsta za krew ojca taką się wydawała.

Oprócz Włodkowej nie zwierzała się z tego nikomu, a sługi obsypywała pieniędzmi i rozogniała słowami i łzami. Wszyscy oni poprzysięgali, że lutnista im nie ujdzie.

Maarszałek, chociaż żadnej nie miał nadziei, aby brata mógł uratować, nie przestawał jawnie starać się, budzić, pisać i prosić o pomoc kogo tylko mógł pochwycić z bliższych rodzinie. Z jego naprawy jeździli do kancelerza z wymówkami i błaganiami kasztelanowa Jordanova z mnogim dworem swych przyjaciół, Piotr Zborowski, Zbigniew Ossoliński i kilku z tej rodziny, Stadnickich ilu ich było, z wyjątkiem Stanisława, wojewoda wileński, domagając się, aby sprawa na sejm była wniesioną, a nie z dekretu banicyi rozstrzygniętą.

Kancelerz wszystkich przyjmował jednakowo, mówiąc, że nie może nic, bo to prawo samo rozkazuje, a on tylko spełnienia jego pilnować ma obowiązek. Ks. biskupowi krakowskiemu otwarciej wyznał, że królewską też wolą było, aby winowajca zuchwały, który się i na jego życie odgrażał, dla przykładu drugim został ukarany.

Łamał ręce biskup, przewidując, że król z tej surowości pożytku mieć nie będzie, lecz Zamojski więcej już uczynić nie mógł.

Takie było w ogóle usposobienie niemal całego narodu, iż Samuela, którego potępiała większość niedawno, raczej ocalonym, niż ukaranym widzieć chcieli.

Surowość króla przestraszała.

Może gdyby przebaczył, wołano by przeciwko niemu za bezkarność, naganiano powolność, ale teraz ganiono bezlitością surowość.

Przyczyniało się do tego przewidywanie burzy i rozdwojenia w narodzie.

Nieprzyjaciele nawet Samuela widzieli w nim szlachcica, męża imienia znacznego, który jak prosty złooczyńca ginąć miał, co całemu stanowi szlacheckiemu czyniło zakałę. Nie godziło się dla potomka takiego rodu osobnego zwołać sądu i dowieść mu winy. Banicya była tylko w oczach większości pozorem, gdyż przez długie lata wcale z niej nie korzystano.

Wszędzie od dworów szlachty, do browarów miejskich, w których nad kuflami piwa siedziało mieszczaństwo i rzemieślnicy, rozprawiano o Samuelu, opowiadano jego bohaterstwa na Niżu i gwałty popełniane w domu. Kraków sam widział ich niemało. Gawiedź jedno znajdowała, że król był sprawiedliwym i nie powinien przebaczać, druga się w nim obawiała tyrana.

— A co będzie z nami, gdy mu który choć palca zakrzywi, kiedy on takiej szlachcie nie folguje?

A z kazalnicy u Dominikanów, O. Cesław grzmiał i piorunował przeciwko zepsuciu obyczajów i rozpucie, ukazując, że prędzej czy później na najdumniejsze głowy spadają pioruny i najwznioślejsze dęby gruchocą!

Malował on występnego łotra tak żywymi barwami, że każdy ze słuchaczów poznawał w nim z łatwością tego więźnia, który na zamku czekał wybicia ostatniej godziny.

II.

Wlokły się te dni męczeńskie Samuelowi, stając wiekami. Niepewien jutra, trwożył się, szukając oznajmienia jego na twarzach oprawców. Ale obejście się z nim Mrocza, Sernego, Urowieckiego było tak niezmienne jedno, że z niego się nie domyślać nie mógł, oprócz że żadnej a żadnej nie było dla niego nadziei.

Z brutalnością żołnierza mówili mu szydersko.

— Nie durz się, Samusiu, nadaremnie. Twoja głowa musi spaść...

Zborowski przyjmował to milczeniem obojętnem napozór, ale kilkanaście dni takiego dusznego nekania, silnego nawet jak on złamać w końcu musiało. Każdy ruch żywszy na burgrabstwie, hałas, brzęk kluczków, głosna rozmowa Urowieckiego ze stróżami poruszały go i zdawały się zwiastować.

Po takim strachu gwałtownym, który w sobie tać usiłował, popadał w apatyę i nieczułość, wracał do swych dumań o przeszłości.

Oswajał się z tą myślą śmierci, a chciał tylko ponieść ją rycersko, nie drgnawszy.

Zawczasu przychodziły mu myśli dzikie.

Ozwał się raz do Mrocza, pokazując mu szytą chustę jedwabną, bardzo piękną, którą miał w podarunku od hana tatarskiego.

— Mroczku mój, zrób ty mi jedną łaskę, choć ja jej u waszeci nie mam. Widzisz oto tu szytą chustę, proszę ja ciebie i zaklinam, jakoś szlachcic polski: gdy mi głowę kat utnie, umocz ją we krwi mojej i oddaj synowi Aleksandrowi, niechaj ją nosi i pamięta, aby pamięć pomścił ojcowską.

Mroczek zmilczał i głową tylko poruszył.

— Słowo mi daj.

Przyciśnięty, rotmistrz wyjąknął półgębkiem przyrzeczenie.

Serny, on i Samuel, nieraz gdy siedzieli w komorze długo milczący, ziewali z nudów... więc straż pierwsza rozpoczynała rozmowę, która innego czasu tonem i formą byłaby Zborowskiego oburzała, ale teraz, skazany, musiał się równym siepaczom niemal widzieć. Oni z nim obchodzili się bez najmniejszego na przeszłość względu.

Mroczek sobie szczególnie pozwalał.

— Co ty, Samusiu, skarżyć się jeszcze będziesz albo co, że ci łeb zetną, a mało ty ich porąbał i w śmierć posiekał? he? policzno się?

Zborowski nie burząc się wcale, powolnie liczył na palcach. Mruczenia jego dosłyszeć nie było można, ale jakby sam dla siebie, wyliczał z kolei, obojętnie nazwiska jedno po drugim. Mroczek i Serny nachylali się, aby posłyszeć!... nie zważał na nich.

Ponieważ wiele z tych historyj Samuelowych z rozgłosu znanych było, pytali go czasem o jedną z nich.

O Włochu, którego miodem posmarowawszy dał niedźwiedziowi na pastwę, rozповідаł im tak spokojnie, jakby za stołem z nim siedzieli w Białym Kamieniu.

— Dał szlachcicowi w ucho! — mówił — a kto go wie, czy on sam szlachcic, więc to policzek, za który śmiercią karać trzeba, a ja się mu dałem rozprawić z niedźwiedziem, no i Włoch mojego starego tylko że nie udusił.

Niedźwiedź go podrapał, a ten za gardło ścisnąwszy, tylko że nie zadławił...

Z tą samą obojętnością rozповідаł o przygodzie swej z Dominikanami.

— Jeden z nich, prawda, że niewinny był — dodawał — ale łąjał mnie szpetnie, a ja tego nie znoszę.

Gdy któryś z nich napomknął Trepkę, zabitego na łowach, o którego morderstwo obwiniano Samuela, nie podniósł głowy, nie przyznał się, nie odpowiedział nic.

Czoło mu się pofałdowało i łzy pobiegły z oczów. Trepka przypominał mu żonę... a względem niej uznawał się winnym. Słowa już z niego dobyć nie było można.

Innych dni leżał na łóżku, odwrócony do ściany, i ani jeść, ani mówić nie chciał; czasem gdy sam na sam siedział z Mroczkim, starał się coś dobyć z niego... dowiedzieć o rodzinie... o staraniach, bo nie wątpił, że czyniono je dla ocalenia mu życia, ale rotmistrz się składał niewiadomością zupełną.

— Ja ztąd krokiem się nie ruszam, noc i dzień jak widzicie—dodawał Mroczek — nic nie wiem... nie słyszę nic...

— Przez litośćby też choć dzieci do mnie puścić powinni—mruczał — żebym ja jeszcze Olesia mógł uściśnąć i tę biedną Anusię pocałować. Ona się w śmierć zapłaczę biedna...

A co się tam dziać musi z Włodkową — myślał dalej — i myśląc pocieszał się tem, że ona prędzej o nim zapomni.

Po tych wszystkich ulubionych istotach, w których rzędzie stali na ostatku panowie bracia... przychodził Borosio, a po nim sokoły i psy, o których los się troszczył.

— Żeby przynajmniej na dobre ręce poszły—mówił—a to zmarnieje... Moje ptaki króla warte, tylko nie takiego jak nasz... ale to... Olesiowi się teraz nie zdało, zabierze pan Andrzej i pożytku z tego mieć nie będzie...

Z dumania w dumanie, jak po zarosłych ścieżkach starego ogrodu, kroczył po wspomnieniach swoich... uśmiechał się i płakał. Jeszcze niekiedy i krwi a zemsty mu się zachciewało, osobliwie gdy Wojtaszka przypominał; ale pocóż się teraz było marnie jeść pragnieniem, które ziścić się nie mogło.

— I przez niego mi ginąć przyszło, — mruczał.

Gdy dnia jednego przyszedł od kanclerza pisarz badać go o listy znalezione w szkatułce, którą ludzie ze

Stogniewic wydali, Samuel powziął jakąś nadzieję nowego obrotu rzeczy i zapierać się zaczął.

— Ja o niczem nie wiem! do żadnych spisków nie należałem! — wołał. — Czyż to moja wina, że podczaszy pisał: *Rex, si hoc nomine dignus*. Ponieważ on jest sługą cesarskim, a nie poddanym Batorego... Mógł sobie pisać co chciał i myśleć, co mu się żywnie podobało!

Winy na mnie za to kłaść się nie godzi; nie jam pisał... na mnie dowodu żadnego nie ma!

Kanclerza bezprzestannie oblegano, rodzina przyjaciela, domownicy, tak, że się pokazać nie mógł i w końcu znecierpliwiouy nikogo nie dopuszczał do siebie.

Natenczas pismami go zarzucać zaczęto gwałtownymi i pokoju mu nie dawano, przez najobojętniejszych ludzi starając mu się je doręczyć.

W pismach tych dowodzono, nie bez pewnej podstawy, że uwięzienie banity starczyło, i że na gardle go karząc, szedłby kanclerz dalej niż prawo chciało, bo Zborowski nie był ani *infamis*, ani *in recenti crimine captus* (na gorącym uczynku). Sejm więc powinien był o dalszym jego rozstrzygać losie.

«A nie dufasz-li—mówiono—zamkowikrakovskiemu, my tobie dla bezpieczeństwa i pewności zapiszemy się i zaręczymy, jako chcesz. A nie może-li to wszystko być, prosimy, abyś tylko zaczekał i tyle nam czasu dał, abyśmy do króla J. Mci jechali a od samego króla J. M. wyrok słyszeli».

Wiedział bardzo dobrze Zamojski, jakiego król usposobienia był i że to wszystko już nie pomódz nie mogło, nie przypuszczał więc nikogo do posłuchania. Na mieście powtarzano, iż wyrazić się miał z powodu tego niepokoju i poruszenia umysłów.

— Fraszki to są, a ja się na fraszki nie oglądam, bo Polacy są piwem, które kisa (burzy się) z początku, a potem za wodę stoi; ja zaś mając władzę i urząd, na nie się tylko oglądać muszę.

Mówiono, że się na jednych Zamojski odgrażał, drugim starostwa obiecywał, aby milczeli, a krewnych namawiał, aby się daremnie za Samuelem nie ujmowali. Ponieważ słudzy, jako Borowski, Luzicki i inni gwałtem się na burgrabstwo parli, weiskali, przekradali, kazano ich łąpać i ścigać, ztąd nowe na kanclerza krzyki i potwarze, iż na gardle chciał niewinnych karać.

Ile naówczas ucierpiał Zamojski, wyrazić trudno, a nie dziw też, że wiedząc o woli króla nieprzełamanej, rad był conajprędzej wyrok spełnić i koniec temu położyć.

Księża biskupa krakowskiego, który z obowiązku chrześcijańskiego nie mógł interwencji swojej odmówić, musiał jeszcze raz przyjąć Zamojski i wysłuchać próśb i zaklęć nadaremnych.

— Ojciec mój — odparł i wzruszony razem i zniecierpliwiony, całując ręce pasterza — nie moja w tem wola. Ja stoję pod rozkazami króla i prawa, a oboje mnie zmuszają winowajcy nie folgować. Nie przypisujecie tego mnie, co mi tak twardem jest do spełnienia, jak Zborowskiemu będzie do poddania się.

— Ale król? król? — zapytał biskup — być-że może, aby się tak chciał okazać okrutnym?

— Okrutnym nie jest — rzekł Zamojski — ale mu krwi napsuto wiele, bluzgając w oczy wyrzutami niesprawiedliwemi, a ma to przekonanie, iż dla dobra rzeczypospolitej zuchwalstwo i warcholstwo wszelkie ukrócić potrzeba. Na Zborowskich zaś ciężą tak jawne winy, iż królowi na życie godzili, że przeciwko niemu nieustając spiskowali.

Biskup ręce załamawszy płakał cichemi łzami.

— Wiem, iż wy sprawcą nie jesteście — odezwał się — wiem, że gdybyście mogli, zażylibyście powolności, bo umysły są srodze zażarte, burza powstanie... żal mi więc was, i nie kogo jak Zamojskiego o tę głowę obwinia.

Kanclerz nic nie odpowiedział; był od początku na to przygotowanym.

Tymczasem wnet po biskupie, pani Spytkowa prosząc i wołając, znaczną liczbę rycerstwa zgromadziła, która koło uczyniwszy z rozgłosem wielkim, iść chciała gromadnie do hetmana. Zapowiedziano im, że nawet do zamku przypuszczeni nie będą. Spisali więc zaraz notę... i oddali ją Piotrowi Zborowskiemu, który u hetmana wielkie zachowanie miał, ale z innymi Zborowskimi nie trzymał.

Rycerstwo nim się znowu rozjeżdżać zaczęło, podniosło przeciwko hetmanowi krzyk wielki, gdyż u bram zamkowych ktoś im powiadał, że tłumne najście na Wawel, jako tumult i rebelię hetman trzymał, i gotów był kazać łąpać i więzić, którzyby się zuchwale stawili.

Z obu stron rozdrażnienie dochodziło do najwyższego stopnia, a dłużej w tym ogniu i ukropie wytrwać było trudno i przeciąganie na nic się już nie przydało.

We czwartek przed św. Trójcą, dwudziestego czwartego maja wieczorem, Zamojski już ze znużenia i niepokoju padając niemal, postanowił dekret kazać spełnić.

Im się dłużej ciągnęło, tem rosły gniewy i niechęci, a można się było spodziewać, że zapaleńsze głowy rzucą się na jaki nierozważny gwałt, który krwi rozlewu daremnego przyczyną stać się może.

Samuel się tego spodziewał, i choć momentami nadzieję miewał, prędko go ona opuszczała. W początkach też widząc, że tu Urowiecki wszystkim kieruje i nad Mroczkiem i Sernym zwierzchnictwo ma, a najprędzej wiedzieć będzie, gdy co postanowieniem zostanie, prosił go ponawiając często żądanie.

— Urowiecki, jakieś pocziw, będziesz-li wiedział co i kiedy mi przeznaczone, nie omieszkaj na kilka dni wprzód dać mi znać! W podróż tę przygotować się juści muszę, bo na duszy nie mało mam.... Nie dajże mi nieprzygotowanemu stawać na sąd Boży.

Urowiecki mruknął przyrzekając, ale naprawdę niewiele mógł obiecywać, bo hetman się przed nim z myśłą żadną nie wywnętrzał zawczasu, tak jak i przed innymi. Zawsze w sobie zamkniętym był.

Dopiero w ten czwartek wieczorem kazawszy do siebie przywołać Urowieckiego, rzekł mu:

— Skończyć trzeba ze Zborowskim... w piątek albo li w sobotę...

Zadumał się nieco.

— Powiem ci jutro...

Tu westchnąwszy dodał hetman:

— Jak mi ciężko to ostatnie słowo rzec, Bóg świadek, ale szlachta się burzy i oblega mnie, nie dając pokoju, a każdy posłaniec od króla przynosi zapytanie, czy już głowę dać. Nie sposób go ocalić...

Urowiecki spytał ostrożnie:

— Mogę mu to oznajmić?

— Gdyby to dla duszy jego potrzebnem było — rzekł hetman — należałoby, ale nowinek chwycił, dyssydentem się głosi, księdza nie weźmie, a ma-li się darmo myślami nękać, poczekaj... Już i duszę jego uratować będzie trudno...

Natem stanęło.

Urowiecki milczał, ale na burgrabstwo do Przyłęckiego chodząc, nosił z sobą wyrok na twarzy, i mimowolnie się zdradzał, tak że Zborowski, choć nie mówił nic, przeczuć już miał zbliżającego się terminu.

Dopiero w piątek, godzina była na noc, wszedł o porze, w której nie zwykł był do Samuela przychodzić Urowiecki, a skoro w progu stanął, zerwał się w komo-
rze go czując Zborowski... Szedł ku niemu ze spuszczo-
ną głową Urowiecki, milczeniem mówiąc więcej, niżby mógł usty.

Stanął z jakąś uroczystością przed więźniem.

— Samuelu Zborowski — rzekł poważnie — wie-
dzieć masz o tem, że gardło dasz... Wola jest króla JMci

i naszego miłościwego pana JMości pana kanclerza, jutro conajraniej...

Mroczek i Seiny stali opodal, którzy do tej go-
dziny, choć się może domysłali czego, nie wiedzieli nic
na pewno.

Zborowski się poruszył gwałtownie i niespokojnie
bardzo, nie mogąc utrzymać przy tej obojętności, jaką
dotąd okazywać się starał. Stał się bladym bardzo, głos
mu drżał.

— Urowiecki nieboże — zawołał z wyrzutem gorz-
kim — miałeś mi to na kilka dni przed terminem oznaj-
mić i przyrzekłeś, a słowa nie strzymałeś. O sumienie
mi moje szło, o duszę, bom nie gotów, aby przed maje-
statem Bożym stanąć, a chciałem w siebie wnieść i prze-
jednać gniew Pański.

Urowiecki mało co odpowiedział na uniewinnienie.

— Sługą jestem pana kanclerza — rzekł — ten mi
teraz dopiero oznajmił i odnieść wam kazał... Nie mo-
głem inaczej.

Zborowski, który z łóżka się był podniósł, opadł na
nie i twarz zakrył dłońmi, a pozostał tak chwilę niemałą.

Za bujnego żywota mało o Bogu pamiętał, a ów-
czesne dyssydentów i reformatorów naśmiewania się ze
wszelkich katolickich obrzędów, zwyczajów i prawideł
życia, wciągnęły go też na tę drogę, iż kościoła nie znał,
a modlić się zapomniał. Ale z dzieciństwa mu coś po-
zostało na dnie duszy, co się teraz odezwało żywo.

Uczuł się jakby z domu rodzicielskiego wygnanym
sierotą, która nie wie, gdzie się schronić ma. Katolicki
kościół nie mógł go już przyjąć, a od nowych przyjaciół
i predykanów niewiele się mógł spodziewać pociechy.

Strasliwa trwoga jakaś go ogarnęła, nie ziemskie-
go niebezpieczeństwa, ale zagrobowego losu jaki go miał
spotkać.

Wszystkie owe szyderstwa i lekceważenia dawniej-
sze wydawały mu się występniemi, a wiara pierwsza

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Марта 1898 года.



WU/M 307

I.

Ktoby był mógł zajrzeć w duszę Samuela, gdy się ze Złoczewa z braćmi rozjeżdżał, obiecując znowu wkrótce spotkać z nimi, pomimo pozornej radości, jaką przybierał, ochoczego poruszania się, pośpiechu, z jakim się miał brać do czynu, odkryłby na dnie jej gorzki i głęboki smutek.

Życiem, bojem, szaleństwem wszelkim, nawet pogonią za nowymi wrażeniami i rozkoszami był już tak wyczerpany, znużony, iż mu nic nie smakowało, nic go nie zajmowało goręcej. Jedne może dzieci, syn Oleś, córka Anusia, gdy z niemi był lub o nich mówił, rozbudzali go, dbał o nie... reszta go nie obchodziła.

Nieprzyjaciół (kanclerz) o tyle go drażnił, że widział w nim chętkę wyzywania, a on słabszym być ani się przyznać do tego nie chciał. Zresztą Zamojski mu był obojętny... ale przeszkadzał marszałkowi, nie lubił podчасzego, musiał więc być jego nieprzyjacielem.

Na to «polowanie na kanclerza» jechał z uczuciem w istocie takim, jakby z sokołami i Borowskim na ptactwo, lub z Boksickim na grubego zwierza. Najstraszniejszy gniew u niego nawet w jednej potędze nie mógł trwać długo.

Po drodze zaś *larum* ogromne czyniono jawnie,

jasno świeciła... ale między nią a nim była przepaść, którą życie wykopało. Spojrzał w nią i strwożył się mocno.

Wszyscy przytomni milczeli, bo nikt go nie śmiał pocieszać, aniby wiedział jak. Zborowski zwrócił się żebrzącym niemal głosem do Mrocza.

— A! mój miły Mroczku... prze-Bóg, proszę cię, dla miłości Jego, nie opuszczaj ty mnie, nie odchodź odemnie, nie śpij tę noc... Mam na sumieniu grzechów tyle, że je rozpamiętywać muszę, a sam będąc... nie potrafię...

I dodał tęskno.

— Pewna to rzecz, że na potępienie zasłużył, jeśli miłosierdzie Pańskie w pomoc nie przyjdzie, ale znajdzie-li je u niego?

Mroczek litością zdjęty odparł.

— Panie Samuelu, a toć wiecie, że o miłosierdziu Bożem nigdy rozpaczać nie należy. Za to jedno Bóg karać może i potępić, gdy się o Jego łasce powątpiewa.

Nic słysząc potem nie było, tylko ciężki oddech Zborowskiego, który nie wiedząc o tem sam, pot z czoła spływający ocierał. Nie patrzył już ani na Urowieckiego, ani na Mrocza, oczy mając wlepione gdzieś, a nie widząc nic.

— Bóg mnie od rozpaczury uchwala, a ulituje się — począł cicho. — Jednak miano ze mną tak postąpić, należało chrześcijański obyczaj zachować, a dać mi czas do skruchy. Śmierci się ja nie boję, bo wiem, że to dług przyrodzony jest, ale o duszę troskać się muszę.

Znowu nastało milczenie.

W izbie tej, w której Zborowski siedział wówczas, zwłaszcza że to było pod noc, sprzęt wszelki stał jako pozostał po dniu, bez ładu i porządku. Na stołkach leżały odzież i pozapominane miski, na stole też napoje porozlewane, kubki powywracane, chleba szczątki, papierów kawałce. Obejrzał się dokoła Urowiecki i rzekł do Mrocza:

— Proszę cię, niechaj tu będzie porządniej, bo pan nasz przyjdzie.

Samuelowi twarz pobladła.

Mroczek zaś powstawszy, zaczął zaraz zmiatać, sprzątać, układać, co mu się nie zdało w kącie rzucać, stołki ustawiać, a jedno siedzenie naprzeciwko łóża pana Samuela przygotował, można się było domyśleć dla kogo.

Milcząc na te przygotowania patrzył Zborowski, ale oczy jego każdy ruch Mrocza śledziły, a usta mu się ścigały i twarz, która przed chwilą chrześcijańską pokorę wyrażała, ziemskie uczucie niechęci i gniewu coraz dobitniej zaczęła zdradzać... odezwiała się duma i żal, i niepokój...

Przychodziło mu więc oko w oko się rozprawić z tym nieprzyjacielem, który tak długo niewidomy go ścigał; teraz zwyciężcą, mogącym się naigrawać i tryumfować...

Było to nowe męczeństwo, którego się nie spodziewał. Technął ciężko, a nie strzymał ust.

Obrócił się do Mrocza.

— Widzę, że wszystkiego mu mało; chce mnie smażyć jeszcze, niżeli umorzy.

Ale na to ratunku innego nie ma, jak się poddać woli Bożej, która mnie w moc jego dała. Nie mam co innego do czynienia, tylko cierpieć, a Pana Boga o cierpliwość prosić, bom jej nigdy nie miał.

Widocznem było, że się straszliwie męczył; pot lał mu się z czoła, który gwałtownie ocierał, a wnet znowu występował; na miejscu siedzieć nie mogąc, poruszał się niespokojnie, wzdychał, ale już trwoga Zamojskiego ustała, a dawna o duszę wracała.

Z ust mu się wyrывało wzywanie Boga o pomoc. Mroczek milcząc, dokończywszy uprzątnię, siadł opodal trochę, ale go z oka nie spuszczał, bo litość nad nim miał. Najtwardsze serce by się było poruszyło, bo naprzód jęczeć zaczął, stękać, a w końcu ryknął płaczem wielkim.

Trwało to dobrze długo, nim znowu oczy jego padły na to stojące naprzeciw łoża krzesło, dla kanclerza przeznaczone, i myśl się zwróciła ku niemu.

Odezwał się do Mrocza:

— Mroczkę mój! powiedz mi, ja głowę tracę za prawdę. Kanclerz ma tu przyjść, w jego ręku jestem... Jak ja z nim być mam, co czynić? jak mi radzisz?

— Nie potrafię radzić — odparł rotmistrz — Bóg widzi.

— Zlituj się, wy go wszyscy lepiej znacie — rzekł Samuel — ani wiem, ani rozumiem co pocznę. Nuż go obrażę! nie chciałbym, a upokorzyć się i spodlić nie mogę... Co tu czynić?

Mroczek milczał, tedy gwałtownie znowu spytał:

— Mroczkę mój, odezwij się choć słowo, jak ci się zda?

— Nie wiem — zamruczał rotmistrz.

Nie dosyć na tem; Zborowski, choć go tak odprawił, nalegał.

— Mroczkę, co ja z nim mówić mam...

I powtórzył to razy kilka, aż Mroczek się odsuwając nieco na stronę, rzekł:

— Już rady wszelkie skończyły się; nic nie wiem, zaprawdę, nie wiem nic.

Wtem u drzwi stapanie słyszeć się dało; Zborowski trwożnie się poruszywszy, podniósł głowę, snąc już kanclerza się spodziewał, ale otworzyły się one i wszedł Myśliborski, pół-hak trzymając w ręku.

— Panie Zborowski — rzekł — gotujcie się, JMość pan nasz miłościwy idzie.

— A cóż ja mam czynić? — zapytał Zborowski.

Myśliborski pokorny sługa, nie znał nic innego, tylko:

— Co? do nóg mu upaść się godzi...

Za drzwiami już gwałtowne stapanie, szepty i żelazta szcęk dał się słyszeć; otworzono je naoścież

i w nich ukazał się Zamojski, odziany jak był dnia poprzedniego, z kołpaczkiem na głowie z czaplem piórkiem, które wówczas, za królem idąc, noszono. Szablę miał u boku.

Twarz hetmana spokój wyrażała, a majestatem się dziowskim się przyoblekła, ale uczucie ludzkie przecie choć mało dostrzeżone, w niej drgało.

Tuż za kanclerzem, więcej dla oznaki dostojęstwa, niż z potrzeby, cisnęło się siła ludzi, wszyscy z pół-hakami, jakby na nieprzyjaciela. Izba ich prawie stała się pełną.

Samuel z łoża wstał i parę kroków uczynił ku hetmanowi, tak że tuż naprzeciw niego stanął.

— Proszę miłości waszej — rzekł głosem trochę drżącym — bądźcie na mnie łaskawsi...

Zamojski rękę wyciągnął, jakby mu nie chciał się dać zbliżyć i zamruczał tylko.

— Nic mi potem... nie czas...

Stanął więc znowu Zborowski podle swojego łoża i czekał.

Upłynęła chwila; kanclerz krzesło dla siebie przygotowane zobaczywszy, usiadł na niem. Z za sukni widać było papiery, które przyniósł ze sobą i dobył je, na stół rzucając przed Zborowskim.

— Masz, oto są listy królewskie! czytaj je sobie, masz dać gardło.

Zborowski na listy ani spojrział, i po krótkim namyśle rzekł:

— Czytać ich nie potrzebuję, czyńcie ze mną co chcecie, wszak macie mnie w ręku...

Znowu chwila milczenia nastąpiła. Zamojski oczy spuścił i dumął, czoło mu się fałdowało.

— Mów — odezwał się powoli — o co cię będę pytał, to najpierwsza. Idziesz przed majestat Boży, już się nie masz na co oglądać na tym świecie. Gdybyś zataił to, co może szkodliwym być dla króla i Rzeczypospolitej, na sumienie to swe weźmiesz, na duszy twej zostanie.

Teraz ci już niecnota, braciszek twój Krzychnik, nie pomoże.

Samuel zmilczał, choć chciało mu się stanąć w obronie brata, a no nie pora była. Trwało z obu stron milczenie.

— O cóż wasza miłość pytać mnie raczysz? — odezwał się Zborowski.

Kancelarz podniósł oczy.

— Jaki to do ciebie list Krzychnik pisał? co on sobie o królu myśli? he? O onym trojaku też mi powiedz... przepłonię ja mu trójcę i samemu jemu się dostanie...

Przystoi to senatorowi cyframi pisać do brata? Albo to nie jest podejrzané, zdradzieckie, nieprzyjacielskie pisanie? Toć każdy rozumie, że gdy się co taić chce, tam już dobrego być nie może.

Ja to sobie z nim do sprawy na sejm zachowam.

Stoi w tymże liście: *Rex, si hoc nomine dignus!* a to nie cyframi, ale prostem pismem ku świadomości wszystkich.

Dalej: «Niżowcy się przydadzą», i to niemałe ma znaczenie, boś ty do nich jeździł, a podczaszy twój i marszałek listami ich obsyłali, a jednaliście ich sobie. Potem te wasze zjazdy, narady, coście się od oczu ludzkich zdala, w waszem gniazdku niecnotliwem zbierali i potajemnie radzili? Cóż ty na to?

Słuchał pan Samuel, rozważając co powiedzieć miał, bo tu już nikogo mu bronić nie potrzeba było, krom siebie samego.

— Mamże ja za to odpowiadać — rzekł — co kto do mnie pisał? Jamci tego nie dyktował, anim rozumiał często, co znaczyły cyfry i słowa... nie odpisywałem mu... nikt tego nie dokaże.

Niżowce się sami do mnie napierali i jeździli wielokroć, a ja do nich raz tylko i to przeto, żem ich na usługi króla i rzeczypospolitej ująć nie chciał. Nie czyniłem z tego tajemnicy. W tem winy żadnej upatrzeć się nie godzi. Służyłem panu, a nie komu innemu, a siła takich

jest, których wymieniać nie chcę, co cudzym bogom służywali, a przecież ich potem nagradzano i opatrowano...

Jam nikomu nie służył.

Teraz też kiedy na Tekinię szli Niżowce, ślali do mnie, powiadając, że to była przysługa królowi JMci, ale gdym usłyszał, że to było nie w myśl królewską, nie przyłożyłem się do tego najmniejszą rzeczą, a żadna rzecz mnie od tego nie odwiodła silniej, jak właśnie ów list pana Krzysztofa.

Wreszcie co się tyczy naszych zjazdów i narad, tak w izbach i komorach naszych, jako pod czas i na trawie w lesie, z czego mi grzech czynicie, Bóg to wie, iż my trzej bracia młodszy radziliśmy się tam z okazji wesela waszej miłości.

Spodziewaliśmy się przy okazji tej przyjść do łaski J. Kr. Mości, zwłaszcza, żeśmy mieli obietnice miłości waszej i nie tylko słowne, ale na piśmie.

Omiliłaby zaś nadzieja łaski, radziliśmy się wyprzedać z Polski, a innego, łaskawszego pana szukać sobie, wreszcie krzywd naszych się pomścić, ale godziwie i przystojnie, choćby i na miłości waszej, gdyby się okazało, że przyczyną byliście niełaski.

O królu tam ani mowy, ani wzmianki nie było najmniejszej; w myśli nam nie powstało przeciw niemu knować. Wreszcie się na tych radach nie postanowiło nie, bośmy czekali na pana gnieźnińskiego.

Ja potem do Złoczowa jechałem i nie powracałem już do nich, bracia zaś z pogrzebu wojewodziny krakowskiej pojechali do Krakowa. Do mnie zaś pisali uspokajając, że i u króla i wszędzie dobrze będzie, że się nie ma czego obawiać.

Co się tkanie pana marszałka, brata mego, na którego wasza miłość też masz podejrzenie, jakoby co złego zamysłał, ten nikomu nic nie winien, o podejściu nieprzyjaciela nigdy nie myślał; poznać to miłość wasza później, że prawdę mówię. Czysty jest.

Gdy to mówił Samuel, Zamojski pod czas się uśmiechał, ramiony zrywał, ręką po kolanach uderzał, dając znaki różne niecierpliwości i nieufności; przerywał kilka razy, potem zawołał głośno:

— Wszystko to marne jest i stracone, bo choć pytam was, wiem ci lepiej i mam w rękę dowody i ludzi żywych, co świadczą. Złe czynicie, że mi taić chcecie, bo się to na nic nie zda, a Krzychnikowi nie posłuży, ani marszałka oczyścicie, bo ten, gdyby inaczej myślał, z nimby nie obcował.

Przystałoby wam tej godzinie, sprośności się tych wyrzekłszy, ze skrucą wyznać, co się przeciwko królowi zgrzeszyło. Waszego Krzychnika nic już nie uratuje, bo jawny zdrajca jest, a marszałek, choć się listy nie wydał, toż samo myślał, co ten pisze, a co wy czynić chcieliście.

Przecież nie tajno nam, żeście się z Ciołkiem zma-
wiali do króla strzelać, żeście się niejedną raz chwalili do wróbli trafieniami strzałami, i o lesie i o gospodach myśleli, gdzieby lepiej zasiąść było, a ławiej potem uciekać, gdyby rusznica chybiła.

Mówiąc to kanclerz coraz goręcej głos podnosił i krew mu do twarzy napływała. Samuel też słuchać nie mógł bez niecierpliwości, której dawał oznaki, aż wreszcie dłużej wytrzymać nie umiając, zawołał:

— Przebóg żywy! dajże mi miłość wasza pokój! A toż macie mnie już w rękach waszych, czyńcie co chcecie, więcej ze mnie nie wysmażycie. Krótki czas żywota mojego, pilniej mi z Panem Bogiem sprawę mieć, niż z wami. Z ciałem już uczynicie, co zechcecie, a no duszy mej nie zabijajcie. Proszę cię o ministra.

Kanclerz głową poruszył.

— Tego na zamku noga nie postanie, bo ja go za służbę Bożego nie mam.

Samuel ramionami tylko rzucił.

— Więc wždy o kapłana jakiego chcecie, z któ-

rymbym na końcu tego żywota mojego o Bogu mógł mówić, a o duszy mej.

Oba byli poruszeni mocno, bo Samuelowe słowa, wyrzeczone z odwagą i mocą wielką, na kanclerza podziały. Otarł pot z czoła... i nie żegnając, ani mówiąc nic, ku drzwiom się skierował.

Zamknęły się drzwi, nastąpiło milczenie. Samuel na łożu padł wysilony i znękany. Zdawało się skończone wszystko, ale na tem nie było jeszcze końca.

Znowu tedy otwarły się drzwi i wszedł z papierami w rękę pisarek, który tu już nie jeden raz bywał, ciągnąc inkwizycje z Samuela. Zwał się Bech, a był podręczny Heidensteina i mieli go tam za zręcznego, bo się chwalić umiał, ale krom chytrłości, rozumu wiele nie miał.

Ten przystąpił do Zborowskiego.

— Masz-li cokolwiek cnoty i pocziwości, Zborosiu — rzekł opierając się na stole podług niego — powiedz mi, o co pytać cię będę.

Wtem otworzył pismo, które Samuel mógł poznać, iż było listem Krzychnika, który Wojtaszek wykradł zdrajca i oddał Cobarowi.

Począwszy je czytać Bech, coraz sobie głupim uśmiechem przerywał, patrzył w oczy Zborowskiemu i wołał: — A co? a co?

Ale Samuel nie odpowiadał wcale, dał mu list przeczytać cały i rzekł:

— Nic na to nie mam do powiedzenia, co w liście stoi. Mniemajcie już sobie i trzymajcie jako chcecie.

Czekał jeszcze Bech, czy nie wymoże cokolwiek, zagadnął z listu o jedno i drugie, co znaczyć miało, bo osób, o których była mowa, nie mogli dojść, ale Zborowski nie dał z siebie dobyć słowa.

— Raz mnie już w pokoju zostawcie — zawołał. — Kiedyz tym inkwizycjom koniec będzie. Mielicie na nie kilkanaście dni, a teraz mi ostatnie godziny odjąć chcecie

To okrucieństwo nadaremne, a ja czasu do stracenia nie mam.

Widząc Bech, że nie nie dokaże, zwinął papier ze złością wielką i zawołał:

— Nie dla tego listu cię tracą, to sprawa pana Krzychnika, który na sejmie odpowiadać będzie... jeżeli go też ułapim, a nie, to i zaocznie sądzić go dadzą. Nie dla listu was tracą, te rzeczy tu nie należą, ale z urzędu starościńskiego kanclerz nad wami moc ma. Przeto nasz JMPan miłościwy, na nie się nie oglądając, jedno na światobliwe sumienie swoje, skazuje cię na śmierć ściętą, jutro co najraniej, bo jesteś banit, a śmiałeś mieszkać w Koronie.

Na ten wyrok tak ogłoszony sumaryjnie, Samuel już słowa nie rzekł, aby rozmowy nie przedłużyć i czasu nie marnować. Bech czekał, kręcił się, szedł ku drzwiom powoli, na Mrocza poglądał, naostatek do drzwi przyszedłszy, otworzył je, rzucił niemi i wyszedł.

Zostali z Mroczkim sami, bo Serny się był oddalił, i jakiś czas trwało milczenie. Zborowski musiał spocząć, bo indagacye te gwałtowne z takim nań padły impetem, że je wydychać musiał, choć po głowie myśli mu się wiły, na które już czasu stać nie miało, aby je wszystkie rozplatać mógł i do ładu przyprowadzić.

Widział Mroczek jak się kilkakroć w piersi uderzył mocno i płakał, ale wstydząc się tych łez skrucy, ocierał je śpiesznie, a oczyma szukał Mrocza, czy on to widział, lub nie. Rotmistrz zaś litość mając udawał że nie widzi.

Nie mówili do siebie.

Nadszedł Serny, wasy jeszcze ocierając po piwie i podle Mrocza usiadł szepecząc mu coś na ucho. Czekali co dalej pocznie, azali nie zechce spocząć, ale ku temu się nie miało. Niespokojnie na stole wszystko przewracać począł, jakby szukał czegoś... Dobył swą chustę od hana tatarskiego i położył ją tuż przy sobie.

VI.

Sądził Mroczek, że póki do rana się doczekają, spocząć będzie mógł trochę; bo już kilka nocy mało co oczy spluszczył, nie usypiając, wtem Zborowski zwrócił się do niego:

— Ach! miły Mroczku mój! widzę, że ci się spać chce, ale uczyni to dla mnie, proszę cię, nie śpij, nie opuszczaj mnie. Tyś mi teraz księdzem, tyś świadkiem i przed Bogiem i tu na ziemi do wszystkiego, co uczynię mam, a ja wierzę, iż będziesz pomniał na Boga i na prawdę i na sumienie swe.

Mroczek też nie mógł mu odmówić ostatnich posług.

Wtem prosić zaczął o papier, kałamarz i pióro, które mu przyniesiono. Siadł zaraz za stół i pisał, przerywając sobie tylko westchnieniami, a niekiedy o czoło się uderzając. Więc pisał tak a mazał, aż wszystek papier zappełnił, a było go nie mało, pospołu i woli ostatniej i załóż nad dolą swą i słów do dzieci i rodziny.

Pisanie to przeciągnęło się czas nie mały, późno prawie w noc, które dokończywszy, porwał się z siedzenia niespokojny,

— Zmiłujcie się księdzka sprowadźcie... nie można predykanta, ministra, to jakiegokolwiek bądź chrześcijańskiego kapłana, z którymby o Bogu mówić mógł a na śmierć się przygotować.

A Mroczek rzekł.

— Późno jest. Zkąd go tu wziąć? i nie ma po niego posłać kogo?

Załamął ręce.

— Zmiłujcie się! Wyrostka masz, który śpi oto w kącie, pošlij go, to mu nagrodzę; niech pierwszego ja-

kiego spotka przywiedzie, albo-li do klasztoru którego zadzwoni.

Mroczek więc chłopca rozbudził, a ledwie można mu to było wrazić o co szło i kędy miał iść. Tu tedy co się potem stało, wersye krążyły różne, ale najpewniejsza ta, którą z ust samego wyrostka Mroczkowego słyszano. Ten za ledwie w ulicę wszedł ku miastu, gdy księdza w czarnym płaszczu zakapturzonego napotkał. Miał się do niego zbliżyć, aż ten sam podszedł ku niemu i rękę kładnąc na ramieniu rzecze:

— Księdza szukasz?

— A wy zkąd o tem wiecie? — spytał chłopak strwożony.

— Wiem, bo mi o tem oznajmiono z góry, księdza szukasz dla owego bezbożnika, którego tracić mają jutro na zaraniu.

— Tak ci jest — rzekł chłopiec, zegnając się.

— Jam ksiądz, prowadź mnie — nakazująco dodał mnich. — Przodem idź.

I począł półgłosem pacierz odmawiać, a chłopiec szedł cały wylekły, już się wcale nie odzywając. Gdy na burgrabstwo przyszli, mnich ciągle jeszcze kapturem miał twarz przysłoniętą i tak do izby się wsunął, w której Zborowski modlił się krzyżem leżąc.

Owo wiedzieć potrzeba, że krzyżem leżenie u dysydydentów wcale się nie praktykuje i że to już znamionowało, że do dawnej wiary powracał, sam prawie o tem nie wiedząc.

Gdy mnich przy nim stanął, a Samuel z ziemi powstał, dopiero kaptur czarny zrzucił na ramiona. Twarz jego zobaczywszy cofnął się Zborowski z krzykiem.

— Tyś jest!

A mnich stał i oczyma tylko go jakby na wylot bódł. Nie mówił zrazu nic.

— Jam jest... ja! bo sprawiedliwość Boża cuda czynić umie — rzekł mnich — jam jest, któregoś pokrzywdził,

niesłusznie, wystawił na urągowisko, smagał i znęcał się nademną. Jam jest, a na ciebie przyszła też godzina, że ci się urągają, smagają i znęcają, i że podlejszym się stałeś odemnie.

Na kolana grzesznika zatwardziały!

Obrócił się pan Samuel bardzo pomieszany.

— Chcesz spowiedzi? okaz skrucę, ukorz się — mówił ksiądz.

Jeszcze tedy Zborowski nie wiedział co pocznie, stał a na księdza spoglądał.

— Mówmy wprzód — odezwał się.

A mnich mu przerwał zaraz.

— Co? o religii kontrowersye wprowadzać chcesz, gdy dusza twoja nad przepaścią... Kłękaj i grzechy twe wyznawaj, boś grzesznik wielki, gwałtownik i zbójca i zbrodzień gorszy od tych, co z katowskich rąk ginęli... Znam ciebie i uczynki twe. Idziesz przed majestat Boży, obmyj się... godziny, minuty i technienia policzone.

Stał jakby w niepewności Zborowski i bladł coraz... Jako był przed chwilą pokorny i skruszony, tak owo gwałtowne wołanie księdza, równie jak wprzód nacisk hetmana, dobyło z niego opór.

Odstąpił krok.

— Toć mówić o Bogu chcę i abyś mnie objaśnił — rzekł dosyć łagodnie — przyjdzie-li do spowiedzi, nie wzdragam się.

Mnich zaś tej tergiwersacyi znieść nie mogąc, głos podniósł.

— Duszy więc nie ocalisz, gdy djabłu na pastwę przeznaczoną jest, bo pokuty nie chcesz, bo upokorzyć się przed Bogiem i jego zastępcą na ziemi wstydasz się. Nie przedemną, ale przed Bogiem byś się spowiadał...

— Mówmy o Bogu — wtrącił Samuel — niech posłyszę.

— O Bogu do bezbożnika mówić mam — począł O. Czesław. — Tyś gorszy od niewiernych, bo tamci Boga

nie znali nigdy, a ciebie wychowała matka bogobojna i miałeś go a zaparłeś. Sprzedałeś jak Judasz za srebrniki rozpusty, dumy i samowoli. Nie ma dziś na tobie miejsca bez makuty, ani zdrowego nic, gdzieby zgnilizna nie tkwiła. Przeznaczono ci ginąć marnie, a mnie było przeznaczone jeszcze w przededniu zwiastować karę Bożą.

Jękął Zborowski.

Potem już księdza nie słuchając, ani na niego patrząc, jak stał tak jęcząc coraz głośniejsze i szlochając rzucił się na podłogę i krzyżem tak leżał.

Stała się tedy rzecz osobliwa, na którą Mroczek patrząc, powiadał, że mu się robiło tak, jakby na cud jakoby patrzył.

Mnich umilkł i stał nad nim, aż posłyszawszy to jęczenie i płacz jego, przeżegnał się i pokłękł, półgłosem rozpoczynając modlitwy.

Jeden zdawał się nie wiedzieć o drugim, a to jęczenie i modlenie się razem spływało dziwnie. Zakonnikowi pot biegł po twarzy, a co była sroga i surowa łagodnie poczęła i wyjaśniać się.

Trwało to nie mało czasu. Nie patrzył ani się obrócił Zborowski ku mnichowi. Miało się już na brzask, gdy Samuel jakby usypiał uspakając się zaczął, ale jako żywo nie spał.

Mnich klęczał nad nim, pochylił się i szeptał długo, potem rękę podniósł i zęgnął, aż nareszcie wstał, kaptur na głowę narzucił i wyszedł.

Samuel zaś znacznie uspokojony pozostał tak na ziemi do siódmej godziny rano.

Na burgrabstwie ruch się już poczynił, dzień się zrobił.

Jeszcze leżał gdy Urowiecki z innymi oprawcami wszedł do izby, nic więcej nie rzekłszy, tylko:

— Idź.

Odział się w żupan i szedł za nim w podwórze,

gdzie trzy razy klękał, składał ręce i modlił się; musieli stać i czekać.

A ztąd właśnie kościół widać było. Stanął Samuel i jął prosić.

— Urowiecki, jak ci Bóg miły, do kościoła mnie puść na chwilę. Mój czy nie mój kościół, przed się i w tym pana Boga chwala, tego, który jeden jest dla wszystkich. Ja też niech ostatnią chwałę Bogu oddam.

Urowieckiemu serce zmiękło.

— Niech i tak będzie—rzekł—idź przed się, masz czas jeszcze.

Wtem gdy ku drzwiom kroczyli, ukazał się w nich wychodzący właśnie z kościoła kanclerz. Spostrzegłszy Samuela, za którym szli oprawcy, począł wołać nań.

— Panie Zborowski, postój proszę, odpuść mi, że cię tracę, odpuść mi.

— Nie odpuszczę!

A kanclerz nalegał, powtarzając.

— Postój, odpuść mi, proszę cię... nie ja, ale prawię cię karze.

— Nie odpuszczę, już to wiedz, że nie odpuszczę—wołał Samuel.

Stali tak przeciw sobie, a Zamojski twarz miał smutną i błagającą.

— Dla Pana Boga cię proszę, Samuelu... przez imię Jego, odpuść mi.

Samuel, który już był na próg stąpił, odwrócił się.

— Zagadłeś mnie! Odpuszczam ci, ale się świadczę Panem Bogiem i tymi co słyszają, że ci ja nic nie winien, bom nie czynił na wzgardę dekretów i praw nic, anim przeciwko poczciwości występowałem. Powoływałem cię przed sąd boży sprawiedliwy z sobą.

Kanclerz wysłuchawszy odszedł, a Samuel nie daleko od progu w kościele pokłękłszy modlił się gorąco, aż sam potem mężnie powstał i zwrócił się do drzwi.

Wiedli go tedy mimo Tatary za furtkę ku Strado-

miu pod Lubrankę, na ten plac, kędy od czci odsadzonych i złoczyńców pospolitych karzą, dla większej zniewagi. Blanki i plac wszędy gęsto ludem był obsadzony, który nie dopuszczał nikogo.

Rzucili na ziemię płat sukna czerwonego i kazali mu klęknąć.

A jak był nocą omdlały i w sumieniu niespokojny, tak teraz mężnie bardzo sobie poczynął i prawie bohaterko na tę śmierć szedł i patrzył. Sam z siebie żupan ściągnął, ale że rękawy ciasne były, spoczywał troszynę i ztąd na miasto spoglądał, potem wejrzał ku niebu, które było jasne i tylko się dniem rumieniło.

Aż z ust mu się wyrwało jakby w zapomnieniu.

— Hej! miły Boże, gdzie bracia moi mili, gdzie przyjaciele, gdzie służy, czegom ja wszystkiego miał dosyć... dziś... nie...

I stojąc tak już w jednej koszuli, Mroczkowi podał chustę.

— Mój miły Mroczku, jakoś mi przyrzekł, rozmoczże ją we krwi mojej, a daj ją synowi.

Mroczek na to niechętnie rzekł.

— Panie Zborowski, pora myśleć o czem innem.

Stał tuż kat, drab wielki i silny, ale drżał i oglądał się, a miecz wtem dawszy pachołkowi w ręce, jakby czegoś zabił wszedł między ludzi, na którego miejscu oprawca pomocnik został tylko. Tego Samuel dostrzedz nie mógł i mówił do pachołka sądząc go katem.

— Już mi na to przyszło, że do ciebie się modlić muszę, ostatni to kres, bo o śmierć mi nie idzie... Proszę więc cię, abyś mi nie przeszkadzał, dopóki modlić się będę, dopiero gdy raz trzeci rzeknę: Jezus, dogódź mieczem a dobrze, za co tobie z hajduki monętę odkazuję.

Gdy to rzekłszy położył głowę i modlić się zaczął, obejrzano się za katem, a tego nie było.

W samej ostatniej chwili, albo przekupiony, lub

przestraszony uszedł i schronił się, a nie znaleziono go aż później w kościele.

Leżał tedy Samuel a modlił się... i rzekł raz — Jezus.

Hajduki się niepokoiły, bo oprawcy nie było. Szukali go, biegali... więc tymczasowo jeden z nich za miecz wziął, bo z blanków im znaki dawano, na których kanclerz stał, i pan Stanisław Żółkiewski i innych wiele.

Zawołał drugi raz — Jezus — a tu kata nie było, i hajduk obnażył miecz, ale mu ręce drżały.

Potem wreszcie trzeci raz rzekł — Jezus.

Pachołek zaś nieopatrzwszy się, nie podniósł miecza, aż Zborowski obejrzał się i zawołał.

— Cóż czynisz?

Popchnięto pachołka, który z całych sił, ale niezręcznie uderzwszy w szyję, kęs plecu też zaciął.

Spadła głowa zaraz na ziemię i odskoczyła od niej trzy razy ku Urowieckiemu, który przeleknął przed nią w bok uchodzić musiał i nie rychło się uspokoił, bo ludzie patrząc na to różnie wróżyli. Czasu tych kilkunastu dni więzienia Urowiecki sobie często bardzo ostro poczynął z nim, litości mu nie okazując, jak Mroczek, który szorstki był, grubian, ale serce miał.

Taki był koniec onej tragedyi Samuelowej, jeżeli to końcem nazwać się godziło, bo naprawdę powstałe i zrodzone z niej zamieszanie, które wstrząsnęło Rzeczpospolitą, królowi i Zamojskiemu trosk nie mało przymnożywszy, dopiero się od tej godziny poczęło.

Prosta, z sosnowych desek zbita trumienka już była zawczasu przygotowaną, w którą ciało jak leżało wrzuciono zaraz i głowę też, a krew jeszcze z nich ciekła, potem nakrywszy ledwie, postawili ją oprawcy przy małym domku u furty, który przekupka trzymała. Nie chciano ciała zabierać i grzebać, aby jeszcze większego nie wywołać gniewu rodziny, która by się była o zwłoki upominała.

W mieście zrazu, zwłaszcza że godzina wczesna była, nikt nie wiedział, że tego dnia miał być tracony, choć się spodziewano tego z dnia na dzień. Ci, co słyszeli wczora, nie wierzyli, gdyż nieraz ich gadanie zawiodło.

Zazwyczaj słudzy Samuelowi przychodzili na zamek do burgrabstwa, choć ich do pana puszczać nie chciało, przynosząc różne rzeczy, których mógł potrzebować. Przyszli więc i dnia tego pod furtę do chaty, przed którą przekupka przy kołowrotku siedziała. Był i Luzicki z nimi. Zbliżali się już do wrót, strażycy chcąc pytać o pana, gdy stara ich zawołała.

— Co, o pana pytać macie — rzekła — stracili go dziś na zaraniu, a oto trumna jego tam stoi i krew z niej płynie.

Krzyk i lament stał się wielki, a Borowski z Luzickim rzucili się zaraz ku trumnie i odjawszy wieko, gdy odcięta na wierzchu leżąca głowa ujrzeni popadali płacząc na kolana.

Lament powstał, bo innych też ciekawych zebrała się kupka, a za tymi biegali i inni, widząc, że się ludzie gromadzą; cisnęli się ciekawi, drudzy pobiegli na Franciszkańską ulicę dać znać, aby ciało zabierano, do pani krakowskiej, która umyślnie dla sprawy Samuelowej w Krakowie mieszkała, do pana wojewody kaliskiego i do innych przyjaciół.

Można śmiało powiedzieć, że w tej godzinie przyjaciół tylko miał, bo wszyscy się na okrucieństwo oburzali. Wnet po ulicach, po rynkach rozeszła się wiadomość, że Zborowski został ścięty; nie wierzyli jedni, rozpaczali drudzy, na kanclerza bij zabij wszyscy, czemu go do sejmku nie chował.

Kancelerskim ludziom ani się było można pokazać w ulicach, bo ich ścigano, oprawcami i zbójcami na nich ciskając, tak że kryć się musieli.

Zbiegowiska się zaczęły tworzyć znaczne po uli-

cach i rynkach, a kto mógł biegł pod Lubranekę, żeby się na własne oczy przekonać, iż prawdą było co mówiono.

Około trumny ludzie pani krakowskiej, marszałka i Stadnickich stanawszy kołem nie dopuszczali ciekawych, a czekano na panią krakowską, która sama się ciało przeprowadzić ofiarowała. Nadeszła też poważna pani, cała w czerni i kirze, a z nią Włodkowa od łez czerwona i jak oszalała, i Anusia, blada, a tak straszna z tego wewnętrznego gniewu, który nią miotał, że ludzie się do niej przybliżać nie śmieli. Ta płakać nie mogła, usta do krwi gryzła tylko.

Luzicki, Borowski, Morawa i inni wzięli oną trumienkę na ramiona i nieśli ją aż do kamienicy wojewody kaliskiego, a przez całą drogę krew strumieniem się z niej wylewała; tak, że i deski i tragarze nią byli obluźgani. Tu w dolnej izbie na prawo złożono ciało na łożu, obmyto, oczyszczono, ubrano przystojnie, ale musiano pozostawić do trzeciego dnia, dopóki by trumny dostętniej nie przysposobiono i smołą nie wylano.

Przez cały ten czas, choć wrota były zamknięte i nikogo nie wpuszczano, krom znajomych i przyjaciół, ciżba oblegała kamienicę, szlachta płynęła bez ustanku, a który ztąd wyszedł za kord się trzymał, jakby szukał i czekał kogo rąbać...

Na kanclerzu pocziwej nitki nie zostało, a i królowi też nie przebaczone.

Trzeciego dnia, chociaż się to wcale nie uśmierzyło, trumnę przyniesiono, włożono w nią zwłoki i zamknięto w niej, ale że się wielu domagało go widzieć, pozostawiono szybę naprzeciw twarzy, resztę zaś sprostą, ale uczciwie czarnym gmachtem obito.

Co się działo i pierwszego i następnych po nim dni na zamku i w mieście, ludzie długo pewnie pamiętali, bo takiego zburzenia umysłów zdawna Kraków nie widział, a było generalne, począwszy od biskupiego dworu do najbiedniejszej chaty... Na zamku musiano gęsto obsadzić

blank, bo się sedycy obawiano. Do kanclerza nikt nie jechał. Za to do zwłok, do pani krakowskiej, na Franciszkańską ulicę do marszałka, cisnęli się znajomi i nieznajomi z kondolencyami, a jakie tam głosy przeciw Zamojskiemu słyszeć się dawały, powtarzać trudno.

Gdyby nieprzyjaciele króla i Zamojskiego chcieli dla swej sprawy coś uczynić, nie mogliby jej lepiej usłużyć nad to, co dla niej sam kanclerz przez śmierć Samuelową uczynił.

Owo ciągle powtarzane «piwo polskie» Zamojskiego, które miało rychło stać za wodę, robiło tymczasem w głowach jak w kadziach... a nie czuć było, aby się rychło wyburzyć mogło.

Chociaż panowie Zborowscy oprócz lamentów nie czynili nic, w Krakowie powstał taki tumult, taki murmur (wedle wyrażenia ówczesnego) przeciwko kanclerzowi, iż go inaczej nie zwano, jak «gwałtownik praw, tyran haniebny».

Dla szlachty krakowskiej, która Zborowskich od kilku wieków przy tronie i na krzesłach senatorskich widywać była nawykła, Zamojski był *homo novus*. Wołano, że go król zaledwie *ex stercore paupertatis* wydzwignął.

Nie pomogło wspomnienie owego wspaniałego wesela, ani z królem pokrewieństwo.

Ktokolwiek nawinał się kanclerzowi na oczy, zataić mu tego nie mógł, że *indignatio* była powszechną i gwałtowną, jakiej nie pamiętano w Krakowie od ucieczki Henryka.

Po gospodach i browarach występowali oratorowie, cisnęła się szlachta, czytano skrypta, miotano pogrózkami.

— Czego się my mamy spodziewać — wołano — kiedy takich rycerzy, co nas przeciwko poganom bronili, na których męztwie rzeczpospolita stała, katowskim mieczem ze świata gładzą!

Ozeka nas tyraństwo domowe, albo niewola u turka.

Gdy w Świdnickiej piwnicy, ktoś się śmiał na to

odezwać, że właśnie pan Samuel z turkiem porozumienie miał i że pełno tego śladów zostawił w pismach i po księgach ręką własną, a podarki od tatarskich panów odbierał... o mało go jako kalumniatora nie rozsiekano, tak, że się ucieczką salwować musiał.

Nie mogło to dla Zamojskiego tajem być, co się dokoła działo, bo patrzył, słuchał, a wzrok i słuch miał bystry, ale czynił tak, jakby o niczem nie wiedział, lub go to wcale nie obchodziło.

Więc listy do króla i gońca z relacją odprawiono natychmiast, a sprawy powszednie szły swym porządkiem i nieprzerwanie.

Wieczorem przyszedł do niego Urowiecki, który już od kłótni i łajania ledwie dyszał, z tem oznajmieniem, że nikt z ludzi na miasto się pokazywać nie mógł, bo ich ścigano, kamieniami rzucano, plwano, a z okien katami i oprawcami okrzykiwano.

— Tak daleko to zaszło — rzekł Urowiecki — iż na sedycę patrzy.

Zamojski spokojny i niewzruszony wysłuchał opowieści i rzekł mu tylko.

— Znajdzie się sposób na to, a nie traćcie animuszu... i nie zważać... niech się gawiedź wykrzyczy.

Kazał do siebie wezwać na radę Heidensteina i Becha, choć nie oni jemu, ale on im radził i wydawał rozkazy, a to tak spokojnie i flegmatycznie, jakby mu to bynajmniej nie dolegało.

Nazajutrz Bech spróbował na miasto i w pierwszej gromadzie, gdzie wykrzykiwać zaczęto o owej niewoli turckiej, on się znowu wyrwał z argumentem, że Samuel z Turkami i Tatarami miał konszachty.

— Jeżeli tak było — krzyknął mu pod nos szlachcic pięścią demonstrując — a toć to sejmowa sprawa, nie kanclerska. Czemużeście go z pismami temi i księgami na sejm nie schowali?

Bech na to jeszcze ofuknął.

głośno wołając i wywołując, że Zborowski się wynosi do Włoch a *ingratam patriam* rzuca na zawsze.

Publicznie o tem mówił on sam, jego słudzy, rodzi-
na i czyniono umyślnie demonstracye z przygotowaniami, aby ludzie w to uwierzyli.

Podróż też ta cała dla rozgłosu szła bardzo powolnie. Ze Złoczewa ze swym taborem zajechał Samuel do Glinian i tu stanął na noc, a dopiero 26 kwietnia odjechał do Lwowa.

Tu czekały na niego wielkie interesa majątkowe, którym starano się nadać znaczenie i rozbębnić je... zawsze dla tego wyjazdu za granicę... *Ingrata patria* i t. d.

Cały kahał musiał stać w przedpokojach długo na zamku, nim się ułożono o powołowszczyznę w browarach, a potem o spław zboża do Gdańska, naostatek o dozór nad psy i myśliwstwem pańskim, które zostawiał po sobie. Przyczem wyprawiano na miasto głośno... wracali posłańce... a na ulicach kto chciał i nie chciał wiedzieć musiał, iż Zborowski opuszcza kraj, że zmuszony jest do tego prześladowaniem, niewdzięcznością, że za jednym Zborowskim pójda drudzy—a co pocznie potem Ruś bez Zborowskich?

Tu Oleś syn przyłączył się do ojca, co znaczyło wiele, bo zaraz wszystkich dwór poważniał, surowość była większa; sam p. Samuel ubierał się, chodził, mówił przy nim inaczej i dbał daleko więcej, aby był ład około niego.

Dwór podróżny dosyć się złożył okazały; trzydziści koni szlacheckich co przedniejszych, dalej komorników, pacholąt, pacholików, czeladzi różnej też tyle, kotczych wozów szło dziesięć ze skrzyniami, namiotami itp. Dwa wierzchowce wiedziono na powodzie. Oręża i strzelby dosyć było, ale mniej niż zwyczajnie, gdyż jako niby do Włoch jechać miał, więc tyle tylko zabierał, ile między ludzi rozdać mógł, nie obciążając ich zbytnio. Kosztowności, prócz trochy futer, nie wioził z sobą żadnych.

Co chwila słyszeć go było można powtarzającego

tak, aby ludzie obcy się dowiedzieli, «do Włoch wyjeżdżam, syna w Niemczech dla nauki zostawię. Wracać do Polski nie mam zamiaru, chyba dlatego, abym królowi J. M. niewinność moją i domu naszego pokazał, jeżeli tego zajdzie potrzeba, a gdy król ją uzna, ufam, że nieprzyjaciele domu naszego będą uskromieni, a król pańskiemu słowu swemu zadość uczyni i ze mnie ten dekret zdejmie *auctoritate et benignitate sua regia*, uspokajając. Ale jeżeli około uszu królewskich zagłuszą pochlebników i złych ludzi hałasy, i nie uzna niewinności, tedy ja już w Poisce czynić co nie mam. Jadę do pana imion tych marszałka Andrzeja, brata i opiekuna mojego, temu dzieci i wszystko zleciwszy, co on postanowi uczynię.»

Uważać należy, iż marszałka wymieniając jako starszego i opiekuna, o Janie kasztelanie wcale nie wspominał.

Gdy trzeciego dnia ze Lwowa, w Jaworowie nocował, pożegnawszy chorego Kamienieckiego, któremu życia już nie obiecywano, nadbiegł tu z listem od niego sługa.

Kamieniecki dogorywający chciał się z nim widzieć jeszcze, aby mu odradzać jego imprezę.

Namyśliwszy się Samuel, zawrócił do Lwowa, ale z maleńkim pocztem, a cały tabor swój wyprawił z Jaworowa do Dubiecka i tam mu na siebie czekać kazał.

Powiadano, że Kamieniecki, który już na poły tylko w tym świecie był, a miał widzenia przyszłości, zaklinał go i prosił, ażeby zawrócił do domu i spokojnie siedział, nie chce-li nałożyć głowy.

Z tej przepowiedni tyle tylko, że się naśmiał Samuel, chociaż umierającego pocieszać się tem starał, że w istocie do Włoch pociągnie. Kamieniecki już w myśli jego czytał... zaklinał go znowu, słowo wymódcz chciał, losem dzieci go pragnął zmiekczyć i nie nie potrafił.

Pożegnawszy umierającego przyjaciela, tegoż dnia

— Boże uchroni! Dobrzeby tak było postąpić z kim innym, i pewnieby się też tak uczyniło, ale nie z możnymi dysputy jak Zborowscy, z tymi inaczej potrzeba. Ujrzyście zresztą, że i na sejm się jeszcze dosyć zostało; mamy na nich dowodów siła, okaże się wszystko.

Wtem dokoła poczęto wołać.

— Kanclerczuk! kanclerczuk! — i nacisnęli Becha a grozili mu i szturgali, tak, że się ledwie wycofał i uciec musiał.

Tegoż dnia Serny, którego poznali ludzie Zborowskich, że ten był co przy nieboszczyku siadywał, i dosyć się z nim grubiańsko, po chłopsku obchodził, ścigany i pobity, ledwie do bramy zamkowej z życiem się schronił.

Spotykało to i innych. Miasto całe pomstą wrzało... W początkach sędzy kanclerscy nie chcą okazać, ażeby to ich alarmowało, umyślnie tem zuchwalej sobie poczynali i straszac ludzi Zborowskich, naciskając się na domy i szablami pobrzękując, ale się zawsze potem cofać musieli, bo mieszczenie w pomoc przychodzili Samuelowym.

Na zamku Urowiecki z rozkazu snać kanclerza własnie na przekór kazał szczególną okazywać wesołość i tryumfy wyprawiał. Na trąbach grano ustawicznie, w bębny bito, żołnierstwo na blankach stojąc pokrzykiwało i pieśni śpiewało. A tem co mieli onieśmielić, to do ustatka zniechęcili i rozdrażnili lud.

Na ulicach wszczynają się co krok zwady. Szła gromada kanclerskich ludzi, a napotkała którego ze Zborowszczyków, zabiegali mu drogę urąganiem, wywoływaniem, ukazując na gardła, śmiejąc się, naciskając.

Taż samą monetą potem Zborowszczycy i szlachta i mieszczenie, czeladź nawet rzemieślnicza płacili kanclerzowskiej służbie.

W dzień Ś. Trójcy, kanclerz po nabożeństwie pojechał do biskupa krakowskiego. W początkach nie mó-

wiono nic, tylko o królu i o przybyciu jego spodziewaniem, a o sejmie konwokacyjnym, ale zaraz ktoś z przytomnych bryznął kanclerzowi sprawą Zborowskich w oczy, dosyć nieprzystojnie. Zamojski żeby drgnął, ani mu się twarz bynajmniej nie zmieniła, począł sprawę wywodzić tak zimno, jakby szło o beczkę soli, nie o głowę.

— Jeden już zuchwałstwo swe gardłem przypłacił—rzekł—ale na tem nie dosyć. Krzychnika Zborowskiego podczaszego, ja tem samem prawem zaraz stracić mogę, a że się o to wszelkiemi siłami starać będę, nie ta-je. Ten winien może więcej niż Samuel, choć zawsze z za płota strzelał... Pisma jego własnoręczne są... *flagrantes*. Marszałek też, choć niewinnym się czyni, tyle wart co i bracia, ale tego ja na sejm rezerwuję, z pocziwością i gardłem nie ujdzie mi.

Biskup się na to odezwał do łagodności podbudzając, na co Zamojski rzekł.

— Długo pan nasz cierpiał i miłosiernym był, a no przebrała się miara, bo nam na głowach koły ciosać chcą. Nie byłoby rządu, gdyby nie było sądu, a przed tym tak dobry pan Zborowski jak najmniejszy chudzina.

Słowa te potem rozniesiono zaraz z kamery biskupiej, do których każdy jeszcze coś przyrzucił, i rozeszły się po mieście, a co za uczucia wzbudziły, łącno pojąć.

Tegoż dnia Bech i inni, Serny i Urowiecki przyszli powtórnie do kanclerza do sypialni, przekładając mu, że już na miasto wyjść i ukazać się nie śmieją, którym miał Zamojski odpowiedzieć (wedle ich wersyj).

— Jam też słyszał, że tam waszmościów strasza po rynkach i boicie się! Cóż moi mili sędzy i przyjaciele, jam wam mówił już: piwo to polskie, czekajcie mało, rychło się wyburzy. Karcię ja każdego muszę i będę, bo ja urzędowi moim, które na mnie pan włożył, zadosyć czynić jestem obowiązany, a na fraszki takie jak oni Zborowscy, nie zważam.

Ciągle to powtarzano o piwie i o fraszkach, że sobie ze Zborowskich nie czynił nic.

Urowiecki zaś po swojemu dodawał jeszcze, jakoby przez Zamojskiego wyrzeczone słowa.

— Trudniej im o trzysta złotych, niż mnie o trzykroć sto tysięcy. Ja moim sługom mam co dać i mogę każdego z nich możnym uczynić, czego żaden w Polsce i na Litwie nie potrafi.

Ja was zastąpię we wszystkim, a stanie się któremu z was co do gardła i do majątności, ja mścić będę. Wyście żrenicą oka mego, i w tej sprawie i w każdej innej bronić was będę. Mam wojsko, mam pieniądze, mam państwo w ręku mych.

Że podobnego coś mógł powiedzieć, możliwa, ale że to przesadzone przez usta Urowieckiego brzmiało inaczej, też pewna, jak niemniej, iż na dwór Zamojskiego popłoch padł, a siedzieli potem na zamku ruszyć się nie śmiejąc, bo ich raz wraz despekty spotykały.

Zborowscy czując poza sobą i szlachtę krakowską i stolicę tę całą, śmielej szli. Przybył do Krakowa z pocztem okazałym marszałek Andrzej w wigilją Bożego Ciała i przez miasto ciągnąc w żałobie, zajechał do domu na Franciszkańskiej ulicy. Wiadomem było, że po zwłoki brata przyjechał, które ztąd odprowadzić miano na Zamek Spytków, do rodzinnego grobu. Do wyprowadzania tego nikogo nie powoływano i nie zapraszano, ale zawczasu zbiegła się szlachta gromadnie, przyjaciół, sług, dworu, klientów co niemiara. Miasto się przepełniło jak na festyn największy, na co z zamku jakim okiem patrzano, rozumie każdy, ale nie przeszkadzał nikt zmarłemu oddać ostatnią posługę, bo Zamojski mówił:

— *De mortuis nulla est cura* (o zmarłych nie ma się co troszczyć).

Prowadzono trumnę przez ulice z żałobą wielką i konkursem ludu ogromnym, przyczem marszałek za

bramami, gdy na wóz trumnę składać miano, mowę powiedział, którą spisaną puszczone w świat.

W mowie swej Andrzej wcale kanclerza nie oszczędzał, poprostu stracenie brata mordem zowiąc nieczem nieusprawiedliwionym, popełnionym dla prywatnej niechęci, «jadowitemu gniewowi i waśni swej zadosyć czyniąc.»

W mowie tej Andrzej bardzo zręcznie dowodził, że banicya ta prawie lat dziesięć starą była, a dopiero ją teraz przebutwiała spożytkowano dla prywaty.

«Blizko lat dziesięciu już w Polsce Samuel był, mówił marszałek, *et non temere*, miał pasporty króla JMci teraźniejszego, miał przywileje na jurgelty, miał listy przypowiednie, bywał na pokojach u króla JMci dzisiejszego, bywał u tegoż samego nieprzyjaciela, z marszałki wszystkimi siadał, jadał i konwersował.»

Oczywista, że w mowie wszelkiego wspomnienia o listach pochwyconych, spiskach, knowaniach i zamachach z Krzysztofem razem osnutych, unikał, i czystym, a przemocą uciśnionym Samuela czynił.

Kończąc odezwę tę do szlachty krakowskiej u trumny brata, która szeroko i daleko rozejść się miała, zakończył Andrzej:

«Jako się na jednej krwi nieprawnie zajuszy, nie tuć stanie, bo słodka takim wężom krew ludzka. Jużci słyszę jawne mowy, że toż JMPanu Krzysztofowi bratu memu uczyni, o mnie też nie wiem co za groźb używa, a jeśliby wygubił dom mój, a wy na to przez szpary patrzeć będziecie? Rzucił ci już tą kostką, stanęły mu, że na wasze szyje to uczyniono.»

Tak ta Zborowskich sprawa stawała się wspólną całego stanu szlacheckiego, pogwałceniem praw... samowolą pojedynczego człowieka. W istocie nie zbywało jej na stronach ciemnych, które się wyzyskać dawały w obronie Zborowskich, a raz dostawszy się w usta

tłumom, rosła na poemat i legendę, przemawiała do sere tragicznością swoją.

Samuel dotąd słynący z zuchwalstwa i samowoli, stawał się bohaterem i męczennikiem, opromieniała go poezya, wychodził z grobu jasnym...

Obudzał litość, przebaczano mu wszystko, podnosiły się w nim rycerskie cnoty, męstwo nieustraszone, ochota do czynów, na które niktby się inny nie ważył. Opowiadano jak na Niżu z kozaki cudów dokazywał, odpisywano powieść o tem, tak ułożoną, iż go w najpiękniejszym świetle wystawiała.

Żyli jeszcze świadkowie, byli towarzysze. Śpiewano o nim pieśni...

Nie mało się też przyczyniało i to do wzbudzenia litości w sercach, że dzieci osierocił, z których Anusia szczególnie się odznaczała żalem swym, publicznemi lamenty i niemal powoływaniem do zemsty. Szła razem z Włodkową i panią krakowską za zwłokami, pałającemi oczyma wszystkich jednając sprawie ojca.

Na zamku wieczorem dnia tego odetchnęli wszyscy swobodniej, gdy rodzina, przyjaciele i cały ten tłum szlachty odpłynął za trumną. Sądzone, iż się wkrótce rozdrażnienie uśmierzy, a Zamojski powtarzał swe piwo, nie rokując poruszeniu temu długiego bytu, a rachując, że przed sejmem się zatrze wspomnienie. Na ten raz jednak rachunek się mylnym okazał.

VII.

Oczekując na przybycie króla, który się z Grodna do Krakowa, albo raczej do Niepołomic obiecywał, bo tam

rad przebywał, unikając królowej dla trudnego pozycia z nią, gdy w istocie małżeństwo politycznym tylko było związkiem — Zamojski mężnie stawiał czoło całej tej wrzawie, jaką śmierć Samuela wywołała.

Przewidywał on po części następstwa, gdy Bato-rego o powolność prosił i słał listy a posły, aby go do niej nakłonić. Przygotowany się też znalazł do walki, gdy król nie tyle się jej spodziewał, rachował na trwogę, a teraz widząc, że rozdrażnienie tylko wywołał, tem mocniej życzył i nakazywał najsurowsze względem Zborowskich postępowanie.

Z obu stron gotowano się do tej wojny i Zborowskich przyjaciele zręcznie umysły nastrajać się starali rozrzucanemi pismami, które z rąk do rąk przechodziły.

Kancierz też z założonemi siedzieć nie mógł, choć te szarmyśle przedsejmowe nie po myśli mu były.

W kilka dni po wyprowadzeniu zwłok do Spytków, siedział wieczorem Zamojski z Heidensteinem i Bechem za stołem, na którym papiery były rozrzucone i słuchał z zimną krwią opowiadań o pogrzebie, na który patrzeć nie mógł.

Tegoż dnia goniec mu przyniósł od króla listy panów Zborowskich, Jana kasztelana gnieźnieńskiego i marszałka Andrzeja... i inne akta sprawy się tej tyczące. W liście swym do Zamojskiego król nastawał na to, aby im rozdrażnienie w kraju większem się okazywało, mniej mu się poddawać i folgować.

Zamojski by był chętnie wiele oznak niechęci puścił mimo uszu, nie podnosząc ich, nie walcząc z niemi, na wiele skryptów nie odpowiadając, co było najlepszym sposobem odprawienia ich pogardą; król zaś przeciwnie nastawał, aby nie bezkarnie nie uchodziło, bo czuł się silnym. Nie o Zborowskich mu szło, chociaż ich też nie-nawidził jako osobistych wrogów, ale o całą szlachtę, której oni butę, nieokiełznaną swowolę i zuchwalstwo wcielili w siebie.

Pożyć ich, było to zapowiedzieć innym, że dla wielkiego imienia, związków i znaczenia względów żadnych się mieć nie będzie.

— Prawo nie zna ludzi, pisał król, tylko uczynki... Ja też osobiście nie widzę żadnego powodu, dla którego bym folgować miał, a tysiąc pobudek, bym nieubłaganie ścigał wykroczenia.

Listy te Batorego dawał kanclerz czytać sekretarzowi, nie dodając do nich ani słowa. One tłumaczyły najlepiej jego zachowanie się.

Bech przyniósł właśnie cały zwitek papierów, które Zamojskiemu miał ukazać. Szło o to, czy warte były niektóre, aby przeciwko nim z kontr-skryptami wystąpić. Kanclerz tej polemiki bezimiennej był nieprzyjacielem, choć obyczaj kraju czynił ją prawie nieuniknioną.

Wiedzano powszechnie, co i Zamojskiemu nie było tajemem, że nocy ostatniej Samuel kazawszy sobie Mroczkowi podać papieru, pisał długo i dużo zostawił zapchnionych arkuszy. Co na nich stało, nie wiedział nikt oprócz Mroczka i tych, którym papiery oddał, ale *vox publica* chciała, ażeby wiersze i zale na nich zostawił, których odpisy się natychmiast ukazały.

Przyniósł tedy Bech ów wiersz i podał go Zamojskiemu uśmiechając się. Kanclerz w milczeniu czytać począł, ruszył ramionami i odsuwając papier, rzekł:

— Nie Samuelem to pachnie, i nie wiem, ktoby się na to dał wziąć, ale ludzie łatwowierni są, gdy im tego potrzeba. — Czytajże wasza mość — obrócił się do Heidensteina — pedagog to jakiś i *poeta bullatus* na rachunek Samuela, za pieniądze marszałka tak pięknie wystylizował. Boleś w przededniu śmierci inaczejby wolać musiała, gdyby do skandowania była zdolną. Nigdy też nie słyszał, aby hetman niżowców muzom dworował...

— Toć pewna, że elegię tę nie on pisał — odparł Heidenstein — ale ona chodzi po świecie i serca porusza.

— Czytaj wasza mość — rzekł kanclerz do Becha — który rozpoczął:

Słuchajcie nocne cienie, bądźcie mi świadkami,
I wy nieszczęsne ściany, skarżę się przed wami,
Jak świat stanął i póki bieżą lata jego,
Żaden nad mię żałośniej nigdy nie zszedł z niego...

Za tem szło dalej, przyczem Zamojski często ramionami zżymał.

— Zdradził się pedagog — rzekł — mythologią i erudycją, której bodaj Samuś nigdy nie miał. Ów Jowisz, Fata, Tytan, Sysyfusz, Cyntia...

— Na toby jednak komentarz się zdał — odparł Heidenstein — bo tu wiele rzeczy dotknęto, które inaczej brzmiałyby rzeczywiście niż je poeta urobił.

Kanclerz wziął do ręki papier, odczytał go raz jeszcze i począł dyktować Bechowi, który notował słowa jego.

— «O ojczystej swobodzie mówi — odezwał się kanclerz — a tej nie kosztował, bo był banitą; zowie się «synem koronnym», a nazwiska tego godnym się nie okazał. Powiada, że «zdradną przygodą» ujęty został, co fałszem jest, bo go umyślnie w imię prawa wzięto».

Z kolei tak Zamojski przebiegł cały ów wiersz, rzucając uwagi, i dodając w końcu:

«Śmierć swą nazywa «niepożyteczną», bardziej żywot był niepożytecznym, bo więcej szkodził ludziom, zdrowia ich pozbawiając, przykrości im czyniąc, rzeczpolitę sobie nie ważąc, o królu mówiąc, że go za nic ma. Teraz jest śmierć pożyteczna, bo będzie drugim *in exemplum*, że zuchwałego zawsze karzą».

Heidenstein więc postanowił, czemu się Zamojski nie sprzeciwił, aby przeciw wierszowi notę na świat puścić. Wtem Bech i drugi wiersz łaciński średnio-wieczną formą niekształtną podsunął, którego pierwsze rymy przeczytawszy, kanclerz śmiechem parsknął i precz go odrzucił.

Nie wiem jaki mnich się na to zdobył — zawołał — a no szkoda, że o jakie lat trzysta się opóźnił...

Wiersz ten w istocie jakby przed wieki zlepiony, kończył się groźbami w przyszłości dla Polski:

Cernite Poloni!
Erit hoc non uni!
Post hoc vos flebitis!

Łacińskiej tej elukubracyi dano pokój, śmiechem ją zbywając.

— Toć — rzekł Zamojski — panowie Zborowscy i tem się chwala, że na Niżu o nim ruskie pieśni kozacy śpiewają: a no chyba na nie odśpiewywać nie warto, boby temu końca nie było...

Przyszły potem na stół listy obu JM. Zborowskich do króla, w których nietylko Andrzej, ale i Jan na kanclerza nastawał i z tych się król mógł przekonać, że surowość jego do coraz nowych prowadzić będzie zatargów i zmusi do coraz większych ucisków, a ścigania niemal całej rodziny.

Miał przed sobą listy te kanclerz, ale i wiele innych równie niepokojących dokumentów.

Za Samuela o pomstę do Boga wołano.

List kasztelana gnieźnieńskiego mógł najboleśniej dotknąć Zamojskiego. Stał on dotąd zdala, nie mieszając się do spraw braci, którym był obcy, jak piorunem raziła go wiadomość o śmierci Samuela.

W spiski, w winy braci, w zamachy na króla kasztelan nie wierzył, nie znał ich... miał je za potwarze; gwałt, czyniący zakałę rodzinie, dotknął go okrutnie.

List do króla kończył się krzykiem boleści.

«Nie przyszło to uczynić Zamojskiemu dla dobra Rzeczypospolitej — pisał kasztelan — bo ta nie była nigdy ni w czem od niego obrażona, jeno z waśni a uporu swego przeciwko domowi naszemu, jako temu, który się zawsze o to stara i starać chce, jakby wszystkie domy co najcelniejsze w Polsce najprzód do niełaski Waszej Królewskiej Mości przywiódłszy, wyniszczył do gruntu, czego już dosyć widzimy na oko, a sam siebie tylko i po winne swoje wynosi aż pod obłoki, a nigdy ni w czem Rzeczypospolitej i W. Kr. Mości zasłużone, którego nie tak jego godność, jako wielka łaska Waszej Król. Mości, *ex stercore erexit pauperem* (z znoju ubogiego wyniosła).

«Żal takowy w nas wiecznemi czasy uśmierzony być nie może, a życzyłbym był sobie, niż do tego przyszło, aby była nas ziemia pierwszej i potomstwa nasze pożarła, bo nie jedno my, którzyśmy zostali na świecie, ale i ci, którzy już są na łasce Bożej, by jaką wiadomość o tem mieli i ciby równą żalność z nami mieli, do jakichś dyscensyi i trudności Waszą Król. Mość i wszystkę Rzeczypospolitą wiedzie; daj Boże aby to W. Król. Mość jako we zwierziedle obaczyć raczył. Dalej i więcej żal, który się prawie z duszą łączy, nie dopuści mi pisać. Wszystko na łaskę W. Król. Mości i rozsałek przypuszczając, ostatek się do sejmu odkłada.»

Przy czytaniu listu tego kanclerzowi, gdy Bech przyszedł do miejsca, gdzie zelżywie się wyrażał kasztelan, *ex stercore...* utknął. Spojrzał nań Zamojski i rzekł chłodno.

— Czytaj w. mość.

Wahał się jeszcze amanuensis, gdy Zamojski zwołał mu papier wyjął z rąk; półgłosem przeczytał.

— *Ex stercore!* — a pokręcił głową i oddał mu list, aby kontynuował.

Nic sobie nie czynił z tego wyrażenia, przecież go zabołało i kilka razy w duchu powtórzył sobie: *Ex stercore!*

Na królu, który sam sprawcą był, nie czyniły wrażenia te listy; kanclerz cały ciężar odpowiedzialności dźwigał, jego tylko obwiniano.

Zborowscy czynili teraz nadzwyczaj, bo im o przygotowanie umysłów do sejmu chodziło, nie tylko do króla ze skargą wystąpili, zaskarżyli kanclerza do trybunału w Lublinie, a przedstawili rzecz w ten sposób, że trybunał, acz z oględnością, postępowanie Zamojskiego naganił.

Pismo to obeszło go najwięcej.

Powaga trybunału była wielka, mogli się nią zasłaniać Zborowscy. Zmleć też nie mógł kanclerz i odpowiedzieć musiał.

Tak mimowoli prawie wszędzie był wciągnięty, iż się tłumaczyć i odzywać został obowiązany. Milczećby był wołał, lecz nie godziło się. Gdy w odpisach poszła mowa pana Andrzeja miana przy wyprowadzeniu zwłok, i przeciwko tej protest zaniósł, do Lublina odpisywał, na wiersze odpowiadał, bo raz wszedłszy na tę drogę utrapioną, nie było można zawrócić.

Tak nie jeden ten wieczór, ale i dnie całe i noce czasem schodziły na sprawie Zborowskich, która miasto się przeto przygajać, coraz większą jątrzyła rana.

Wszystkie żywioły nieprzyjazne przychodziły jej w pomoc, a szczególnie tajemne stronnictwo cesarskie, które się wielce radowało zakłócaniu.

Król z objętością pozorną, a w istocie z zaciętością nieubłaganą przeciwko Zborowskim działać polecał. Listy ich trzymał, czytał i sam dawno sprawę osądził,

a to co o niej mówił Zamojski, było tylko powtórzeniem myśli królewskiej.

Gdy się to działo w Krakowie, tymczasem marszałek jeździł, zjazdy i sejmiki nawiedzał, do szlachty przemawiał, mów swoich kopie rozpuszczał w świat, listy rozpisywał, rodzinę najdalej skupiał do wspólnego wystąpienia i na sejmik w Opatowie, prośbę podpisali w Zborowie nie tylko Jan, Andrzej, Krzysztof, ale Piotr, Krzysztof drugi młodszy i Jan Stobnicki, tłumacki, kamionacki starosta... wszędzie jedna powtarzała się groźba: *Hodie mihi, cras tibi*. Dziś nas to spotkało, jutro całą szlachtę toż samo czeka.

Szlachta do tego stopnia się już poruszyła, że na sejm chciała nie przez posłów się stawić, ale gromadnie, tak jak na elekcyę, kto żyw... Odradzili to wszakże Zborowscy, aby o rebelię i najście gwałtowne ich nie oskarżono i sejm nie odwołano, a zatem i sprawaby odręczoną została.

W pierwszej chwili po ścięciu Samuela, gdy Zamojski nie raz, ale wielokroć się dał z tem słyszeć, że ten sam los zgotował dla Krzychnika i że tem samem prawem jego bez sądu i sejmu może karać na gardle, troskliwy o siebie Krzysztof nie czując się zupełnie czystym, natychmiast pierzchnął i na ziemi cesarskiej schronienia bezpiecznego szukał.

Czynnym był za niego Andrzej, którego on radami wspierał, listów się już wystrzegając teraz, a ustnie mu śląc informacje.

Postrzegli się jednak wkrótce wszyscy, że ta ucieczka podczaszego na niekorzyść jemu i sprawie wychodziła. Mimowoli mówiono sobie: Gdyby się w sumieniu wolnym czuł, nie obawiałby się niczego.

Raz i drugi zagadnięto o to marszałka, który powrót brata obiecywał. Ale gdy Krzychnika namawiać przyszło, aby przyjechał, rozbiły się prośby i wymaga-

nia o najdziwaczniejsze a najrozmaitsze z jego strony wymówki.

Życia dać wcale Krzysztof nie myślał, przyszłość mu się jeszcze uśmiechała.

Z panem Czarnkowskim mówiąc o te czasy, ciągle powtarzał mu.

— Długo on panować nie może... nie my, to inny mu pigułkę przyprowadzi. Nieprzyjaciół dosyć ma, a jednego Zamojskiego za sobą. Ten, by Salomonem był nie starczy.

Oskarżony o intencję otrucia króla, Krzysztof zbiegłszy za granicę o tem tylko myślał jakby się wypłacił kanclerzowi, jego obwiniając o zamach jakiś podobny, choćby na samego siebie.

W listopadzie 1584 zrodziła się z tego historia na proszowicki sejmik wyciągnięta, ale później pokryta milczeniem.

Ciemno w niej... a rzecz się tak miała:

Krzychnik za granicą przebywający w oczekiwaniu chwili, gdy mu brat marszałek znać da, iż choć na krótko bezpiecznie przybiedz może na zjazd jaki, aby się szlachcie okazać i obmyć z tchórzostwa, nagle przysłał do Andrzeja z językiem, iż pojął szlacheica, który miał od kanclerza Zamojskiego zlecenie, aby jego, Krzysztofa ze świata zgładził, na co nawet była mu dana trucizna.

Panu Andrzejowi, gdy wiadomość tę odebrał, tak się ona zdała nieprawdopodobną, iż wierzyć jej nie chciał. Pocóż się miał uciekać do tego środka Zamojski, gdy w rękę miał inne, dostateczne, aby się zbyć Krzychnika.

Tymczasem wiadomość tę już z ust do ust podawano, wiążąc do niej i nazwisko szlacheica, który się miał zwać Pruski.

Upłynęło czasu trochę, pełną marszałek od siebie zaufanego człeka, aby Krzysztofa nawiedził i sprawę tej trucizny bliżej rozpoznawszy, wyjaśnił. Na lekko z takim oskarżeniem wystąpić nie było można.

Gdy dworzanin marszałka powrócił, tyle tylko przywiózł, iż istotnie Krzysztof trzymał uwięzionego niejakiego Pruskiego, a ten głośno, nie brany na męki i nie zmuszany wyznawał, iż naprzód tentowany był o zadanie trucizny podczaszem, a gdy się temu nie opierał, przyrzeczono mu od kanclerza nagrodę znaczną, i sprowadziwszy go do Krakowa, Jan Dzierżek w gospodzie u Toltynowej przygotowany jad ów oddał Pruskiemu. Przyczem znajdować się miał chłopiec węgrynek pana kanclerza. Listy też jakieś Zamojskiego w tej sprawie u Pruskiego znajdować się miały.

Jak się to wydało i w jaki sposób Krzysztof pochwycił Pruskiego, który dawniej u niego służywał, to się niby później okazać miało.

Tymczasem zaś pod dozorem Pruski znajdował się na dworze podczaszego i powtarzał codziennie tę swoją historię, a za nim p. Krzysztof ją opowiadał każdemu do niego przyjeżdżającemu.

Kto zaś był ów Pruski, nikt dobrze nie wiedział. Niedługo wisiął przy dworze Krzychnika i gdy ten Wołoszyna był ułapił, co mu się potem okupować musiał, za to, że siostry za niego dać nie chciał, Pruski przy więźniu był dozorcą. Zniknął potem z oczów wszystkim, jakoby na Wołoszczynę się z hospodarem udawszy, aż zjawił znowu z tą trucizną, ale bardzo biedny, odarty, z nosem krwawo zaczerwienionym od pijaństwa, złamany, przygarbiony, ochrypli i na włóczęgę wyglądający.

Opowiadał, iż dla wielkiej nędzy podjął się trucizny, ale go później sumienie ruszyło...

Krzysztof przez posła dawał znać bratu, że będzie-li bezpiecznym na sejmik do Proszowic dnia 1 listopada 1584 przybyć, gotów z sobą przywieść Pruskiego, aby ten publiczne uczynił zeznanie.

Charaktery dwóch braci a licząc z Janem trzech wszystkich pozostałych, acz miały rysy wspólne, bardzo się jednak od siebie różniły.

Jan był tak szlachetnym, iż złego nie widział i nie przypuszczał, a bracia też przed nim nie wszystko co czynili odkrywać mogli.

Andrzej i Krzysztof, podobniejsi do siebie, stali też w pewnej od siebie odległości. Oględniejszym daleko był marszałek, strzegąc się, aby na siebie nawet podejrzenia nie ściągnąć, nie oburzał się na to co Krzysztof czynił, lecz obawiał się nieostrożności i fałszywego kroku. Pchnąłby on podczaszego, gdyby w tem niebezpieczeństwa nie widział dla siebie, tak samo, jak niegdyś Krzychnik popychał Samuela, nim się posługując. Przebieglejszym był podczaszy, ale dla niego wszelkie środki bez wyboru dobre były, a awanturnicze usposobienie, pokrewne Samuelowemu, często go zadaleko prowadziło.

Nie bez przyczyny więc, znając go krzywił się marszałek, słuchając opowiadania o Pruskim i o truciznie. Wydała mu się ona niezgrabnie zmyślona na odwet za tę truciznę, o której wzmianka była w listach Krzychnika.

Dlatego posłał na miejsce badać co zaczął być ten Pruski i jakim sposobem podczaszy mógł do niego przyjść. Z relacji zaś przywiezionej tylko wyrozumiał, że Pruski dużo piwa pił, a napiwszy się niedorzeczy prawił.

Ułakł się, aby z takim świadkiem i gadką nie przyjechał na sejmik do Proszowic podczaszy i list napisał odradzający, w którym mu to czuć dawał, że się rzecz bardzo podejrzaną wydaje...

Rozgniewało to do najwyższego stopnia Krzysztofa. Odpisywać nie śmiał, bo się już na listach i na cyfrach sparzył, ale powiedzieć nakazał bratu, że on też głowę ma na karku nie dla proporecy, a na rzeczy się zna i plewy od ziarna rozróżnić umie...

Nadchodził sejmik w Proszowicach, na który miał podczaszy przybyć, aby okazać, że kanclerza i jego pogroźek o gardło się nie lęka.

Wszystko niemal co się tu przygotowywało, nie

było Zamojskiemu tajemem. Tak jak wprzód Urowiecki krok w krok niemal za Samuelem jeździł, a Boksicki go, domownikiem będąc zdradzał, teraz też na dworze pana Andrzeja były służki kanclerza, dojeżdżali jego ludzie i do Krzysztofa. Co się tu radziło, mówiło, gotowało, o tem wiedział Zamojski. Z sejmiku proszowieckiego wielkich się rzeczy nie obawiał ani spodziewał, a je go wiadomość o Pruskim, o Dzierżku do żywego poruszyła.

Nie zwykł był gniewać się nigdy, ani unosić, tym razem jednak, znak krzyża świętego uczyniwszy, skoczył jak młodzik, gdy posłyszał, że on miał truć Krzysztofa.

Było to wprost śmiesznem, ale razem oburzającym. Wiadomo, jak szlachta drobna łatwowierna jest i chciwa plotek, zwłaszcza gdy one możnych się tyczą i mogą ich obryzgać...

Nic to nie pomagało, że baśń była niedorzeczna, tłumy w nią chętnie wierzyć mogły, a ubrano ją tak w pewne szczegóły, w nazwiska, iż miała jakąś barwę rzeczywistości.

Dzierżek jako żywo nigdy w oczy Pruskiego nie widział, ledwie go znał, a co gorzej, właśnie o tym czasie gdy miał u Toltynowej oddawać truciznę, z polecenia hetmana w Knyszynie się znajdował.

Węgrzynka żadnego dopytać nie było można.

Spytany o Pruskiego Dzierżek powiadał, iż go indziej nie widywał, krom za stołem w browarze, albo przy kieliszku u Toltynowej, pijanego, pieśni wyśpiewującego, a gdy grosza nie miał, w najpodlejszy sposób żebrzącego w imię podupadłego szlactwa swego.

Co się tyczy przyprawiania trucizny w aptecę na rogu Grodzkiej ulicy, Dzierżek się odwoływał do Mroczyka, z jakiego powodu tam śledzili i badali czy jej dostać można.

Jakim sposobem Pruski mógł wiedzieć, że Dzierżek u Fontanusa bywał, w tem był sęk.

Wszystko to razem funta kłaków nie było warte,

— lecz Zamojskiego duma obrażoną była srodze i gniew przeciwko Krzychnikowi wzmógł się jeszcze.

Poniżającem dla kanclerza było, że go śmiano nawet w ten sposób niktzemny spotwarzyć.

— Mamei podostatkiem na podczaszego sposobów i nie potrzebuje się do takich, jakich on używa, uciekać!

To co kanclerza chwilowo oburzało tylko, króla jątrzyło do najwyższego stopnia. Dowiedziawszy się o potwarzy tej, krzyknął, węgierskiem przekleństwem popierając swe słowa, iż mu podczaszy nie ujdzie, że go infamem i banitą uczyni, a waży się z głową ukazać to mu ją natychmiast ściąć każe.

Przed 1 listopada posłał raz jeszcze marszałek do brata, aby przybywał, ale z Pruskiego sprawą się nie popisywał, bo ona więcej złego niż korzyści przyniesie.

Stawił się na sejmik podczaszy... Na pierwszym kroku spytał go brat.

— A Pruski?

— Mam go z sobą — odparł podczaszy.

— Aleć go produkować nie myślisz?

— Czemu nie? Na sejmik go nie poprowadzę, ale kto widzieć i posłuchać zechce, owszem, proszę, aby mu dał ucha... Mnie przecie o truciznę na króla obwiniono, a jabym miał nieprzyjaciela oszczędzać.

— Któż da wiarę lada opojowi?

— Trzeźwym jest i będzie, zobaczycie... a przysięga gotów stwierdzić co mówi. Pan Bóg mi życie ratował, iż na niego, nie na innego popadł Dzierżek.

Zjechało szlachty wiele do Proszowic, aby Krzysztofa słuchać, bo już o nim wiedzano, że się okaże i mówić będzie. Wystąpił z mową gwałtowniejszą przeciw Zamojskiemu, niż wszystkie co je poprzedziły.

Marszałek strzegł pilnie, aby słuchacze byli przysposobieni do przyjęcia jak należy... Usposobienie też dla Zborowskich, którzy karmili, poili i wszystko na szlachtę a moc jej zdawali, było jak najprzyjaźniejsze.

Czego w tej mowie nie było!

Wyrzucał Zamojskiemu, że był szwagrem (sic) królewskim «niestychana to rzecz w Polsce», że zarazem koronę nosił, hetmanem był, żołnierzem rządził, władzę sprawował i posłuch nakazywał, a płacić mu za to musiano.

Dalej mówił, że Samuela zabił niewinnie, że jeszcze ich, Zborowskich, oskarżał o zamachy na zdrowie królewskie.

Gdy to mówił, szlachta wdychała. Pan Krzysztof wtrącił, że wdychać i niewiasty umieją, a trzeba było działać. Potem gdy się zaczęło z tem wyrwać, aby na sejm jechać gromadnie, oparł się. Prosił tylko, aby wybrano posły takowe, żeby się na żadną prywatę nie oglądali.

Naostatek z wielką ostentacją podczaszy kląkł, palce złożył i głośno wobec całej szlachty poprzysiął.

— Przysięgam Bogu wszechmogącemu i temu jego jego obrazowi świętemu, że się mścić będę krwi brata mego niewinnej do śmierci, nad nim i nad powinnymi jego... Wiem ci, że ten pan, jako szwagier królewski pociągnie wiele ludzi za sobą, ale już *«percat anima mea cum inimicis meis»*, (niech przepada dusza moja wraz z nieprzyjaciółmi moimi)...

Niedosyć na tem — przysięgę tę powtórzył trzeciego dnia znowu i dodał: «aż krew krwią zapłaconą będzie».

Co to znaczyło, łatwo było zgadnąć... z Zamojskim bój o życie».

Z drugiej też strony, wiedział to dobrze Krzychnik, król zapowiadał, że nieustąpi dopóki infamisem i banitą nie uczyni podczaszego...

Na wszystkie strony z Proszowic miało to groźne wypowiedzenie wojny, ząb za ząb, rozejść się po kraju. Dopóty wszystko za zgodą marszałka i za wiadomością jego się działo, ale z Pruskim wcale się nie powiodło.

Szlachcie przybywszy tu dla dania świadectwa, jak pierwszego dnia z wieczora się upił, więcej już nie wytrzeźwił. Sił mu to dodawało do ciągłego powtarzania, jak u Toltynowej truciznę mu wręczano, której on pełną krobkę podczaszemu ze skrucną wręczył, jak Dzierżek mu złote góry obiecywał... Ale za każdym prawie razem inaczej tę swą powieść układał, a gdy go kto przyparł pytaniami i zmusił do oznaczenia czasu, do tłumaczenia ściślejzego, płatał się, bełkotał, a w ostatku nie wiedzieć co prawił. Najłatwowiejszym nie starczyło to. Odchodziła szlachta głowami potrząsając.

Z ciekawością skupiano się koło niego, odchodzono z zawodem.

Sam Krzychnik, który rachował wiele na ten swój wymysł, spostrzegł, iż z niego żadnej korzyści mieć nie będzie. Zaniedbano więc Pruskiego, który przy piwie potem drzemał i nikt na niego nie zwrócił uwagi.

Pozbyłby się go chętnie podczaszy, ale puścić łotra nie było bezpiecznie, bo mógł schwyceny na mękach, albo i bez nich przyznać się do kłamstwa i wskazać kto go do tego nakłonił.

Nie obawiał się o siebie podczaszy, bo sam tego nie czynił, ale po nici do kłębka dojść było łatwo. Musiał więc stawić straż przy Pruskim, pilnować go i nazad z sobą za granicę uprowadzić.

Wielka wrzawa około tej trucizny skończyła się na niczem, nastąpiło milczenie, a marszałek, który przewidział niepowodzenie, gniewał się na brata.

Zagadnięty o to podczaszy stał chwilę zadumany.

— Słuchajno — rzekł do Andrzeja — to prawda, że z tego nic wielkiego nie wyrosło... ale ty myślisz, że małe gadanie i takie szkalowanie nic nie znaczy?... Pluń ty na wroga... nic mu się nie stanie, a no plwociny do sukni przywrzeją i plama zostanie!

Jakoż, choć mało kto w truciznę Pruskiego wierzył, zdążyła ludzkie mówili.

— Ba! jużciby tego z palca nie wyssali, coś tam być musiało... Jeśli nie kanclerz sam, ktoś z jego dworu coś zamierzał... Coś było!

I plwociny te w istocie nawet do kart historyi przywrzały.

Przez dni kilka z mowami się popisywali kto żyw chciał w Proszowicach, wszyscy przeciwko gwałtownikowi, tyranii, uciskowi, na kanclerza pioruny ciskając, a na sejm takich postów wybierając, którzy ani panu samemu, ani Zamojskiemu folgować nie mieli.

Burza ta przedsejmowa nietylko tu, gdzie ją sami Zborowscy podniecali, ale po wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej grzmiała i huczała. Na chwilę upokorzona energią króla i Zamojskiego szlachta, chwytając pierwszą nadającą się zręczność, aby do dawnego powrócić zuchwalstwa i samowoli.

Zarówno Batory jak Zamojski wiedzieli o tem i przygotowywali się do walki. Miał król za sobą zastęp ludzi znaczny, któremu nie na dobrej woli, ale na równej jego i Zamojskiego energii zbywało. Ustąpić nie myślano, owszem walka miała ułatwić złamanie oporu i utrzymanie na przyszłość porządku.

Jako widzimy znak zwycięstwa służyć miała sprawa Krzysztofa.

Podstawą do niej były listy Wojtaszka, aż nadto dostateczne do wykazania winy podczaszego. Król stał przytem niewzruszenie, aby z całą surowością sądzono. Zamojski nie śmiał już nawet nakłaniać do powolności.

ruszył ze Lwowa Samuel i nocował o dwie mile od Jaworowa gdzie go zaskoczyła ciemność.

Następnego dnia przyjechał do Jaworowa, gdzie trafił do pana Kostki na wesele, czy też przenosiny, na których obywatelstwa, szlachty zebrało się bardzo wiele. Nie zważając na to, iż go tam widzieć będą, a potem powtarzać o tej podróży i o nim, jakby naumyślnie, zawsze dla nadania jej rozgłosu pojechał nieproszony.

Wdzięcznie czy nie, ale go przyjęto, bo właśnie za stół siadać miano, i dostało mu się miejsce obok podkomorzego Stanisławskiego.

Sąsiad na niego z podziwieniem spoglądał, jakby się zdumiewał, że go tak swobodnie obracającym się widzi, co już p. Samuela butę podrażniło.

Poczęli z sobą mówić, ale ciągle jakby z panewek im spalało.

— Cóż tam, miłościwy panie Zborowski—odezwał się Stanisławski—nie myślisz może i do Przemyśla zajechać. Czy waszmość nie czujesz i nie wiesz, co się dokonało niego dzieje?

Wziął to do siebie p. Samuel jako przestrozę, ażeby się nie narażał, iż na niego czyhano i pochwycić go miano prawo, obraził się i odpalił.

— Jeżeli mnie w. miłość nastraszyć myślisz, tedy wiedz, proszę, żeś na nieustraszonego trafił. Czego się mam bać? Nikomum nic nie winien, z nikim też nie mam nic do czynienia. Jeśli myślicie o dekreście króla Henryka... gdybym nie miał na to zezwolenia królewskiego, nie siedziałbym tu, bo z tego siedzenia pożytku nie mam żadnego, ino żal, patrząc na to, co mnie spotyka i dom mój za wierne i wielkie posługi, którem ja i familia moja czyniła...

Gorąco to wypowiedziawszy, umilkł, a Stanisławski też dyskursu o tem nie wznawiał. Zważał jednak Samuel wśród tego wielkiego tłoku, że ten i ów koso, a wielkiemi

oczyma spoglądał na niego, jakby się dziwował, iż go żywym i swobodnym widzi.

P. Kostka też pytał go potem sam, w jakiej liczbie sług tu przybył, któremu odpowiedział, śmiejąc się, że samotrzeć.

Wszyscy więc, nie wyjmując gospodarza, poczęli mu wyrzuty czynić, że się nieopatrznie narażał.

— Albo-li w. miłość nie wiesz o tem, lub nie dbasz o to, że za nim wszędzie szpiegi chodzą i wypatrują, a to nie jest daremne. Wieści słyszymy groźne, nie narażaj się.

Na to Zborowski otwarcie też odpowiedział, że się nie lęka, bo się do niczego nie czuje.

Było tak, że z kim mówił, każdy go tem witał i żegnał.

Zrobiło mu się nieco kwaśno, ale w duchu rzekł:

— Wszystko ja to splecę razem...

Naostatek p. Kostka, który mu był życzliwym, a i za gościa go u siebie szacował, spytał.

— Dokądże ztąd myślicie?

— Tabor mój i ludzi posłałem przodem do Dubiecka; tam więc muszę.

— Samotrzeć?—rzekł Kostka.

— A no!—rozmiał się Zborowski.

— Ja tego nie dopuszczę — odparł gospodarz — dam moich ludzi, aby przeprowadzili... Nie może inaczej być.

Następnego dnia, gdy tu wesoło przenocował, w istocie dano mu dosyć silny przewód na miejsce do Dubiecka.

Wszystko to winno było już przestrzedz Samuela, że gdy on na kanclerza miał chrap i oko, na niego też kanclerz nie mniejsze.

Co krok mu niemal szpiegów Zamojskiego za nim chodzących pokazywano, ale wierzyć w nich nie chciał.

W Dubiecku siostrzeniec, pan Jędrzej Stadnicki

VIII.

Pod koniec stycznia 1585 roku, choćby może nie-jeden wolał owo ciepłe piwko z grzankami pod piecem w domu smoktać, niż tłuc się drogami zimowemi do Warszawy, jechała szlachta dla sprawy Zborowskich, ciągnęli panowie dla niej, bo wszystkim ona stała na myśli jako rozpoczęta wojna, w której niewiadomo było kto zwycięży: król ze swoją prawą ręką, owym szarakiem «*ex stereore*» wyniesionym przez niego, czy możnowładztwo starego obyczaju. Niepokój był w umysłach wielki, bo po za Zborowskimi stała cała przeszłość, dopominająca się praw swoich, a za królem o wilczych zębach, niejasna przeszłość cała w jedną garść ściśnięta.

Tymczasem może nie wszyscy to widzieli tak dobitnie, ale wszyscy czuli, że nie o jednych panów Zborowskich chodzi. Oni sami pierwsi rzekli złowrogie: *hodie mihi, cras tibi*, godło niegdy pod trupią głową kładzione, a dziś rzucone jako groźba całemu stanowi szlacheckiemu.

Drobna szlachta, chociażby była mogła i powinna stawać przy Zamojskim, jako przy reprezentancie swoim, przeciw staremu możnowładztwu, nie pojmowała jasno zadania i tradycje popychały ją za Zborowskimi. Ponad wszystko raziła i oburzała królewska samowola i energia, z jaką on do panowania powołany, chciał panować w całym tego wyrazu znaczeniu.

Z niepokojem i ciekawością kto mógł zdążyć do Warszawy, gdzie już król i Zamojski czekali na senatorów i posłów. Wszystko inne bladło i nikło przy Zborowskich sprawie, którą król z senatem miał sądzić.

Już zawczasu chodziło z ust do ust to pytanie: Jakto! król więc sam w tej sprawie zarazem ma być i aktorem i sędzią?...

Na zamku wkoło króla i kanclerza ponuro było i cicho. Żadnego przepychu i okazałości... skromny i niezbyt liczny, myśliwstwo tylko, węgrzyny ulubione, służba pańska, wozów trochę i koni, a do rozrywki i pociągania ludzi tak jak nic. Nigdzie uśmiechającej się twarzy i wesołego głosu, ludzie surowego oblicza, chmurni, kancelarye pełne ksiąg i papierów, czeladzie sworne, jak klasztor jakiś rycerski wyglądał ten dwór królewski.

A spojrzawszy na twarze, wyczytać było można w nich w dumę, energię zbrojną, niemal wyzywającą, i przygotowanie do rozpaczliwej walki. Nie starano się nikogo pozyskać, nikomu uśmiechać.

Król mało mówił, Zamojski gdy się odzywał, zapowiadał, że żadnych ustępstw po nim się spodziewać nie należało.

Pytano o Zborowskich, którym pozwy wydać mia-no, a szczególnie o podczaszego, obwinionego głównie, czy przybędzie — nie wiedział nikt. Niemojewski co go bronić miał, ruszał ramionami i milczał. Mruczano, azali glejt dostanie.

Marszałka i podczaszego widać nie było... Chodziły wieści jednego dnia, że przyjeżdżają, że już są na Woli, że ich widziano w okolicy, że gospodę mają zamówioną, ale nie przybywali dotąd.

Przyjechał tylko kasztelan, który dotąd wiernie stał przy królu, a z hetmanem razem wojował i dobrze się zasłużył, ale nie był to już ów dawny króla sługa powolny i hetmana sojusznik. Cios zadany rodzinie odepchnął go od Batorego, a daleko więcej od Zamojskiego, któremu wszystko przypisywał.

Obowiązek krwi kazał mu stawać za braćmi, uniewinniać Samuela, bronić Krzysztofa, oczyszczać familię. Wpół zabit, kasztelan pograżony w sobie, zdał się powtarzać ciągle to, co w liście do króla napisał: *bogdajby nas była ziemia pożarła wpród, nim się nam stała ta zniewaga!*

Na sąd straszny wyglądał ten sejm gotujący się zasiadać w sklepionej sali zamkowej. Posłowie niespokojni pytali już zawczasu, czy oni też, choć jako słuchacze, przypuszczeni zostaną, a Zamojskiego urzędnicy odpowiadali zimno:

— Jeżeli Jego Królewska Mość z łaski swej przypuścić ich raczy!

Jechali posłowie z tem, aby głos ich zaważył w sądzie, choć w nim żadnego prawnego udziału nie mieli, na miejscu znajdowali żelazny mur woli Bato-rego...

Senat z królem sam miał sędzić, a arbitrow nie potrzebowano.

Król nie starał się sobie ujmować, ani się zbliżał do nikogo, ku niemu patrzyli wszyscy. Błady był, żółty, a czarne oczy groźne wejrzenia rzucały i coraz to podnosił głowę dumnie, jakby gotując się do walki... Kto się spotkał z jego oczyma, wzroku tego nie wytrzymał.

O sprawę nie zagadywał nikogo, krom Zamojskiego — jasną była.

Pierwszego dnia tłum się nacisnął do sali, niebardzo pytając dozwolenia; napłynęli posłowie, wtargnąwszy niemal siłą, zajęli ławy... dla panów senatorów dosyć miejsca zostało. Wyszedł Batory z ręką na szablę, bo mu ona zawsze jakby przyrosła spadała na tę rękę żelazną; wyszedł za nim kanclerz, któremu krzesło za tronem zgotowano — dwaj zapaśnicy przeciwko całemu tłumowi.

Obu twarze surowe, ale na kanclerza obliczu spokój wypracowany wolą potężną, u króla drganie namiętne nieopanowanego gniewu, który falami powracał.

Posłowie zdala wskazywali go sobie palcami, wydawał się im katem ich swobód... był wcieloną groźbą. Dotąd nie mieli i nie znosili pana, ten się nim czuł i stawiał...

Na licach panów senatorów nie wyczytać nie było można; pogodnie patrzali arcybiskup i książdz biskup krakowski, świeccy panowie zdradzali niepokój.

Wśród nich tylko wyróżniał się postawą dumną i zasepioną wojewoda poznański, Stanisław z Górki, wojewodowie smoleński i połocki, w których rysach grała niecierpliwość i rozdrażnienie. Reszta ciągnęła oczyma ku królowi, szukała Zamojskiego, który w papierach przebierał, a siedział tak napozór obojętny, jakby go sprawa wcale nie obchodziła. Malał on przy Batorym, choć go wzrostem i pięknoscią męskich rysów przechodził; dawny wojewoda siedmiogrodzki, turka hołdownik, rósł tu na strasznego zapaśnika, który ponad sobą tylko Boga uznawał.

Pomimo tej groźnej króla postawy, która wyrażała pewną trwogę, arbitrowie, co się nacisnęli gwałtem, a których już wyprzeć było niełatwo, szmerem i gwarem napełniali salę.

Ile razy się głośniej one rozległy, widać było brew czarną Batorego zmarszczoną i z wymówką rzucane na kanclerza wejrzenie.

Pytać się zdawał:

— Po co ich tu wpuszczono?

Zimowego słońca błady promyk się przedał pasem od okna na salę przyciemnioną i położył na chwilę u nóg tronu, ale wnet jak mgłą jakąś przysłonięty zniknął.

Marszałek Opaliński miał wystąpić z urzędu jako instygator, ale cichym głosem wypraszał się od tego, składając nieumiejętnością i niewprawą. Potrzeba było jurysty na to, on nim nie był, żądał więc, aby go Rzeczycki zastąpił.

Rzecz była umówiona; król, bo on tu o wszystkim sam wyrokował ostatecznie, krótkim słowem przyzwolił.

Pozwani Zborowscy nie stawili się. Wystąpił w ich imieniu Niemojewski, mężczyzna dorodny, pierś szeroka,

czoło podniosłe, postawa trybuna, oblicze nieustraszone a groźne...

Samo wejrzenie, jakim mierzył króla i Zamojskiego, dawało w nim poznać człowieka, który ani się ulęknie, ani da słowem pożyć, ani prawem złamać...

Obok rycerskiego charakteru, czuć było w tym rzeczniku Zborowskich prawnika, nawykłego ze statutami obcować i znajdować w nich to zawsze, co mu było potrzebnem.

Śmiałe wejrzenie nacechowane było przenikliwością, zgadywał myśli, gdy kto mówić zaczynał i odpowiedź dawał przed pytaniem.

Król go zmierzył niespokojnem okiem. Niemojewski buty nie okazywał, ale był tak pewien siebie, jakby już wygrał sprawę.

Spierać się o glejt dla Zborowskich poczęto, inaczej stanąć nie mogli, nie byli pewni życia. Potrzeba im było tej poręki, iż w razie nawet gdyby ich winnymi uznano, a dekrety nie przyjęli, cali się usunąć będą mogli.

Za i przeciw przywodzono argumenty; król od początku co tylko na korzyść Zborowskich wypaść mogło, odtrącał. Z usposobieniem tem się nie tał, pobłażania nie obiecywał.

Wśród zabieranych głosów, tłum arbitrów zalegający głąb sali, zachował się jak na sejmiku.

Obecność króla wprędce przestała zamykać usta i budzić poszanowanie, odzywały się głosy i śmiechy. Batory marszczył się, Zamojski zżymał.

Zwrócił się ku nim król JMoś i półgłosem rzekł po łacinie:

— Jutro precz ich wymieść, gdy mi tu niepokój wnoszą z sobą.

Ale groźby tej nikt nie słyszał, a szlachta po swojemu dokazywała.

Wystąpił kasztelan gnieźnieński w obronie i po stronie braci.

Postawa starego wojaka, zbolalego, przygnębionego, zadumanego, który mówił naprzemiany to płaczliwie, to namiętnie, na wszystkich czyniła wrażenie. Słuchano go z poszanowaniem, ale cóż ważył głos miłości braterskiej, która musiała czynić go głuchym i ślepym?

Wśród wrzawy nieustającej upłynęło pierwsze posiedzenie, król w końcu nie tał, że mu ono się naprzykrzyło. Wyszedł okazując zniecierpliwienie i gniew tłumiony. Zamojski tak zimny i poważny jak przybył, wysunął się za nim.

Po wyjściu króla wrzawa jeszcze urosła; arbitrowie pobierali się w gromadki, wyciągali jedni, stawali drudzy, rozprawiali wszyscy.

Król im się wydał groźnym.

Oglądano się mówiąc mimowoli.

— Nie przebaczy Zborowskim! — szeptali jedni do drugich.

Z kasztelanem gnieźnieńskim, gdy wychodził, znalazł się tylko Niemojewski, poseł kazimierski i nieznanymi kilka szlacheckich chudych postaci. Senatorowie znikli niepostrzeżeni.

Z wróżb dnia tego dwudziestego ósmego stycznia, przyszłość było już można odgadywać. Walka napróżna...

Nim się z zamku rozeszli posłowie, już im w sieniach i podwórzu zapowiedziano:

— Jutro dla was drzwi król kazał zamknąć. Sprawa do was nie należy, a dziś gwar przynieście z sobą, który króla JM. pogniewał i zniechęcił.

Jak strzał poraziła ta groźba posłów, którym Zborowscy wmawiali, że oni prawo mają takiej sprawie głównej nie tylko się przysłuchiwać, ale zaważyć w niej swojemi: *vox populi, vox Dei*.

Butniejsi już w podwórzu poczęli się miotać.

— Nie może to być... posłami jesteśmy, posłano,

nas tu, abyśmy *visu et auditu* przekonali się, jak u nas sprawiedliwość się wymierza. Oho! oho! nie wypchną nas. Drzwi obłężymy, pójdziemy do króla, do kanclerza... Król malowanym nie chce być, a my też posły malowanymi nie myślimy.

Ale pogrożki te były próżne. Chłodniejsi odparli:

— Do łaski króla JM. stukać trzeba, siłą drzwi nie weźmiemy, a te już dla nas zaparte.

Po mieście poniosła się sprawa ta... pójda-li posłowie precz: czy doproszą się na arbitrów?

O panach Zborowskich, krom Jana, nikt nie nie wiedział. Mówili jedni:—Blizko są, gdy glejty otrzymają, zjawią się i staną, bo się nie obawiają, niewinność ich *clarior sole*; drudzy mruczeli. — Nie głupi się p. podczasy albo i marszałek sam w ręce kata oddawać, choćby glejty dostali; przez prokuratora się obronia, a nie staną.

Kasztelan gnieźnieński zagadywany milczał.

Na zamku cicho było i zamknięto. Senatorowie niektórzy odwiedzili kanclerza; przyjął ich tak milcząco, jakby nie wiedział nic.

Ponad wszystkim stał król...

Chciał go łowczy wyciągnąć do lasu, odmówił. Innego zwierza miał na myśli.

Czasu innych sejmów ochoczo się rozrywano i odpoczywano po obradach, teraz patrzyli sobie w oczy ludzie i zdali pytać: Co to będzie?

Nazajutrz drzwi dla posłów stały zaparte, nie wpuszczono ich.

W korytarzach i na podwórcach niepokój wielki, żal i wstyd; wybrano do króla poselstwo.

Po niejakiem oporze wpuścić kazał, ale groźnie zastrzegł, aby się cicho zachowywano.

Jak studentom w klasie dano naukę: *Silentium!*

Dnia tego żywiej się zawzięło.

Wojewoda poznański, Stanisław z Górki, wstał nie

oglądając się na majestat pański, i śmiało rzekł, że król we własnej sprawie sędzią być nie mógł, głosu nie miał... aktorem i sędzią prawo być mu niedozwalało ogólne.

Batory zbłądł słuchając, jak zazwyczaj, gdy go najmniejszym słowem dotknięto, ręką uderzył po rękojeści szabli... Królem był, prerogatywy sędziowskiej odebrać sobie nie dawał. Sprawa była rzeczypospolitej, nie jego własna. Zdraycy jej grozili.

Wojewodę poznańskiego nikt poprzeć nie śmiał, krom prokuratora Zborowskich, a król protestacyi tej wazyć nie myślał, odpychał ją.

Wszystko się tak usuwało precz, co dalszemu przebiegowi sprawy mogło stawać na przeszkodzie, i instygator począł czytanie listów Krzysztofa, które stanowiły podstawę oskarżenia...

Własne jego pismo obwinało podczaszego, ale do tego, co w nim stało, przybyły nowe winy, stare grzechy...

Podczaszy począł za życia Zygmunta już spiskować na życie ostatniego z Jagiellonów, spiskował nieustannie, zdradzał ciągle, wziął okup od hospodara wołoskiego, u Batorego czasu bezkrólewia dostał dwa tysiące czerwonych złotych na potrzeby rzeczypospolitej, a z nimi uszedł na dwór cesarski; spiskował ze Samuelem i Ciołkiem na życie Batorego, zmawiał się z w. kniaziem moskiewskim, służył cesarzowi...

Oskarżenie było, jak kamień przywiązany do szyi Krzysztofa; nie mógł z nim już utrzymać się na wierzech, utonąć musiał.

Czemże go obronić kto mógł, kiedy własne listy świadczyły i potępiały?

Przyjaciela Zborowskich stali niemi, kasztelanowi łyzy ciekły po twarzy. Cały przebieg życia Zborowskich świadczył, jak byli dla króla usposobieni i jaki duch ich ożywiał.

Obrona wszelka już teraz zdała się niemożliwą;

szlachta pozostała milcząca, przywalona tem oskarżeniem.

Dla wszystkich jawnem było, że odeprzeć tych świadectw nie mogli Zborowscy, chyba prawnemi wybiegi z sądu i form jego próbując się wyłamywać.

Główny głos w obronie przypadał, oprócz jurysty, który miał statutami i prawem ogólnem szermierzyć, kasztelanowi gnieźnieńskiemu, a ten sam dawniej, gdy mu król listy ręką Krzysztofa pisane ukazywał, pytając czy pismo jego poznaje, zmuszony był przyznać autentyczność. Cóż teraz mógł przeciwko niej powiedzieć?

Listy Krzysztofa nieopatrzne mówiły wiele, wypowiadały wszystko...

Składano oprócz tego jakiś testament czy zeznania Samuela który przed śmiercią do wszystkiego się przyznawał i spiskom z bratem nie przeczył. Lecz coś w tych Samuela skryptach być musiało osłabiającego ich znaczenie, bo niewiele o nich mówiono.

Z oskarżenia wychodził podczaszy i Samuel, jako dwaj wrogowie króla szczególnie, którzy ustawicznie na życie jego nastawali.

Ciołek i Samuel w Krakowie chcieli z ptasiej rusznicy strzelać do niego. Zborowski później szukał miejsca w lesie do zasadzki. Krzysztof sam wprawdzie nie porywał się do czynu, ale do niego podzegał.

Oprócz tego, gdy król z w. ks. moskiewskim wojnę wiódł, on się z nim zwał, pisał do niego, przysięgał mu służby wierne, przesiadywał na dworze cesarza...

Na marszałku wino jawna nie ciążyła tak wyraziście, ale stosunki jego z braćmi, zjazdy i umowy w Złoczowie, po innych miejscach, dowodziły że trzymał z nimi, jedno myślał i nie odwoził ich od zamachów.

Na Janie jednym nie było skazy, nie mieszano go też wcale do sprawy braci, ale on sam dobrowolnie przy nich stawał...

Na obronę co tu wywieść było można? — jedno —

starać się zyskać na czasie. Żądano dylacyi, odroczenia...

W ciągu tych rozpraw król ciągle był przytymnym. Słuchał, milczał, spoglądał groźnie. Wielu rozpraw po polsku rozumieć nie mógł i musiano mu je tłumaczyć. Potrzasał głową obojętnie. Co tu ważyły słowa i subtelne wywody, wino leżała jak na dłoni.

Batory był swojego pewnym.

Wobec tego upokorzenia nieprzyjaciela, bezpieczeń, ani się rozpogodził, ani złagodniał.

Ilekroć żądano ulgi w formach, odmawiał... odroczenia nie chciał dopuścić. Prędko i stanowczo musiało się rzecz rozstrzygnąć. Przy nim i Zamojskim musiało być zwycięstwo; nie nie pomagały wykręty i wybiegi prawne. Kasztelan gnieźnieński musiał jednak stanąć w obronie.

Zadanie było trudne, prawie nie do podźwignięcia. Co miał powiedzieć przeciwko własnoręcznym listom Krzysztofa?

Prawda, charakter i pismo były do Krzychnikowych podobne, ale czyż pisma fałszować i podrobić nie można? Wszak znano powszechnie Dymideckiego, który króla Stefana rękę tak doskonale naśladował, że jego pisma sam on od własnego rozpoznać nie mógł.

Jan dawał do zrozumienia: *id fecit cui prodest!*

Dowodzić nie mógł fałszerstwa, ale je przypuszczał, bo braci znał z innej strony, bo zdrajcami ich nie uznawał; wiedział tylko, że prześladowani chcieli się oba usunąć na Maltę i kraj zupełnie opuścić.

Wszystko to niewiele zaważyć mogło obok brzemienia, jakim instygator obciążył Zborowskich.

Jan przypuszczał — listy dowodziły winy. Kasztelan tylko na Wojtaszka, którego nie ukazywano, rzucił podejrzenie, że wywłoka, który suknię duchowną zrzucił, a za lutnię do rozpusty pochwycił, nie był zaufania godnym.

Tymczasem wszystko świadczyło przeciwko Zborowskiemu; znaleźli się, co podczaszego widzieli na cesarskim dworze, gdzie z moskiewskim posłem wchodził w rozmowę. O listach moskiewskich i papiery po Ościku ścietym świadczyły także, świadczył pan Łaski.

Naostatek ciężło na marszałku i na podczaszym to nawet, że mimo glejtów nie wazyli się sami stawić przed sąd.

Pytano o nich codzień gdzie byli? Nikt nie wiedział; o podczaszym twierdzono, że się zawczasu schronił na cesarską ziemię.

Marszałek też się nie ukazał, choć daleko mniej był obwinionym, i na równi z Krzysztofem potępionym być nie mógł.

Reszta sprawy już formą tylko być mogła. Król się widocznie niecierpliwił; jednego dnia dla choroby na sądy nie przyszedł, inne zeszyły na długich a daremnych niewinności wywodach. Czas upływał.

Na obliczu królewskiem z każdym dniem dobitniej malowało się znecierpliwienie. Czasem nie słuchał i nie pytał, siedział wpatrzony w ziemię i drgał tylko, gdy silniejszy głos go obudził.

Tak samo Zamojski w swych papierach przebierał, mało albo nie się nie odzywając, nie mieszając z dobrej woli—czuł się niepotrzebnym.

Po senatorach można były już odgadnąć za kim staną i głosować będą zmuszeni. Trzej tylko, o których mówiliśmy, z panem wojewodą poznańskim na czele, widomie ze Zborowskimi ciągnęli.

Ks. arcybiskup gnieźnieński znudzony raz Niemojewskiemu zadał, że go *ad nauseam* swemi żądaniami ekscepcyj znudził.

Paskwil łaciński na króla, który wyszedł na stół, bo i ten przypisywano Zborowskich natchnieniu, rzucił ks. arcybiskup z pogardą i jako humanista, tylko to mu zadał, że łacina była licha, a wiersz niewiele wart...

Koniec było przewidzieć łatwo.

Posłowie co tak z początku hałaśliwie się znajdowali, siedzieli i teraz jako świadkowie, lecz twarze się im powydłużały, czoła pomarszczyły... stracili wiele z pierwszej swej buty i śmiałości. Przygniotły ich dowody, czytali też ze twarzy senatorów, iż sprawę przegrają Zborowscy.

Najpobłażliwszy z sędziów nie mógł oczyścić podczaszego, tak się on sam opłatał i związał.

Na mieście gdy się dzień skończył, szlachta nie bujała po dawnemu, nie było się czem weselić. Król zwyciężał—Zborowskich *hodie mihi, cras tibi*, brzmiało głósniej niż wszystko. Wolnościom szlachty i panów przychodził koniec.

Począwszy od Zborowskich, Batory musiał iść dalej i nie dopuścić, aby mu kto stawiał opór.

Przyszłość stawiała się czarno i posępnie. Do Zamojskiego się nikt nie zbliżał, nikt go nie szukał, ale on też nikogo.

Batory nawet o ulubionych łowach zapomniał, nie dawał się w las wyciągnąć. Sokoły i psy stały pozamykane lub z dozorcami swymi wychodziły tylko na przechadzki.

Warszawa była smutną, a panom posłom zaczynała stawać się niewygodną i nudną.

Po obronie kasztelana mówił instygator znowu, przysłała kolej na prokuratora stojącego w obronie obwinionych. Niemojewski nie mógł powtórzyć za kasztelanem gnieźnieńskim, iż listy podrobione być musiały; jurysta szukał innego środka unieważnienia ich, znalazł go w postanowieniach ogólnych prawa, które świadectwa listów zażywać i niemi się posługiwać wzbraniało.

Listy były własnością tego, do którego były pisane, nikt ich sobie przywłaszczać i użytkować nie miał mocy. Był to jedyny, ale nader słaby argument zręcznego ale nieszczęśliwego obrońcy.

Z gorąckową niecierpliwością wyczekiwany koniecz się zbliżał — wątpić o nim nie mogli posłowie. Z senatorów, wiadomo było, iż zaledwie może kilku za Krzysztofem głosować mogło i to na formach się opierając nie na treści.

Gdy zapytywano ichmościów, milczeli, poruszali ramionami a na ostatku przebąkiwali:

— Cóż przeciw oczywistości uczynić można?

Rola posłów, o których wybór tak nalegał Krzysztof, bo na nich rachował, stawała się coraz trudniejsza, a raczej schodziła na wcale nieznaczącą. Domagali się oni, aby przysłuchiwać się mogli, wpuszczone nakazując milczenie. Cóż dalej czynić mieli?

Pozostawało panom senatorom objawić zdanie a królowi na mocy jego i własnego przekonania wydać wyrok.

Że Stefan surowo miał skarcić zdradę kraju, i zamach przeciwko sobie, wiedzieli wszyscy.

Posłom nie pozostawało nic, tylko się rozmówić z panami senatorami i okazać im, że oni wraz z nimi starać się byli powinni wyrok ostateczny złagodzić, odroczyć, słowem nie potępić podczaszego i nie zabić imienia Zborowskich.

Zgłosili się o to aż do króla JMci, dając krokiem tym uczuć, iż i oni czuli się obowiązani coś czynić.

Król lekceważąco odpowiedział. Pozwolił posłom znieść się z panami senatorami, ale żeby to żadnego charakteru urzędowego nie miało i znaczenia nie nabrało, kazał im oznajmić, że w sali obrad gromadzić się nie dozwala. Mogą sobie w prywatnych mieszkaniach, pojedynczo mówić i naradzać się z nimi.

Odpowiedź ta miała znaczenie jasne:

— Nie mieszajcie się do tego, co do was nie należy... Możecie płakać i żalać się nad losem Zborowskich, ale ciosu od nich odwrócić nie potraficie, urzędownie zaś, na sali, mieszać się do sprawy nie macie prawa...

Posłowie odeszli odpawieni z niczem. Śmielsi z nich odzywali się butnie, ale nie mogli począć nic. Król był w swoim prawie.

— Ano — zamruczał Kazimierski — trzeba aby prawdę usłyszał, milczeliśmy długo, w końcu mu naukę dać potrzeba.

Inni milczeli.

Po kątach, po klasztorach, refektarzach, gospodach szlachta się zbierała do swych senatorów.

— Nic więc dla Zborowskich nie uczynicie?

— Nie możemy nic.

Naciskano z jednej strony, odpierano z drugiej. O królu mówili wszyscy, że nie ustąpi. Czegoż się więc miał spodziewać podczaszy? Co najmniej dekretu takiego, jaki ciążył na Samuelu — wywołać go miano... Ale babcia Samuelowa nie ściągnęła za sobą infamii, a tu... zażartość króla i moc dowodów winy, kazały się nawet ostatecznej kary, równającej głównej, spodziewać.

Ze dworu do kanclerza kto się co dowiedzieć chciał, przynosił tylko najgorsze zapowiedzie. Infamia go czekała... *Crimen lesae Majestatis*.

Spojrząwszy na oblicze Batorego ani się było można spodziewać, aby ten mąż nieubłaganego serca mógł się ulitować. Wrogom oddawał nienawiścią najpotężniejszą, ani chciał, ni umiał się chrześcijańskim uczuciem uśmierzać.

Ostatnie dni rosło poruszenie w umysłach, a jurysci mu pokarmu dostarczali, dowodząc, że stare prawa i statuty, szczególnie przywilej Aleksandra poszanowane nie były, że sprawę sądzono nie obyczajem i formą zwykłą, ale samowolnie i nieprawidłowo.

Milczeli na to panowie senatorowie, więc do posłów należało zaprotestować przeciwko winowajcom na korzyść królewskiej władzy.

Podejmował się tego Kazimierski.

— Słyszysz — mówili doń śmiejąc się drudzy —

widziałeś już raz jak się król JMoś za kord pochwycił, powiedz mu co, a zrozumie-li, znowu się porwie za żelazo, bo ono u niego argumentem jest najpotężniejszym.

— A ja to korda u boku nie mam! — odparł Kazimierski — albo to ja od tych nie idę przodków, co za Jagiełły pergaminy w izbie na szablach roznosili w przytomności majestatu?

Dosyć było Kazimierskiemu w ten sposób bębena podbić, aby pewno jak najgwałtowniej wystąpił.

Tymczasem odkładano ostateczne ferowanie wyroku, choć go wszyscy na czołe Stefana czytali i w ponurem obliczu Zamojskiego.

Przyszło do głosowania... i stało się to, czego oczekiwano, krom trzech senatorów świeckich, wszyscy inni winnym znajdowali podczaszego, występki jego dowiedzionym.

Król coraz bardziej rozgorączkowanym zjawiał się na sali, coraz niecierpliwszym, coraz groźniejszym... Za szablę brał i ledwie go wejrzaniem Zamojski mógł zmizgować.

Sprawa poczęta zaraz pierwszych dni sejmowych, przeciągnęła się do jego zamknięcia — winnym uznano Krzysztofa... Przysięgać jeszcze musieli świadkowie. Król z rozdrażnienia zachorował. Wrzawa i protesty dokoła rosły. Wołano o zwłokę pod pozorem choroby oskarżonego; nie dopuścić jej król dlatego, że osobiście i tak nie stawał.

Zamojski przy jednym ogniu swoją też pieczę przystawiwszy, pozwał o potwarz niedowiedziona, jakoby przez Pruskiego truć zamierzał.

Dnia 12 lutego marszałek koronny czytał:

«Przeto tego Krzysztofa Zborowskiego król JMoś pocziwości odsądzać raczy, i wszystkie prerogatywy i urzędy i wolności, co by stanowi szlacheckiemu należały, od niego odejmuje, a bezecnym go czyni, a nie jedno jego, ale i te wszystkie, którzy mu *consilio, au-*

xilio, favore (rada, pomocą, sprzyjaniem) pomocni byli, albo w domach i majątnościach swych przechowywali, taką winą karać, *cum confiscatione omnium bonorum mobilium et immobilium* (z zaborem wszelkiego mienia tak ruchomego jak nieruchomego) i nie zaniecha król JMoś dać mandatów do wszystkich starostw, aby był i man i na gardle karan; ażeby wiadomość tego wszędzie doszła każdego, przyznawa król JM. woźnego, aby publikować to po wszystkich placach wedle prawa. A iż też miał sprawę z JMP. kanclerzem o potwarz, którą ułożywszy nie dowiódł, o co dekretem JKMości był skazan rewokować to, to jest wedle prawa o d s z c z e k a ć, *in defectu* na dnie w wieży rok siedzieć, jako o głowę i tak płacić, to w dość nieuczynieniu ma go infamią skarać król JM., iż temu tedy dość nieuczyniwszy dekreto wi infamii podległ, a pod tę poenę podpadł, tego bezecnego Krzysztofa Zborowskiego znowu król JM. czci odsądza; w takiejże sprawie, takiej poenie podpadłszy i od pana Dzierżka, po trzeci raz go król JM. czci odsądza».

Po trzykroć więc infamem obwołany był Krzysztof, a wyrok na niego sroższym wypadł, niż ów doraźny na Samuela.

Nie było litości — nie było dolacyi, nie pomagała choroba, nie chciano słuchać obrony.

Milczeniem grobowem przyjęto czytanie wyroku. Posłowie patrzyli po sobie. Prawomocnym był, do Boga tylko odwołać się było można od niego.

Lecz jakby to wszystko nie nasyciło jeszcze ani króla, ani Zamojskiego, król patrzył posepnie i jeszcze bardziej wyzywająco, kanclerz milczał. Posłowie się nie odzywali dnia tego.

Sejm miał się zamknąć.

Wyrok na Zborowskich, bo choć imię Andrzeja objęte w nim nie było, stał on w nim dotknięty, wymie-

niony, potępiony, i nie słyszał a nie widział kto nie chciał — uczynił wrażenie straszne.

Kasztelan gnieźnieński nie słuchał czytania, chory leżał; pomiędzy nim a dworem, a hetmanem stała przepaść.

Zestarzały nagle, chciał zdjąć z siebie urzędy, rzec się godności i pójść albo umierać, lub w boleści czasów lepszych szukać.

— Zborowskim koniec! — powtarzali — kanclerza partyzanci złamani są. Wie teraz szlachta, że król z siebie szydzić i lekceważyć się nie da.

Wieczorem wszedł kanclerz do króla, który samotny siedział w sypialni, jeszcze na żółć chorując zburzoną. Buccella stał przy nim, lekarstwo dawał, ale co innego radził: rozrywkę, ruch, polowanie.

Król głową potrząsał.

Na dwóch zwycięstwach tryumfu nie było widać, tak jak ani na jednej twarzy nie można było wyczytać radości z tego dekretu. Nie zaspokajał on nikogo, bo Stefan i kanclerz wiedzieli, że Zborowscy banici będą straszniejsi może niż gdy spiskowali w domu. W spadku po nich zostawała szlachta zburzona i zniechęcona do króla.

Przyszło nareszcie sejmu zamknięcie. Wystąpił Kazimierski w imieniu posłów, mówił od całego ich zgromadzenia, co przemówieniu wagę nadawało. Mówca był może nie dosyć jasny i pan siebie, aby obmyślił rzecz swoją, ale miał nieustraszoną odwagę.

W imieniu starych praw i porządku uderzał na innowacje samowolne, na nieposzanowanie tradycji; mówił otwarcie w oczy królowi, że w sprawie Zborowskich nie poszanowano praw i przywilejów; protestował głośno, gwałtownie, nie tak oratorsko i wymownie, jak gorąco i zuchwale.

Oko w oko, z ręką podniesioną, nie unikając wejścia króla, wypowiedział jasno wielki żal, jaki miała szlachta, posłowie do pana.

Batory słuchał i bladł, drżał i na jego twarzy poświadczanej coraz dobitniej gniew, duma się piętnowała.

Wstrzymywał się. Arcybiskup gnieźnieński, który z niego nie spuszczał oka, drżał także i zdawał się chcieć stanąć pomiędzy zapaśnikami, którzy się wyzywali wzrokiem. Ale Kazimierski był spokojny, Batory nie panował nad sobą; posel jurystą, król się czuł żołnierzem. Pierwszy z nich nawykł do pocisków słowa, drugi na kule prędzej niż na obelgi wystawić się był gotów.

Gdy Kazimierski dokończył, porwał się król z siedzenia i wybuchnął... Oto były słowa jego, jak je świadkowie dla potomności spisali:

«Nie jestem służalcem, ale człowiekiem wolnym z urodzenia, ani mi też wprzódby nimem w te kraje zawitał, brakło na pożywieniu i odzieży. Miłuję ja wolność waszą i takowej za wolą boską przestrzegać będę, lecz też nigdy nie ścierpię, by moja swoboda w czemkolwiek naruszona, uszkodzona lub najmniej ubliżona została. Z waszego własnego żądania i nalegania obrany za króla waszego tutaj przybyłem, a samiście koronę na głowę moją włożyli; jestem więc królem waszym nie zmyślonym ani malowanym, ale prawdziwym i prawnym, chcę przeto rządzić i panować i nie dozwolę, aby kto nademną panował. Jesteście stróżami waszej własnej wolności: nie chcę więc, abyście byli mojemu klechami, strzeżcie zatem i brońcie waszych wolności, lecz dajcie na to pozór, aby ta wolność wasza źle użytą nie była. Rzecz godniejsza pociąga za sobą mniej godną, pęta podwójne bardziej wiążą, a każda moc z rozerwaniem węża słabnieje.

«Celem każdej rzeczypospolitej jest pożytek ogólny i dobro narodu, o które się usilnie staram, nie zważając na głosy złośliwe.

«Panowie senatorowie! albo mi uczynicie sprawiedliwość, albo mi rozwiążcie te ręce, któreście mi prawami waszemi związali, a ja się pomszczę krzywdy mej».

Król kończąc tak wzruszonym był, że się chwycił

do korda, nie już jak wprzód grożąc im, ale gotów go obnażyć, co ujrzawszy Karnkowski arcybiskup gnieźnieński i inni senatorowie przypadli, otoczyli, rzucili się przed nim na kolana, starając się wielki gniew ukoić, i król powoli ochłonał.

Walka była niedoszła, odłożona, ale pokoju się spodziewać nie mógł nikt.

Mrucząc, szemrząc, napoły wylekła, nawpół obrażona szlachta szła z zamku precz, gdy króla zwolna kanclerz i mała gromadka do jego pokoiów odprowadzała.

Strwożyło się wielu, ale serce niczyje nie nakłoniło, umysł nie uspokoił; postępowanie było zbyt gwałtowne z ludźmi do niego nienawykłymi oddawna.

Ktoby był wówczas przewidzieć mógł, że ten Zamojski, co tu za królewską władzą i w jej obronie stawał, wkrótce przeciwko następcy Stefana z tymi samymi wicherzycielami w jednym wystąpi szeregu!

Nieprędko potem owe dekrety na Zborowskich zniesione z nich zostały.

IX.

Gdy się to działo, coraz podnosił głowę Wojtaszek, bo już wkrótce panów Zborowskich i ich przyjaciół nie miało stać, a on oswobodzony od prześladowania, mógł się jako chciał po świecie obracać.

Tytuł lutnisty JKMości dobrze mu się nadawał, tyle tylko niewygodnym był, iż wiązał go do miejsca i dworu. W Krakowie się teraz na to nie skarżył, bo mu tu nikt nie nie mógł uczynić.

Nie wazyłby się żaden Stadnicki, nie myśleli o nim inni, a choć czasem spotykał Włodkowę, nie obawiał się ani jej, ani ludzi. Cicho się to wszystko przesuwalo.

Włoski więc kapelusik z piórkiem włożywszy na głowę, której włosy trefił starannie, z lutnią na plecach wybierał się do miasta i po znajomych domach chętnie przyjmowany piosnki śpiewał, albo wygrywał na strunach cudne rzeczy. Dziwiono się biegleści i wynoszono pod niebiosa.

Dziewczęta, gdy ulicami przechodził, długo za nim uśmiechając mu się patrzyły i wzdychały. Śmiały był i nie ustępował przed nikim.

Gdy go rozpytywano czasami o pochodzeniu, płót baśnie osobliwe, nie przyznając się do habitu, który nosił, do chleba pauprów, który jadł, do zdrady, jaką na Samuelu dokonał... którą Krzysztofa i Andrzeja na wygnanie skazał.

Tryumfował może w duchu, ale pociecha i duma z odniesionego zwycięstwa zmieszana była z goryczą.

Sam nie wiedział czemu i złego pana, którego nienawidził, i tych ludzi, jakich tam znał koło niego, nawet głupiej Motrunki, co go tak kochała, żałował, a gdy się czasem o tej przeszłości zadumał siedząc na ławie w antykamerze, to mu lutnia niepostrzeżenie wyslizgiwała się z ręki i padała na ziemię, a drudzy śmiali się z niego, a on gniewał się i burczał.

Czasem wśród pieśni coś mu się przypomniało, ukłuło w serce, zaciemniło oczy, głos odebrało.

W nocy we śnie zawsze tylko widywał swą przeszłość, nigdy teraźniejszości. Żył tak, powiedzieć było można, żywotem dwoistym: we dnie na dworze króla, w nocy na dworze Zborowskiego. Sen go w przeszłą znowu rzucał niewolę, a w nim odnawiało się co przeżył i popłatane dusiło go zmorą.

Tam on nieszczęśliwym był, prawda, ale kochał i kochali go czasem, wszyscy mu byli swoi, a tu nikt nań nie zważał, był obcy wszystkim, nienawisci nawet nie obudzał, a i taby była lepsza od tego, iż go nie widziano, nie rachowano, nie słuchano.

z którym zawsze byli serdecznie, przyjmował go, a i ten mruczał, że na baczności się mieć było potrzeba, ale miał tę ufność w wuju, że on naprzód obmyślił, co czynił.

Ponieważ nie wydawano się z tem, iż zjazd był niedawno w Złoczowie i bracia o sobie wiedzieli, Zborowski tu rozpytujać się, dopiero wrzekomo się dowiedział, że marszałek Andrzej był w Sandomierzu, gdzie go doktor jakiś kapitalny wiosennem lekarstwem karmił, i miał krew puszczać.

Zwykle też w początku roku oczyszczano się z zaległości, zepsuta jakoby krew odlewano, ażeby przez cały rok potem bezpiecznie pić i zajadać.

Marszałek właśnie ten rodzaj kuracyi w Sandomierzu, pod dozorem lekarza, pojechał dokończyć.

Samuel się tu dowiedziawszy lepiej o Zamojskim, a widząc, że kroki jego nadto są głośne i znaczne, zażył fortelu. Sam postanowił udać się do Sandomierza do marszałka, a sługę swego Luzickiego, jawnie i ostentacyjnie ztąd wyprowadził do Krakowa, sobie ludzi zostawiając nie wielu.

Cel pono był ten, aby rozdzielone oddziały, jeden z przodu drugi z tyłu, mogły razem osaczyć kanclerza.

— Jedź przeto na Tarnów do Krakowa — głośno w dziedzińcu rzekł do Luzickiego — gotuj dla mnie go-spody, aby nam tam dobrze było z Olesiem. Gdy się pożegnamy ze wszystkimi, gotuj co należy dla syna i dla mnie, ażebyśmy nie mieszkając, wyruszyli na tę włoską peregrynację... Tymczasem ja muszę do Sandomierza, do pana marszałka, bo jużbym go chyba nie widział.

Ale w Dubiecku jak go zaczęli Stadniccy i inni przyjmować, a dobra myśl się zawzięła, trudno było ztąd ruszyć.

Z Dubiecka zaprosił Marcin Stadnicki do Kostkowej do siebie, tam spędzili dzień; ztąd Strzyżowski wziął do Czudca, dalej musiał do Zgłobienia, pociągnęli go jesz-

cze do Mielca, aż naostatek siostrzeniec Marcin Tarnowski do Podleszan do siebie zaciągnął.

Wszędzie na głos nie mówiono o niczem innem, tylko o włoskiej podróży, o Włoszech, a Samuel coraz to jakie słowo włoskie w rozmowie rzucał, śmiejąc się, jakby zawczasu do konwersacyi z Włochami zaprawiał.

Dopiero teraz wyrwać się mógł do Sandomierza.

Co z marszałkiem zamknawszy się sam na sam mówili, tego się domyślać można z umowy, zawartej w Złoczowie, ale przy Olesiu i publicznie wyglądało wszystko inaczej.

Marszałek młodszego brata, który się mu submitował z wolą swoją, zaklinał, aby albo do Krakowa wcale nie jechał, lub w nim nie bawił, gdyż *vox publica* ufać nie każe kanclerzowi. Mogą umyślnie jaką zwadę i tumult uczynić, i znowu w niej p. Samuela albo pochwycić; albo wnieść, czy nareszcie posądzić i uwięzić.

Wiedzieli tu wszyscy o tem, że Zamojski będzie właśnie sądził swoje roki grodzkie, krakowskie i w Stęży-cy miał też być.

Drudzy powiadali, że dla choroby żony miał powrócić do Knyszyna.

— Ja tam nie wiem, gdzie on jest — mówił marszałek głośno — niechaj będzie gdzie chce. O niego mi nie idzie, ale o waszmości...

P. Samuel dotąd znajdował jeszcze wszystko w takim porządku, w jakim mieć sobie życzył; rachunki jego pozostawały niezmienione... Jedno się im tylko nie podobalo wszystkim. Znany jako czynny sługa Zamojskiego, niegdy podstarości krakowski Urowiecki, z mocnym oddziałem hajduków zjawił się nagle w Sandomierzu. W mieście szumu dosyć uczyniwszy, przenocował tylko i pociągnął, jak mówiono do kanclerza.

To zjawienie się Urowieckiego, nieco podejrzanę, nie w smak było Samuelowi, bo wedle jego informacyi, Urowiecki miał być gdzieindziej.

Byłoz to życie?

Wojtaszek myślał, iż sobie jakieś nowe zrobić trzeba, lecz by je począć, gdzieś musiał jak pajak nitkę przylepić do ściany i snuć przędzę i czatować.

Inaczej on życie rozumiał. Błądził tak i ziewał. Czasem znudzony szedł gdzie do gospody i kazał dawać wina, pił sam, upijał się, śpiewał, szalał, zasypiał. Wstał potem rozbity.

Na ładnej też jego twarzyczce ten rok wydeptał przedwczesne marszczki i pomalował ją złotem. Skórę obciągnął na kościach ciaśniej, a kości stały się wydatniejsze.

Gdy się przeglądał w zwierciadélku, które zawsze przy sobie nosił (skradł je niegdyś Anusi), widział że zestarzał, a czuł się jeszcze tak młodym.

Chciał coś począć, ale sam sobie zostawiony nie umiał. Przyszedł mu na myśl wreszcie węgier Cobar, który zawsze jeszcze był przy królu, i gdy z nim przyjechał do Krakowa, Wojtaszek się stawił raz u niego.

Nie przypomniał go nawet z początku.

— A toś ty jest? — rzekł:

— Tak, miłościwy panie — odparł z nogi na nogę przestępując lutnista — przyszedłem do łaski waszej. Trwam, jak widzicie, na dworze; honor to dla mnie, że się zwę lutnistą i śpiewakiem J. Kr. Mości, ale mnie tu nikt nie potrzebuje, ani słucha. Drudzy muzycy koszyki plotą i strzały strugają nie mając co czynić, mnie też nudno, a młodość uchodzi.

— Czegoż ty chcesz? — odparł Cobar posępnie. — Jurgelt ci płacą, barwę ci dają, jesz z dworskiej kuchni?

Wojtaszek się poruszył, jakby nie wiedział już jak tłumaczyć.

— Chcesz-li odedworu iść precz? — zapytał Cobar — nikt cię nie trzyma, ale patrz abyś tego nie żałował. Panów, coby lutnistów potrzebowali i płacili, jest niewielu. Cóż poczniesz?

Wojtaszek kapelusik miał w ręku.

— Nie wiem co począć, ale tu z nudów i próżnowania mało człek nie kona... Trzeba w świat! trzeba w świat!

— Ufasz widzę w to, że Zborowskich już niema i nikt cię nie złapi; ale przyjaciele ich żyją a tobie pamiętają, żeś ich na infamią dał i na wywołanie...

— Oni dziś nic nie mogą, a sami się w mysze dziury chować muszą — rzekł Wojtaszek.

— Więc ci się swobody chce? — odezwał się Cobar. — A! no, myślę, że ją łatwo JKMość da, ale jeśli sądzisz, że wiatyk dostaniesz szczodry, mylisz się, Wojtasiu. Pan jest oszczędny, a wojny nas dużo kosztują. Mógłbyś u kanclerza co wyprosić, boś i jemu przysługę uczynił, ale on także szczodrym nie jest do zbytku.

— Poprobuje — rzekł Wojtaszek — a już miłości waszej tylko o odprawę i świadectwo dopraszać się będę.

Cobar ruszył ramionami i odprawił go do pojutra. Stawił się Wojtaszek, ale Węgier się przyznał, że zabył mówić o nim.

— Przyjdź jutro — dodał,

Przywłókł się nazajutrz, było zawczasie, a potem Cobar i pan do Niepołomnie odjechali.

Znowu więc na ławie siedząc, ziewał Wojtaszek i czekał, a nudził się straszliwie... a zamek mu już dojadł, że na jego mury patrzeć nie mógł.

Włóczył się po ulicach... Jednego dnia spotkał O. Czesława. Mnich go poznał. Chciał mu ująć z drogi, za późno było.

— A co? zdradliwa ty zmijo! — odezwał się do niego Dominikanin — a co? Jesz chleb w krwi maczany, smakuje ci? he?

Wojtaszek nic nie odpowiedział, lutnię trzymał właśnie w ręku, brzdąkał po strunach i czekał obojętnie, aż go mnich pominie.

O. Czesław patrzył ze wzgardą na lutnistę.

— Samuel choć w chwili zgonu skruszon był—
rzekł—kto wie, może mu Pan Bóg przebaczy, a ty?

Wojtaszek w bok spoglądał.

— Ja ci powiem co cię czeka — rzekł ksiądz — ty
zginiesz marnie... w tobie dusza dawno zgniła!

I poszedł.

Lutnista ruszył ramionami i zamruczał: — Klecha
obrzydły!

Obejrzał się na niego. O. Cesław szedł spokojnie,
ręce w rękawy pozakładawszy. Stawał czasami, witał,
mówił coś i mijał przechodzących, aż wśród nich zniknął.

Jednego dnia gdy się tak włókł Grodzką ulicą, oko
w oko spotkał Borowskiego, aie nie był to ten Borosio od
sokołów, którego Samuel tak lubił: zbiedniał, wydarł się
i wychudł na traskę, a nogami włókł, bo co ciało całe
straciło wszystko do nóg mu poszło. Te były jak kłody,
kijem się podpierał, co chwilę stawał i dychał.

Poznawszy Wojtaszka jak wrósł w ziemię i stanął;
na złość mu lutnista się zbliżył do niego.

— Czołem tobie, Borosiu! a co? a co? nie stało
Samusia... Dałeś go wziąć sam drapnąwszy... cóż teraz
poczniesz? Na dziady ci pod kościół, na dziady!

— Kiedy Zborowscy głowę dają, co za dziw, że
Borowski na dziada zejdzie—odparł trochę się ozywając
biedaczysko— to tylko Wojtaszkom jak kotom się dzieje.
Żeby padli i z wieży, zawsze na nogi!

Wojtaszek rozdobruchał się.

— Wiesz, jam królewski sługa, a ty?

— Ja niczym.

— Cóż robisz?

Borowski nie odpowiedział.

— Jest tu was dużo takich niedobitków jak ty?—
pytał Wojtaszek.

— Nie wiem nikogo.

— A na Franciszkańskiej ulicy?

— Pusto dom stoi... kto w nim ma być.

— Cóż z Olesiem się stało? — ciągnął Wojtaszek.
Borowski jakby się uląkł tego wypytowania, nagle
zamilkł.

— Nie wiem — rzekł, gdy mu pytanie powtórzył.
Szydersko i złośliwie zmieniła się twarz Wojtaszka.

— A z Anusią?

To zapytanie poufałe, bez poszanowania córki pa-
na, oburzyło Borowskiego i burczyć coś począł, a kij
podniosłszy chciał iść dalej.

— Cóż? i gadać już ze mną nie możesz?

— A poco? — odparł Borowski.

Na całe gardło, bez przyczyny się Wojtaszek śmiać
począł... i poszedł w jedną, a Borowski w drugą stronę.

Biedny stary, choć może zgrzeszył przestachem
w pierwszej chwili, odpokutował za to srodze.

Dreczyło go sumienie, pokoju nie miał. Dawali mu
litościwi przytułek w domu na Franciszkańskiej ulicy,
tam się tulił, a jak żył, jak te pactwo, które żywi Opatrz-
ność Boża.

Widok Wojtaszka nawskróś go przejął; pytanie
o Anusię przestraszyło. Powlókł się do domu.

W dziedzińcu właśnie kocze stały, i niewiasty
z nich wysiadały. Poznał Włódkowę i Anusię.

Choroba uczyniła go bojaźliwym.

— Kto wie — rzekł sobie w duchu stanąwszy zda-
leka — kto wie, poco ten złoczyńca pytał o naszą Annę?
Zbój jest...

Powolnym krokiem przysunął się do ganku. Po-
znała go Anusia.

I w tej rok jedną wielką uczynił odmianę. Wyrosła,
zmężniała, wypiękniała, a ruchy i głos i wejrzenie miała
tak przypominające ojca, że Borowskiemu patrząc po-
wieki nabrzmiały.

— Borosiu!—zawołała do niego—tyś to biedaku?

— Jam-ci, paniusiu moja, ale nie Borowski da-
wny, tylko już ono chłapeć, który z niego pozostał.

I począł nogami wlokąc iść ku niej.

Stała i spoglądała na niego zamyślona; była to okruszyna przeszłości, po której ona płakała.

Przywłókłszy się oparł o słup przy ganku, zdjął czapczynę i patrzył na nią przez łzy jak w tęczę.

— A! paniusiu, paniusiu! — odezwał się — gdybyście wy wiedzieli, kogom to ja spotkał i mówił z nim?

Wzrokiem tylko wyzwała go na odpowiedź Anna.

— Złoczyńcę tego, Wojtaszka! — zawołał Borowski. — Śmiał zdrajca zbliżyć się do mnie! Śmiał mówić.

Słów mu już nie stało.

— A! gdybym siłę miał — rzekł Borowski.

— Jest tu? — złamanym głosem drżącym spytała Anna bledniejąc.

— U króla, na dworze.

— Mówili że znikł, że go nigdzie dopytać nie mogli — dodała córka Samuela. — Ty mi dobrą nowinę przynosisz Borosiu. Jest tu?

Wszak my z nim jeszcześmy nie skończyli rachunku?

I nagle uskoczyła przez próg do domu, bo więcej już mówić nie mogła, łzy ją dławiły.

Gdy ciało nieboszczyka Samuela do zamku Spytków i grobów ich wieźć miano, wszyscy stali otaczając trumnę, a marszałek Andrzej przemawiał do tłumu... Anna też w pierwszym rzędzie, oczy zapłakane tuląc, sparta na rękę starej sługi szlochała. Jedna jej ręka zwisała, bezwładnie spoczywała na sukni żałobnej. Nagle uczuła, że jej ktoś w dłoń ciśnie węzełek, i głos szybki nieznany posłyszwała nad uchem:

— Ojciec ci to przysyła... Zmoczona była w krwi jego!

Nim Anusia oczy odsłoniwszy obejrzała się, aby zobaczyć kto jej to oddawał, już opończę i żałobnym kapturem okryty mężczyzna był o kilka kroków, cisnął się precz i znikł w tłumie.

Trzymała w rękę zawiniętego coś w chustę białą, a gdy ją rozwiązała, zobaczyła ową znaną sobie jedwabną, szytą, którą Samuel miał w podarku od chana perekopskiego. Krzyknęła ujrawszy ją, bo cała sztywna była i czarna od zaschłej na niej krwi.

Z tą chustą ojciec dzieciom zemstę przekazywał. Dlaczego nie oddano jej Olesiowi? Anusia przycisnęła ją do piersi, całowała płacząc, z nią szła całą drogę za pogrzebem, nie pokazując jej bratu, z nią klęczała przy trumnie ze zwłokami, gdy ją do sklepu spuszczać miano; a wreszcie przy ołtarzu przysięgła, cisnąć ją, pomstę ojca zabójcom.

Oleś wcale o niej nie wiedział.

— Mnie ją ojciec przekazał — mówiła do siebie — on ma inne przeznaczenie, ja tylko zemstę za ojca. Oddam mu ją, jeśli umrę, nie spełniwszy com powinna.

Od tej chwili Anna nie zdjęła jej z piersi ani na chwilę, a gdy płakała po ojcu, moczyła ją łzami.

Ale dziewczynie, kobiecie, poprzysiądz łatwiej zemstę niż jej dokonać.

Teraz gdy jej Borowski o Wojtaszku oznajmił, chustka zapiekła ją na piersiach, poruszyła się jakby głos z grobów usłyszała: — Ten moim zabójcą!

Na kimże mścić słuszniej mogła jak na nim. On był sprawcą.

Chodziła przez wieczór cały z tą myślą, powtarzając sobie: — Krew ojca woła o pomstę nad nim.

Nazajutrz zerwała się rano. Szukała ludzi, mierzyla ich oczyma, wybierała, dumiała, wtem się jej nastręczył Luzicki.

— Chodź za mną — zawołała do niego, wiodąc żywo z sobą do swej izdebki.

— Kochałeś pana? — poczęła prędko zwracając się do stojącego w progu. — Prawda? kochałeś go? Płaczesz po nim? Wiesz kto go wydał i zdradził? Damyż my mu żyć i chwalić się, że pokonał Zborowskiego, nikczemnik ten, Wojtaszek?

On jest tu! Szukaj sobie pomocników, wymyśl sposób, ale go zabić potrzeba... tam pod Lubranką, gdzie ojca ścięto... i ciało rzucić, aby je psy rozszarpały.

Mówiła cała drżąca. Luzicki słuchał, chwytając wyrazy i powoli wyrozumiewając czego po nim wymagała. Anusia po kilka razy powtórzyła mu:

— Zabić go! zabić!

Stary sługa zwiesiwszy głowę dumał, nie odpowiadając jeszcze.

Anusia mówiła ciągle.

— Służę u króla na dworze, ale z zamku go łatwo wywabić można. Alboż na śmierć nie zasłużył? Czyż my tak już słabi jesteśmy, że jednego nawet nie zmożemy?

Luzicki już był przyszedł do siebie.

— Poczekajcie mało, paniusiu moja — rzekł wesał gładząc — dajcie mi się rozpatrzyć. Ja się nietylko jednego, ale i dziesięciu nie zleknię, ale potrzeba się tak sprawić, aby śladów na Zborowskich i ich sługach nie było.

Dajcie mi czas.

Nikt się o niego nie upomni, nawet król, bo to wiadoma rzecz, zdrajcami się posługuje, ale nikt ich nie żywi i nie miłuje.

Stanie się po waszej woli, ino... cicho!

Anna się zbliżyła do niego.

— Co mam pieniędzy, portugałów, maneli, kanaków resztki po matce, oddam wszystko. Ja tego nie potrzebuję, a wy ludzi zapłacić musicie. Pożyczę u Włodkowej, wezmę u Stadnickich.

Olesiowi o tem ani słowa, on wiedzieć nie powinien. On do czego innego przeznaczony, na nim przyszłe odrodzenie domu naszego.

Palec położyła na ustach, oglądając się dokoła. Luzicki mało co już słuchał, tak był tem przejęty, co na niego spadło.

Pomścić się na niecnocie Wojtaszku!

Wszyscy oni tego pragnęli, serce mu stare biło po

młodemu, dłoń drgała... Ukłękłby był przed tą Anusią, tak mu się wydała do ojca podobną, godną jego.

— W niej gorąca jego krew płynie — szeptał wychodząc.

Odział się zaraz potem paradnie Luzicki, nabity dobrze worek wsunął do kieszeni i poszedł na miasto. Pytała o niego później Anusia, ale nikt go nie widział, a na zajutrz odjeżdżać musiała. Z rana, gdy już wozy stały, zawołano go do niej.

— Luzicki — rzekła, oddając mu worek — ja jechać muszę. Coś ty zrobił?

— Jedźcie z Bogiem paniusiu — odparł spokojnie sługa — jam jeszcze nic nie zrobił, ale ci się klęę na pamięć nieboszczyka, stanie się jakoś rozkażała.

Czas na to mieć muszę.

Zamilkł nagle i powtórzył.

— Jedźcie z Bogiem. Nawet dobrze jest, że pojedziecie, wam tu być nie potrzeba.

— Pewnym jesteś swego? — spytała.

— Albo ja, albo on — rzekł Luzicki lakonicznie — ale Pan Bóg zdrajcom nie pomaga... Krew za krew być musi, aby pan w grobie pomszczony spoczywał.

Łzy mu płynęły z oczów, rozgorzał cały, pokłękł przed panienką, złożył palec na palec i krzyknął z zapamiętem.

— Chyba żyw nie będę, jeśli nie zginie!

Anusia tegoż dnia wyjeżdżać musiała z Włodkową, która się wielce o jej los troszcząc, nie doczekawszy żałoby końca, męża jej szukała i koniecznie wydać chciała. Nie mówiła jej o tem, ale woziła się tak z nią po domach pokrewnych, gdzie tylko o młodzieży zastyszała. I teraz zamiast do Piekar z powrotem jechała za Proszowice. Miała tam młodego Tarnowskiego jakiegoś na oku.

Pod noc trzeba było stanąć w gospodzie we wsi, gdzie dworu nie było. Deszcz lał i noc nadchodziła, a gospoda zajęta przez powozy pańskie i dwór, nie miała

wolnego kąta. Ale służba tych co pierwsi tu zajęchali, zrobiła im miejsce i izbę jedną opróżniono.

Podróżną, która się okazała tak gościnna, była niemłoda już pani, jak Włódkowa i Anusia cała w kirze. Służba też jej i konie nawet miały odzież i kapy czarne. Posłano dowiedzieć się komu dziękować miały, i Włódkowa w ręce plasnęła słysząc.

— Andrzejowa Wapowska, kasztelanowa przemyska.

Żona to była niegdyś, wdowa dziś po tym, którego Samuel zabił.

— Z nią pod jednym nocować dachem? jej dziękować? — wołała poruszona Włódkowa.

Wtem Anusia wstała z ławy.

— Ale ja jej nietylko za gospodę dziękować powinnam — zawołała gorąco. Wołał i posyłał do niej Zamojski, aby na ojca za zabójstwo instygowała, odpowiedzieć mu kazała, że Bogu pomstę poleca, a nad uciśnionym przemocy wywierać nie chce...

Z gorączkowym pośpiechem, Anna ani słuchając Włódkowej, wybiegła. Jak ojciec, nigdy ona nie namyślała się długo, gdy serce się w niej poruszyło. Wstrzymać jej już nie było można.

W drugiej izbie gościnnej zastała niewiastę poważną, we wdowim czepcu, z długim czarnym różańcem w ręku, z twarzą spokojną i łagodną, zajęta chłopczykiem, który stał przy niej.

— Kasztelanowo — zawołała Anusia od progu — przyszłam wam dziękować, ale nie za gospodę! nie, za miłosierdzie wasze, za wielką litość nad panem a rodzicem moim. Jestem córką Samuelową.

I płakać zaczęła.

Powstała powoli pani Wapowska, zbliżając się ku niej z twarzą smutną a łagodną.

— Dziecię moje — rzekła — uspokój się. Nie masz mi za co dziękować... Pan Bóg mi dał pokój ducha i mo-

zność przebaczenia wszystkim, bo to jest prawo Jego, nie krew za krew, nie ząb za ząb, ale dobrem za złe płacić.

I ja młodszą będąc pobłądziłam też gorącą miłością dla pana a małżonka mojego i pragnęłam zemsty za niego. Wozilałam zwłoki do króla, nie dawałam pokoju senatorom, godziłam na życie ojca twego, ale Bóg dał mi upamiętanie a nauczył mnie, że pomsta do Niego należy nie do nas, że my się mścić nie mamy prawa, a powinniśmy przebaczyć wszystkim! wszystkim!

— Jakto? wszystko? nawet zdrajcy, który wydał na śmierć, nawet katowi, co zamordował? — przerwała Anna.

— Wszystko, wszystkim! — potwierdziła Wapowska. — Tak jest, dziecko moje. Pomsta Bożą sprawą być powinna, naszą przebaczenie. Sędzią jest Pan nasz i mścicielem... a nam On kochać kazał nawet nieprzyjaciół.

Anna, jak gdyby po raz pierwszy w życiu podobne słowa słyszała, stała zdumiona, lecz biedne jej, długo uciśnięte serce zwolna otwierało się prawdzie

Wapowska posadziła ją obok siebie i mówić zaczęła.

— Chrystus nam pierwszy, Zbawiciel nasz przyniósł to prawo miłosierdzia, ten nakaz przebaczenia. Mieści się on w jego świętej modlitwie... «i odpuść nam nasze winy...»

— Więc zemsta nie jest obowiązkiem! — podchwyciła Anusia.

— Grzechem jest — ciągnęła dalej Wapowska. — Dlatego ja, gdy mnie wezwał kanclerz, na ojcu twym wywierać jej nie chciałam, nie mogłam. Posłuszną byłam prawu.

Anna łyzi miała na oczach, a na piersiach paliła ją chusta krwią ojca zbroczona. Zwolna dobyła ją i rozłożyła na kolanach.

— We krwi ojca zmoczona kazał mi oddać nieboszczyk — rzekła.

— Połóż ją u stóp ołtarza, dziecko moje — odpowiedziała kasztelanowa — i Bogu przekaz ukaranie.

Twoim obowiązkiem modlić się za rodzica.

Długo tak jeszcze mówiła kasztelanowa, a Anusia czuła w sobie uspokojenie wielkie. Pokój zstępował na nią, jakiego nigdy nie doznała wprzód, i łzy jej płynące ulgę przynosiły, i na sercu nie było tak ciężko.

Gdy potem pochyliwszy się do kolan kasztelanowej, pożegnawszy ją, powróciła do Włódkowej, ta ledwie poznać mogła swoją Anusię, tak się w niej zmieniły myśli i uczucia. Cud się stał wielki.

Włódkowa potem przyznała się jej, dokąd z nią wybrała się w drogę, co Anna obojętnie przyjęła.

— Widzicie — rzekła potrząsając grubym kirem, którym była okryta — żałoba się nie godzi z weselem... Nie myślcie o tem, a gdy można będzie, zawieźcie mnie z powrotem do Krakowa. Ze sługami ojcowskimi widzieć się potrzebuję.

Nie przyznała się siostrze, iż zemstę zdała na Luzickiego, a teraz już jej nie pragnęła — Bóg skuteczniej miał pomścić krew Samuela.

Następnych dni Włódkowa poznać dawniej namiętnej dziewczeczki nie mogła, stała się smutną a łagodną. Pytała czy nie chora, odpowiadała, że owszem lepiej niż kiedy się czuje, a prosiła się do kościoła, do którego chodzić Włódkowa dawno była odwykła.

Przed ludźmi utyskiwała wdowa.

— Jaką to ja biedę mam z tem dziewczęciem, bo się jak pawi ogon mieni w oczach. Naraz złagodnieje, jak baranek, to znów sroży się i wyrывa, jak wilczyca. Teraz na nią przypadło nabożeństwo i płacz... modli się i łzy leje. Długo to tego będzie?

Z podziwieniem Włódkowej pobożność i łzy trwały, z niemi powróciły do Krakowa, do którego Anusia bardzo pragnęła się dostać conajprędzej.

Przyjechały wieczorem późnym i natychmiast się Anna upomniała o Luzickiego, ale jej powiedziano, że go w Krakowie pod ten czas nie było.

Czekać więc musiała, ale codzień stała pytać o niego i za każdym razem jej odpowiadano.

— Niema go jeszcze!

Włódkowa, śledząca ruch jej każdy, nie mogła nic zrozumieć.

— Co ci tak pilno Luzickiego widzieć? — zapytała.

— Stary sługa ojcowski — odparła, oczy spuszczaając, Anusia — radabym go zobaczyć. Dawałam mu zlecenia różne... nie wiem, czy je spełnił.

O Luzickiego tymczasem trudno się dowiedzieć było. Mówili znajomi, między innymi Borowski, który zawsze się tu chronił, że nagle wyjechał i nie mówił, kiedy powróci.

Nie śmiało dziewczę zapytać się go o Wojtaszka długo... naostatek raz wyszeptła nieśmiało:

— A Wojtaszka nie widziałeś?

— Nie — rzekł Borowski. — Widywałem go z Luzickim chodzącego, bo się coś bardzo z sobą pokumali, a to mi było przykro... potem Luzicki gdzieś pojechał, a o Wojtaszku ani słyhu.

— Popytajże o niego na zamku — dodała Anusia — masz tam pewnie znajomych.

Powlókł się tegoż dnia Borowski i powrócił zdyszany, bo mu z nogami obrzękami bardzo ciężko chodzić było. Zameldował się zaraz do panienki.

— O Wojtaszka chodziłem się dowiedzieć na zamku — rzekł, kłaniając się — ale ani muzycy jego towarzysze, ani nikt we dworze nie wie o nim, a tak mało dbają o Wojtaszka, że nawet nie dochodzą, gdzie się podział. Ostatniemi czasami śpiewał dużo na mieście i wesoły był, a dobrej myśli.

Mówią, że u pana Cobara prosił, aby go ode dworu puścili, że chciał sobie gdzieindziej szukać szczęścia. Pewnie się nie doczekawszy odpowiedzi, wziął nogi za pas i uszedł.

Ruszył ramiony Borowski.

— Niema się co o przeherę troszczyć... nie zginie to paskudztwo.

I splunął.

Czas upływał, a Luzickiego jak nie było, tak nie było.

Już pod zimę, gdy znowu raz z Włódkową przyjechała Anusia do Krakowa, a zapytała o niego, powiedziano jej, że nie wrócił. Domyślano się, że do stryjecznego na Podole się wyniósł.

Wtem jednego dnia na chudym koniu, w opończy wydartej i potatanej zjawił się Luzicki, ale zarosły, z brodą siwą zapuszczoną, że go ledwie poznali.

Borowski, który stał w podwórzu, zawołał na niego.

— A toś się wyniósł, panienka się ustawicznie o ciebie dowiadywała... co się z tobą stało? Myśmy już tylko za waszeczki na podzwonne nie dali.

— Panienka jest tu? — zapytał Luzicki.

— A jest — rzekł Borowski — odziej się i idź do niej, bo oczy za tobą wypatrzyła.

Niespokojny poszedł zaraz konia postawić Luzicki, potem się przebrał, ale ubogo, bo mało co śnać miał i pośpieszył do Anny.

Zobaczywszy go, dziewczę z krzykiem podbiegło ku niemu.

— A, Luzicki mój! com ja się o ciebie natroskała... gdzieś ty był? co się z tobą stało? Ani słuchu o tobie... a ja miałam tak pilną do ciebie potrzebę.

Obejrzał się stary niespokojnie dokoła i ręce przyłożywszy do ust obie, stłumionym rzekł głosem:

— Rozkaz spełniony!

Anna uderzyła w ręce.

— Co mówisz?

Pochylił głowę na piersi stary i powtórzył:

— Spełniono, coście przykazali. Niema go... niema...

Zaczerwieniła się i pobladła Anna.

— A! mój Boże! — zawołała — lecz dokończyć nie miała siły. Zdziwiony Luzicki postrzegł, że zamiast się uradować, zasmuciła się mocno. Sądził, że się ulękała może.

— Nikt nie wie o niczem — rzekł — ja nawet... nie wiem. Dosyć, że go niema. Jak w wodę wpadł, bo może w istocie wszedł w wodę, kto to może wiedzieć... albo go może gdzie napiłego w browarze zasiekli i precz wyrzucili, bo pił dużo... albo... wywędrował na drugi świat, sobie wiadomym tylko gościńcem. Dosyć, że ani śladu po nim. Na zamku coś w węzełkach po nim pozostało, chudoby niewiele, to, słyszę muzykanci rozdzielili między siebie, bo się już powrotu nie spodziewają. Lutnię po nim znaleźli pono u Krzeczkowej w gospodzie na ławie. Zkąd się ona tam wzięła? kto to wiedzieć może? Ja nie wiem, ja nic nie wiem, nikt nie wie i wiedzieć nie będzie.

Annie pytania na ustach zamarły, słuchała drżąca. Luzicki zamilkł, odchrząknął i raz jeszcze potwierdził.

— Dosyć, że się już po świecie włóczyć nie będzie.

Nózki całuję.

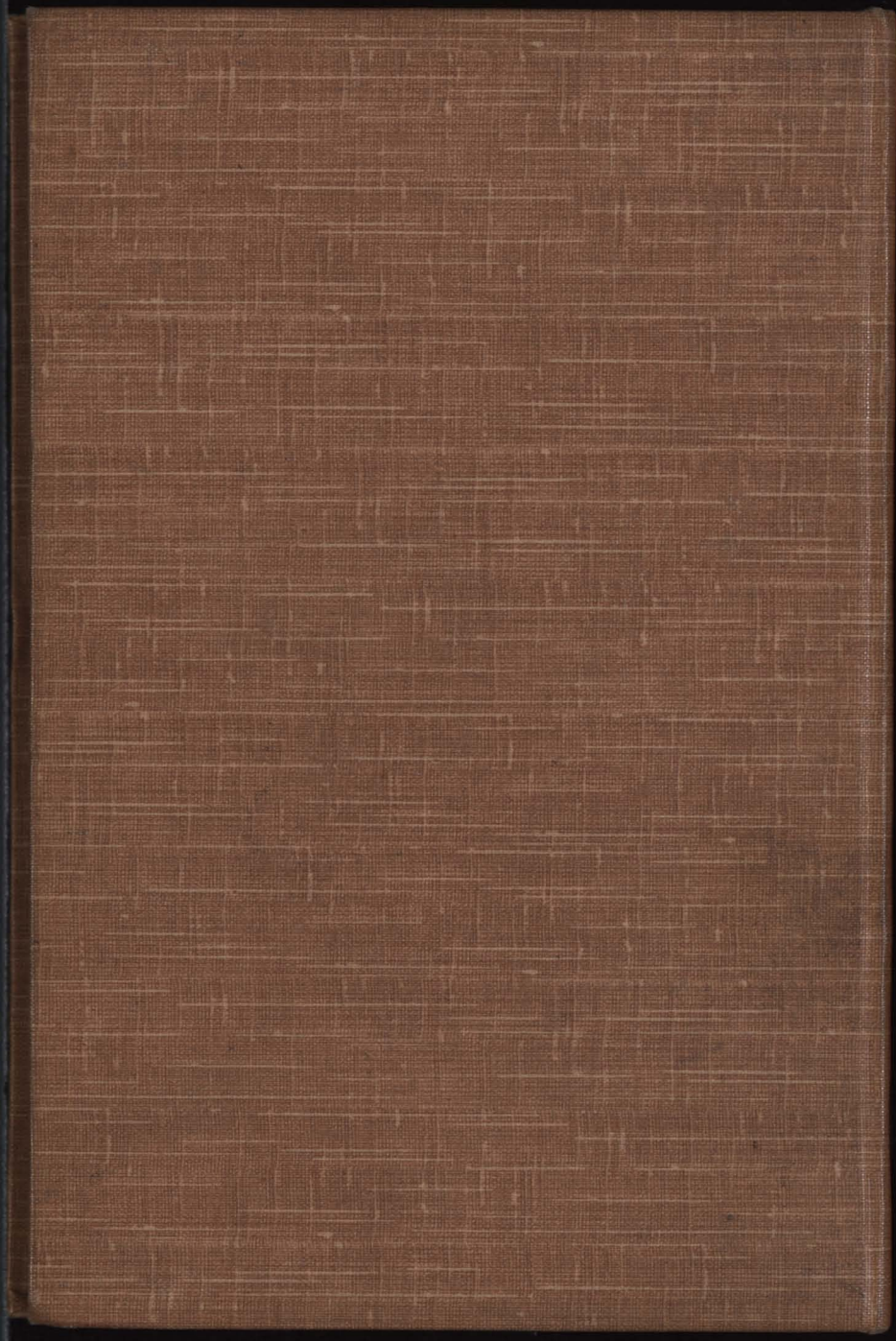
I wyszedł nagle.

Chciała go jeszcze rozpytywać Anusia następnych dni, wołała do siebie, ale więcej o niczem dowiedzieć nie mogła, prócz, że Wojtaszka na świecie nie było.

K O N I E C.

Drezno 1884.

WŁÓDZKA
JIK
TOMANOWA
307



To jego przyskoczenie do Sandomierza właśnie, gdy tu gościł Samuel, dawało trochę do myślenia, ale ktoś usłużny wytlómaczył Zborowskiemu, że Urowiecki kręcił się dla własnej sprawy i dla niej śpieszył do Krakowa, mając zajście z Palczowskim burgrabią.

Otwarcie tedy przy gościach, gdy się rozmowa toczyła o kanclerzu i o podróży, a marszałek nalegał niby na brata, aby do Krakowa nie jechał, odparł Samuel.

— Ja w Krakowie bawić się nie myślę, ale być tam muszę, bo ztamtąd się dopiero we włoską drogę wybiorę. Z panem kanclerzem my mamy wszakże pokój i ubezpieczenie.

Powtórzył to po kilkakroć i bardzo głośno, że na ten pokój rachował i trzymać go chciał.

Jakby naumyślnie dla tem lepszego okrycia dalszych zamysłów, trafiło się, że tegoż dnia przyszły listy od kasztelana gnieźnieńskiego, który o niczem nie wiedział, tylko o tem, co mu na dworze powiadano, aby się pozbyć jego nalegań.

Zapewniał Jan w liście swoim o przyrzeczeniu królewskiem, iż mogli być spokojni do sejmku konwokacyjnego i mieli na ten sejm czekać, gdzie król chciał rozsądzić sprawę tych plotek i listów przywiezionych przez Wojtazka.

Osobnym listem prosił kasztelan Samuela, aby do Włoch podróży zaniechał, o której mu Domaszewski, sługa jego wyprawiony do Gdańska, opowiadał. Marszałkowi zalecał, aby od podróży tej odwołał i niepotrzebne obawy hamował.

Marszałek w tem jednak, nawet pozornie za radą Jana nie poszedł i od podróży włoskiej nie odwołał. Uradzili tylko, gdyby na św. Jakób nie był tu już Samuel, aby mu znać dano, co się stanie z ich sprawą na konwokacyi.

Wszystkie te rozmowy, sprzeczki, które po świecie iść miały, dla ludzi tylko się układały, gdyż Samuel cale

czem innem był zajęty. Lecz musiał tymczasem szpiegów kanclerskich w błąd wprowadzić i o to mu chodziło.

Przy stole więc i przy dworze szeroko o tem rozmawiano, aby lepiej Kraków ominąć, z panem żupnikiem w Wieliczce się rozmówić, do Spytkowic jechać nie daleko miasta, gdzieby się wszystko dało ku podróży przysposobić, a bodaj w Krakowie koniom wythnać i zaraz jechać dalej, nie budząc licha...

Pan Samuel się niby upierał przy tem, aby koniecznie być w Krakowie, a tymczasem tu czekał wiadomości o kanclerzu, którego podróż postanowiona, nie zupełnie tak się składała, jak przewidywano.

W Sandomierzu nie wiele sprawiwszy, bo pewnego języka dostać nie mógł, a Boksicki coraz to inne bałamutne przynosił powieści, wyjechał tymczasowo Samuel z Sandomierza do Połańca.

Wietrzono wszędzie ślady Zamojskiego, ale dzięki niewiernemu Boksickiemu, nie można było postanowić, bo wiadomości przychodziły sprzeczne.

W istocie zaś kanclerz był naówczas w Opatowie, ale Samuel nie miał pewności, ztąd zaś jechał do Szydłowa i do Wiślicy. Chociaż Boksicki motał i płatał, dowiedział się o tem Samuel, i ażeby się zbliżyć, zawrócił do Stobnicy.

Ale tu ugrzązł, bo zdrajca Boksicki fałszywemi uwodził wiadomościami. Zawahał się Samuel...

Studzy i dwór marszałka, który mu towarzyszył, musiał go opuścić, gdyż marszałek ukończył leki, na trybunał śpieszył w sprawie swej z urzędem nowego miasta Korczyna.

Nadbiegł tu sługa marszałka z listem, w którym donosił, że czasu pobytu w Sandomierzu napewno tam wytropiono szpiega kanclerza, który bodaj z jednym ze sług blizkich p. Samuela miał konszachty.

Był to ów Boksickiego brat, o którym mówiliśmy. Boksicki dotąd najmniejszego na sobie nie miał po-

dejrzenia, więc ani pomyślał Samuel, żeby się go tyczyć mogło; powiedział mu nawet o tem i zdziwił się, widząc, jak trupią bladością okryła się twarz winowajcy, który bełkotał straciwszy przytomność.

Weale to Zborowskiego nie naprowadziło na myśl, żeby Boksicki mógł zdradzić. Szukał tego niegodziwca gdzieindziej. Wylękł Boksicki już tylko myślał, jak siebie ratować.

Samuel straszliwie był rozjuszony tem, że mu wszystkie jego plany krzyżowano i napaść na hetmana, którą jak najprędzej chciał wykonać, zmuszony był odłożyć, a co gorzej, puścić go pod Kraków, gdzie on na pilniejszy dozór i pomoc rychlejszą mógł rachować.

Widocznem już było, że śledzono Samuela, że o nim i jego siłach doskonale wiedzano, i że mimo rozgłoszonej do Włoch podróży, domyślano się istotnych powodów tego ciągnięcia ku Krakowu w ślad za kanclerzem, zaw sze w nie wielkiem od niego oddaleniu.

Boksicki tak ze strachu stracił przytomność, że nie umiał ani radzić, ani się tłumaczyć, ani na przyszłość coś obmyśleć.

Wypadało znowu dostać pewniejszego języka o obrotach dalszych kanclerza, ale na to w Stobnicy siedząc, czekać nie zdało się.

Marszałek listem wskazywał swój Zborów i prosił, aby Samuel zajechawszy tam, kilka dni sobie wypoczął, nim o dalszej podróży coś postanowi.

Na zdrójce skóra cierpła tymczasem; pod pozorem, iż potrzebuje dostać języka, wyprosił się zamiast do Zborowa, niby do Opatowa, a w istocie potajemnie myślał dobiedz albo do Szydłowa lub do Wiślicy, i tam się z bratem Parżnickim poradzić.

Dłużej macieć fałszywemi doniesieniami stawało się coraz trudniej, bo Samuelowi z innych źródeł o kanclerzu przychodziły wiadomości. Boksickiemu stawało się tu coraz ciśnień i duszniej.

Dzięki łatwowierności, albo raczej ufności, jaką Samuel miał nawet dla tych, którzy na nią nie zasługiwali, Boksicki dotąd wyszedł cało, lecz zemsta mogła być straszną i spaść jak piorun.

Pomimo tych przeciwności i zawad, Samuel do Zborowa przybył z dobrą myślą, wesół i pewien jeszcze swego. Zdawało mu się, że pośpieszy zawsze w porę, aby choć pod samym Krakowem, bodaj w Proszowicach ułapić Zamojskiego. Na te Proszowice teraz najwięcej rachował, ale Boksickiemu postanowił zawczasu nie mówić o tem, nie żeby nie ufał mu, ale że języka długiego się lękał.

Nie zdradzie, ale paplaninie przypisywał to, że mu dotąd się tak nie wiodło, że go odgadywano zawczasu i stawiano mu zawady.

Zaledwie w Zborowie stanął, gdy list za listem już gnał, donoszący że po całej drodze, gdziekolwiek się pan Samuel zatrzymał, popasał, gdzie przejechał, tylko szpiegów i ludzi kanclerza, jakby porozstawianych widziano.

Marszałek ostrzegał pilno.

Gra zaczynała być nierówną i p. Samuel dopiero teraz zrozumiał, że nadto lekko brał bardzo trudne zadanie. Wszędzie go wyprzedzano.

W Zborowie sam jeden z synem pozostawszy, z którym mówić nie mógł o tem, co go zajmowało, niecierpliwił się do najwyższego stopnia, wyglądając powrotu Boksickiego.

Zdrajca zaś do brata się dostawszy, gdy mu opowiedział jak rzeczy stoja, i że lada godzina może się wydać wszystko, Parżnicki natychmiast do Mrocza go zaprowadził i z tym razem wmówili w niego, ażeby nie wracał do pana.

— To się domyśli zem winien! — zawołał Boksicki — a tam jeszcze u niego mam cokolwiek mienia.

— Siedź spokojnie — rzekł Mroczek — pod ten czas gdy jednego człeka zabraknie, dziwnie nie będzie. Pomy-

Muzeum
JIK
ROMANOW
307